



Sabina
WASZUT

Rozdroża

Sabina
WASZUT

Rozdroża

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

Spis treści

Październik 2001
Styczeń 1934
Luty 1934
Marzec 1934
Czerwiec 1935
Czerwiec 1937
Wrzesień 1937
Marzec 1939
Kwiecień 1939
28 maja 1939
Lipiec 1939
10 sierpnia 1939
27 sierpnia 1939
1 września 1939
3 września 1939
15 września 1939
Październik 1939
Grudzień 1939
Wigilia 1939
2 stycznia 1940
1 maja 1940
Kwiecień 1941
Maj 1941
Czerwiec 1941
Sierpień 1941
Październik 1941
Marzec 1943
Maj 1943
Listopad 1943
Marzec 1944
Lipiec 1944
Styczeń 1945
28 stycznia 1945

Kwiecień 1945

Październik 1945

Kwiecień 1946

Październik 2001

Przypisy

Październik 2001

– Może jednak pójdę z tobą, mamu? – pyta Gosia, jednocześnie usiłując wjechać przednimi kołami na wysoki krawężnik.

– Poradzę sobie – odpowiadam stanowczo.

W kółko pyta mnie o to samo, a ja wszelkimi sposobami próbuję ukryć narastające zdenerwowanie. Przecież wie, że nie lubię dzielić się emocjami. Nauczyłam się tego dawno temu. Nie przetrwałabym bez tej umiejętności.

Otwieram drzwi, gdy tylko auto się zatrzymuje.

– Mamu, po co ci to? Tyle nerwów.

W głosie Gośki słyszę błaganie. Powinnam być zadowolona, że troszczy się o mnie. W jej wieku nie miałam w sobie tyle empatii.

– Wiesz, że robię to dla twojej ciotki.

Gosia wzdycha, bo tego argumentu nie przebije.

Kochała moją siostrę. Nie tylko za paczki, które Agnes przysyłała z Reichu przy okazji świąt i urodzin.

To dzięki niej szary komunizm stał się dla moich dzieci bardziej kolorowy. Słodycze, dobra herbata, kakao – tego nie brakowało w naszym domu.

Agnes jako jedyna z nas nie miała dzieci. Zbyt krótko była mężatką, za to najszcześliwszą, jak zawsze dodawała.

Poświęciła się rozpieszczaniu siostrzenic i siostrzeńców. Choć nigdy tego nie powiedziała, Gosia była jej ulubienicą. Dobrze wiem dlaczego. Moja córka jest bardziej podobna do swojej ciotki niż do mnie. Obie miały w oku ten sam błysk. Obie wybrały tę samą drogę – zostały nauczycielkami, belferkami z pasją.

Gdy Agnes zachorowała i ani prośbą, ani groźbą nie udało nam się jej ściągnąć do Polski, Gosia pojechała do Kolonii. Spędziła tam wiele miesięcy. Przechodziły razem przez kolejne chemioterapie, przez nadzieję i brak nadziei. Opiekowała się Agnes do ostatnich dni. To właśnie wtedy padła ta przedziwna prośba, jak się później okazało, spisana również w liście do nas. Aby jeszcze raz spróbować, aby w nowych czasach jeszcze raz zebrać siły i odzyskać domy. Naszą ojcowiznę.

Nie mogliśmy odmówić, choć nie przypominam sobie, żeby moja siostra była z tym miejscem jakoś szczególnie związana. A przecież pamiętam dobrze dzień, w którym przyszliśmy tu po raz pierwszy, i ten, w którym po latach ostatni raz przechodziła przez bramę.

To Gosia załatwiła wszystkie dokumenty. Biegała po urzędach, przeszukiwała archiwa.

Ale ten ostatni ruch należy do mnie. I Gośka doskonale o tym wie.

Sięgam po leżącą na tylnym siedzeniu torebkę i dokumenty starannie zamknięte w papierowej teczce.

– Zadzwoń do ciebie, gdy się skończy – mówię.

– A masz naładowany telefon?

Boże, czy ona musi...

Nie chcę wyjść na zrzędzącą staruszkę, więc w odpowiedzi kiwam jedynie głową i uśmiecham się

przyjaźnie.

Zatrząskuję drzwi i czekam, aż czerwona škoda odjedzie. A potem liczę do trzech i odwracam się. Serce wali jak oszalałe. Choć mieszkam dwie dzielnice dalej, stoję tu po raz pierwszy od... Boże, od ponad pół wieku. Jak to możliwe, że przez cały ten czas tak skutecznie udawało mi się omijać tę ulicę.

Wiem, że Władek czasem tu przychodził. Wracał potem do mnie zmieniony, zamyślony. Czułam, że te miejsca wciąż są w nim.

Brakuje mi męża. W takich chwilach – najbardziej. Przed nim nie udawałam. Nie musiałam. Wiedział, kiedy się bałam.

Czy teraz poparłby moją decyzję, czy byłby dumny, że się odważyłam?

Dosyć rozmyślań. Robię pierwszy krok. Ból pleców, który towarzyszy mi od tyłu już lat, znika.

Robię drugi. Smród wszędobylskich spalin zamienia się w zapach biedy – zgniłych ziemniaków i koziego mleka.

Robię kolejny. Dotykam dłońmi wilgotnej ściany.

Styczeń 1934

Koła klinują się w szparach nieudolnie ułożonego bruku, grzęzną w pośniegowym błocie. Jestem zmęczona. Nie mam siły pchać wózka i jednocześnie bez przerwy poprawiać zgromadzonego na nim dobytku. Ciężka pierzyna i dwie puchowe poduszki – pozostałość z ausztojeru[1] matki, karbidka i zapakowana w szary papier figurka Matki Boskiej Piekarskiej.

Ojciec idzie przede mną. Niesie dwie walizki. Ktoś wyrwał z nich metalowe zamki, więc teraz zostały przewiązane sznurkiem i paskiem do spodni. Dziewięcioletnia Agnes biegnie obok. Matka, ciężko dysząc, wlecze się w tyle. Trzyma na rękach Helenkę – najmłodszą siostrę. Spod fałdów szerokiej spódnicy wystaje zaokrąglony brzuch. Znów będzie dziecko. Znów powiększy się dorobek życia naszej rodziny.

Rozglądam się uważnie. Wchodzimy w coraz smutniejsze ulice. Z jasnej i szerokiej, gdzie stał dom, w którym mieszkaliśmy, skręcamy w boczną. Ponure familoki rozświetla jedynie czerwień parapetów. Nie ma pięknie rzeźbionych fasad, strzelistej wieży kościoła i witryn sklepów, przed którymi można spędzać całe godziny, prawie czując smak kolorowych cukierków.

Nie wiem tylko, dlaczego ojciec wciąż idzie z tak dumnie uniesioną głową. Nie uwierzyłam w bajkę, którą opowiedział nam dziś rano, gdy opuszczaliśmy mieszkanie. Nie będę księżniczką w pięknym zamku.

A przecież miało być inaczej.

* * *

Pamiętam dzień, w którym „bogobojny” zapukał do nas po raz pierwszy.

Wszedł, nie zważając na to, że w wielkiej balii, osłoniętej jedynie prowizorycznym parawanem, mama właśnie myła mnie i siostry. Jak w każdy sobotni wieczór.

– Szczęść Boże, szczęść Boże – nieznajomy powtarzał pozdrowienie i z każdym krokiem coraz niżej pochylał przed ojcem plecy.

Ten przeraźliwie chudy mężczyzna o nienaturalnie cienkim głosie rozśmieszył mnie. Przypominał aktora z przedstawienia, na które kiedyś zabrano nas ze szkoły. Był tak samo nieprawdziwy. Zasłoniłam ręką usta, ale było już za późno. Mokra ścierka boleśnie przywołała mnie do porządku.

Nim ojciec rozlał przyniesioną przez gościa wódkę, nim wypili pierwszy kieliszek, matka już wypychała nas za drzwi.

– Pobawcie się na placu. Sophie, pilnuj sióstr, niech się nie wymaraszają[2].

Wiedziałam, że musi dziać się coś ważnego. Inaczej nigdy nie wypuściłaby nas z domu po sobotniej kąpieli.

Na niedzielnej mszy trzeba być czystym.

O tym, czego chciał mężczyzna, dowiedziałam się jeszcze tej samej nocy. Łóżko rodziców stało tuż obok naszego. Znałam wszystkie ich sekrety.

– Zobaczysz, w końcu skończy się ta bieda. Kupimy domek, będziesz miała ogródek.

Ojciec nawet nie próbował ściszać głosu.

– Nie ufam mu.

– To porządny człowiek. Wierzący. Przecież słyszałaś, odda.

– Tyle pieniędzy! Wszystkie oszczędności! Franc!

Szelest pościeli zagłuszył odpowiedź ojca. Zresztą znałam ją. To on podejmował decyzje. Matka mogła jęczeć, płakać, ale jak on coś postanowił, nigdy nie zmieniał zdania.

Nie wiem, jaką sumę ojciec pożyczył obcemu człowiekowi. Nie sądziłam, że można mieć jakieś oszczędności, skoro przy śniadaniu trzeba dzielić jedno jajko na pięć części.

Marzeniem ojca był własny domek. Za tą iluzją przyjechał na Śląsk z zapadłej niemieckiej wsi. Gonił to marzenie, gdy huta obcinała zarobki, a za drzwiami naszej izby hejbama[3] pomagała przyjść na świat kolejnym wiecznie głodnym dzieciom.

Od tamtej soboty „bogobojnego” spotykaliśmy prawie codziennie. Nadal śmieszyło mnie jego dziwaczne zachowanie. Ukłony, ściąganie czapki, całowanie matki po rękach. Lubiłam jedynie cukierki, które znajdował dla nas w kieszeniach spodni.

A potem zniknął. Ucieszyłabym się nawet, gdyby nie niepokój, który rósł w oczach ojca. Płacz matki nie przerażał, przyzwyczaiałam się już do jej wiecznego załamywania rąk. Ale bałam się strachu człowieka, który był dla mnie niczym dąb, nie do przewrócenia.

Początkowo nieudolnie próbował ukryć nocne rozmowy, pełne wyrzutów i oskarżeń. Bawił się z nami, nosił na barana piszczącą z radości Helę. Raz zabrał mnie do jadłodajni na ciepłą kielbasę z musztardą. Musiał wiedzieć, że zawsze, gdy przechodziłam obok, marzyłam, aby stracił pracę. Bezrobotnym wydawano tam darmowe zupy.

W końcu przestał udawać. Przychodził z pracy. Siadał przy stole i nie tknąwszy obiadu, który podawała mu matka, wpatrywał się w pustą ścianę. Godzinami. Jakby ktoś wyssał z niego życie.

Z tamtych dni pamiętam ciszę. Nawet wieczny szczebiot dziewczynek gdzieś zniknął. Gdy nie spały, a pogoda była zbyt brzydka, aby wyjść na plac, bawiły się w „pociąg” różnokolorowymi guzikami. Bez śmiechów, płaczów, ciągłej bieganiny. Tak jakby rozumiały. Tylko co?

„Bogobojny” wrócił. Po prostu wszedł do naszego mieszkania pewnego grudniowego wieczoru. Nie poznałam go. W podartej koszuli, bez butów i kurtki, choć na dworze tego dnia było przeraźliwie zimno, stanął przed ojcem, trzęsąc się jak osika. Wcisnął mu do ręki pożółkłe papiery. Ukłęknął, złożył ręce jak do modlitwy i zaczął o coś błagać. O podpis? Wybaczenie? Wstawienie się za nim?

Matka zamknęła nas w izbie, więc przez grube drewniane drzwi dobiegały nas jedynie strzępy rozmowy.

– Będziecie mieli swoje domy. Są warte więcej niż to, co miałem wam oddać.

– Nie chcę ich, oddaj pieniądze! – ojciec grzmiał, jakby nagle znów wróciły do niego utracone siły.

– Nie mam, oszukali mnie – kajał się mężczyzna, dzięki któremu tak dosadnie poznałam słowo „nienawiść”. Tak, wówczas go nienawidziłam.

– Człowieku, znam tę ulicę.

– Tam jest prąd, tu siedzicie przy karbidce.

– Siedzimy, bo chcemy. Bo za rok mieliśmy być gdzie indziej.

– Będziecie właścicielami.

– Tam mieszkają tylko Polacy. Będę nikim.

Resztę zagłuszył płacz moich sióstr. Tego wieczoru nikt nie dał nam kolacji. Trudno ułożyć do snu

głodne dzieci.

* * *

Teraz stoimy przed „spełnionym marzeniem” rodziców. Żadne z nas nie przekracza wejściowej bramy. Czujemy, że przejście przez nią będzie końcem świata, który choć pachniał taką samą biedą, był... nasz. Helenka pierwsza przełamuje niewidzialną granicę. Podbiega do grupki dzieci, które bawią się na placu. Idziemy za nią.

– Ale będziemy mieć światło. – Matka ukradkiem wyciera oczy w skrawek chusty.

Luty 1934

Nasze nowe mieszkanie to duża kuchnia i izba na piętrze „przedniego” domu. Okna wychodzą na podwórkę, dlatego mało tu światła. Chyba właśnie słońca brakuje mi najbardziej. Tam, gdzie mieszkaliśmy wcześniej, wdzierało się przez powieszony w oknach zazdrostki już wczesnym popołudniem i zostawało do wieczora. Lubiłam przyglądać się drobinkom kurzu, które tańczyły w jego smugach. Lusterkiem puszczałam zajaczki na ścianie. Dziewczynki biegały za nimi jak małe kotki. Tu wszystko wydaje się jednokolorowe – szare.

– Sophie, rusz się. Trzeba skuć lód przed wejściem, jeszcze ktoś nogę złamie i dopiero będzie. A potem pójdziesz do Zajacowej. Już miesiąc spóźnia się z czynszem.

Gwałtownie chowam wspomnienia tam, gdzie ich miejsce. Odwracam się od okna, przechodzę przez kuchnię i uchylam drzwi do izby. Matka leży okryta kołdrą. Obok, w drewnianej kołysce, kwili małe zawiniątko. Już dwa tygodnie minęły od narodzin Antka, a ona nadal jest za słaba, aby podnieść się z łóżka. Dziecko długo nie chciało przyjść na świat, w sumie wcale się mu nie dziwię. Mimo to jestem zła na to stworzonko, przez nie cała robota spadła na mnie. Nie mogę chodzić do szkoły, bo przecież ktoś musi zająć się Helenką. Trzeba ugotować obiad, przebrać noworodka, zaprowadzić Agnes na lekcje. Zaspasy na ulicach są zbyt duże, aby mogła iść sama. Teraz do szkoły mamy naprawdę daleko. Większość szkół niemieckich zlikwidowano zaraz po plebiscycie. Zostało zaledwie kilka – nasza o pół godziny marszu stąd. Trzeba też zająć się domami. Ojciec nie chce płacić dozorczy, więc szorowanie schodów i porządki na placu są obowiązkiem moim i matki. Teraz tylko moim. Zarzucam na plecy szal. Na gołe stopy wsuwam ciężkie trepy. Są dziurawe, więc i tak zaraz miałabym mokre pończochy. Biorę łopatę i wychodzę do sieni. Natychmiast uderza we mnie zimne powietrze. Wieje przez nieszczelne okna. Zbiegam po schodach. Przez chwilę stoję na ostatnim stopniu. Nie mam odwagi wyjść. Wiem, że zmarznę. Obojętnie jak szybko będę pracowała, palce zaraz i tak skostnieją.

Z ciężkim westchnieniem chwytam za kłamkę, popycham drzwi i omal nie robię fikołka na zmrożonych pomykach.

Nie ma sensu zastanawiać się, czy któryś z lokatorów celowo wylał je przed drzwiami. Bez względu na to, jaką uzyskałabym odpowiedź, robota nie stanie się przez to lżejsza.

Uderzam łopatą. Odgarniam. Znów uderzam. Odgarniam. Uderzam.

Na podwórku jest zupełnie cicho, słyszę jedynie odgłos kruszonego lodu i własny ciężki oddech. Muszę chwilę odsapnąć. Próbuje wyprostować palce. Bola.

– Daj, pomogę ci z tym.

Aż podskakuję na dźwięk niespodziewanego głosu. Odwracam się.

Znam go. Jest jednym z naszych lokatorów. Zajmuje wraz z matką izbę w „tylnym” domu. Dokładnie okno w okno z naszym mieszkaniem.

– Nie, nie trzeba – mówię speszona i jednocześnie przyciskam sztyl łopaty do piersi, jak gdybym bała się, że wyrwie mi ten skarb.

A on właśnie to robi.

– Oddaj, matka będzie zła.

– Przecież nie widzi.

– Oddaj!

Macha ręką, na znak, że zupełnie nie zwraca uwagi na moje sprzeciwy. Doskonale wie, że nie będę się z nim szarpała.

Przyglądam się, jak w kilka minut robi to, co mnie zajęłoby pół godziny. Ile może mieć lat? Pewnie ze dwadzieścia. Wiem, że pracuje w drukarni. Jego matka chwaliła się kiedyś kobietom w kolejce po chleb. Jak ma na imię? Waldek? Nie, nie tak... chyba... Władek... Tak o nim mówiła. Władek Zaleski.

– Gotowe!

Władek wbija łopatę w śnieg tuż obok miejsca, w którym stoję.

– A teraz uciekaj do domu, bo się w bałwana zamienisz.

Na szczęście, mróz zdążył już pomalować moje policzki, więc Władek nie dojrzał rumieńców.

Patrzę, jak odchodzi, pogwizdując jedną z tych okropnych powstańczych melodii. Otrzepuje ze śniegu nogawki spodni, potem znika za drzwiami domu.

Biegnę po schodach. Wiem, że powinnam się pospieszyć. Hela i matka czekają na miskę gorącej kartoflanki, która nawet nie zaczęła się gotować, a dziecko pewnie ma już mokro.

Helenka bawi się szmacianką, która kiedyś należała do mnie, potem do Agnes, a teraz jest towarzyszką zabaw kolejnej Trauterówny. Przez uchylone drzwi zerkam do izby. Antek i matka śpią. Już mam się cofnąć do kuchni i zająć obiadem, gdy mój wzrok pada na nieduże lustro, które stoi na komodzie. Podchodzę na palcach, biorę je i wracam do kuchni.

Siadam przy stole. Niepewnie unoszę zwierciadełko na wysokość oczu. Kiedy patrzyłam w nie ostatnio? Jeszcze w starym mieszkaniu, gdy bolał mnie ząb. Chciałam zobaczyć, jak bardzo spuchłam, bo śmiały się ze mnie koleżanki.

Nigdy nie przyglądałam się sobie tak jak teraz.

Matka zawsze powtarza, że kto podziwia swój wygląd, zamiast własnego odbicia może zobaczyć oblicze diabła. Ona nigdy się nie maluje, nie upina włosów w misterne loczki. Długie spódnice i fartuch szczelnie zasłaniają figurę. Nie wiem, czy jest ładna.

Nieśmiało muskam skórę opuszkami palców.

Mam bardzo szczupłą twarz. Niebieskie oczy wydają się nieproporcjonalnie duże, a nos zbyt zadarty. Dwa mysie warkoczki śmiesznie sterczą po bokach głowy.

A gdyby tak...

Zerkam na Helenkę. Na szczęście nie interesuje się tym, co robię.

Szybko rozplątam włosy. Zaskakuje mnie burza blond loków. Nadymam lekko zapadłe policzki. Przygryzam wargi, aby nabrały odrobiny koloru. Patrzę przez chwilę na swoje odbicie. Czy choć trochę przypominam wytworne damy spacerujące z oficerami po miejskim parku? Czy moje usta mają teraz podobną barwę? Nerwowym gestem odkładam lustro na stół.

Głupia.

Marzec 1934

Kiedyś w szkole czytaliśmy wiersz o wiosnie. Nauczycielka przypięła do tablicy obrazek. Przedstawiał dziewczynę w długiej zielonej sukience. Szła polną drogą. Wokół panowała sroga zima, ale tam, gdzie stanęła, natychmiast rozkwitały mlecze.

Wiosna. Myślę, że ma dar roztopiania lodów nie tylko na ścieżkach, którymi idzie.

To pierwszy naprawdę dobry dzień, od kiedy się tu przenieśliśmy. Siedzę na schodku przed drzwiami domu. Wokół panuje niezwykle ożywienie. Jak gdyby, dosłownie przed chwilą, wszyscy mieszkańcy naszego domu obudzili się z zimowego snu.

Moje siostry wraz z innymi dziećmi wyprowadziły z chlewika kozy i teraz biegają za nimi, próbując karmić je zeszłorocznym zielskiem. Matka, która zupełnie już wydobrzała, z Antkiem w hacce[4] stoi na środku podwórka, otoczona wianuszkami kobiet. Wszystkie, jedna przez drugą, doradzają, nakazują, zakazują i zachwycają się urodą chłopczyka. Małeńkie dzieci potrafią zażegnawać konflikty. Również te polsko-niemieckie.

Nawet babka Zajęcowa w końcu otworzyła okno swojej izdebki i teraz, podparta na poduszce, przygląda się całemu zamieszaniu.

Byłoby idealnie, gdyby nie na pół oskubana kura, która leży na moich kolanach.

Ojciec przyniósł ją wczoraj wieczorem z huty. Dostał od kolegi w zamian za wykucie ozdobnej kłamki do furki. Oczywiście po godzinach.

Jutro będzie „święteczny” obiad.

Ale robota jakoś nie pali mi się w rękach. Przerywam co chwila. Wycieram w fartuch oblepione pierzem palce, zamykam oczy i łapię pierwsze promienie słońca.

– A ty dokąd znów idziesz, jednej soboty nie możesz posiedzieć w domu?

Z półsnu wyrywa mnie podniesiony kobiecy głos. Bezbłędnie odgaduję, z którego okna dobiega ten lament.

– Jest sobota. Na zalyty[5] idę.

– Na zalyty! Co tydzień do innej. Zobaczysz, baby mnie obgadają, jak syna wychowałam.

– Nie obgadają, jeśli nie będzie matka tak krzyczeć.

Trzask zamykanego okna miesza się ze śmiechem kobiet. W sekundę zrzucam z kolan kurę. Obciążam spódnice, prostuję plecy. Tylko po co?

Nieruchomo wpatruję się w otwarte na oścież drzwi „tylnego” domu. Nie czekam długo. Widzę, jak zbiega po schodach i z półcienia sieni pewnym krokiem wchodzi na muśnięte słońcem podwórze. W lekkiej kurtce, kaszkiecie nieco na bakier i z miną, która mówi, że nic nie zepsuje mu pierwszego dnia wiosny.

Próbuję odwrócić wzrok, nie widzieć, jak podchodzi do grupki dzieci, głaszcze jedną z kóz, a potem, śmiejąc się, grozi palcem maluchom, które od dłuższej chwili próbują zawiązać na szyi zwierzaka kawałek szmatki. Pewnie ma zastąpić wstążeczkę.

Ale w chwili, gdy przechodzi obok, cała udawana obojętność pryska i niby zupełnym przypadkiem obdarowuję go jednym krótkim spojrzeniem.

A on... puszcza do mnie oko i znika w bramie.

Jak zech chodził do szkoły,

Uczyli mnie rehtory

Piwo pić, w karty grać

I z dziółchami tańcować!

Niesie się za nim przyśpiewka, za którą w szkole leją nas trzcinką po rękach.

Czerwiec 1935

Jestem dorosła. Taka myśl towarzyszy mi od dzisiejszego rana. A dokładnie od chwili, w której otrzymałam świadectwo ukończenia szkoły podstawowej. Wracam do domu główną ulicą miasta wypełnioną codziennym gwarem. Co chwila zerkam na cenzurkę i sunę palcem po pięknie wykaligrafowanych ocenach.

Może nie są najlepsze, ale to, jak się uczyłam, nigdy nie miało znaczenia. Dla rodziców ważne było jedynie, abym przechodziła z klasy do klasy i jak najszybciej skończyła obowiązkową naukę.

Za tydzień idę na służbę do Frau Linder. Szkoły są dla dzieci. Już nie dla mnie.

Skręcam w naszą ulicę. Wchodząc do bramy, zwijam świadectwo i wkładam je do szkolnego fartuszka. Wiem, że nikt mi nie pogratuluje skończenia nauki, nie zapyta o oceny.

Ojciec klęczy na dachu. W nocy znów zalało strych.

– Pomogę! – wołam.

Na dźwięk mojego głosu zsuwa się na krawędź, a potem siada i opiera nogi na szczeblach przystawionej do ściany drabiny. Widzę, że jest zmartwiony. Znów musiał kupić papę i lepik, pewnie z pieniędzy, które miał wydać na lekarstwo dla Agnes.

Moja młodsza siostra zemdląła w szkole kilka tygodni temu. Lekarz orzekł niedożywienie. Wezwali ojca. Słuchałam, jak po powrocie długo rozmawiał z matką. Ponoć dyrektor nie rozumiał, dlaczego właściciele domów nie mają pieniędzy na jedzenie. Powiedział, że to niedopuszczalne, bo Niemcy zawsze na pierwszym miejscu stawiają dobro swoich dzieci. Ojciec musiał obiecać, że będzie więcej chleba i masła oraz mięso w każdą niedzielę, a dla Agnes lekarstwa, które ją wzmocnią. Teraz nie potrafi dotrzymać słowa. Widzę, jak się tym gryzie.

– Już ósmy raz naprawiam to miejsce, a cały czas przecieka.

– Może to gdzieś obok – próbuję doradzić, choć oczywiście zupełnie nie znam się na łataniu dziurawych dachów.

Ojciec milczy. Wie, że domy, które dostaliśmy od „bogobojnego”, pochłaniają więcej pieniędzy, niż przynoszą zysków. Lokatorzy płacą nieregularnie albo nie płacą w ogóle, a przecież ciekący dach trzeba zakleić, urwany gelynder[6] naprawić. Oczywiście można eksmitować. Można wyrzucić na bruk rodzinę z parteru. Odkąd ich ojciec po „wielkim strajku” stracił robotę w kopalni, żadne z pięciorga dzieci nie chodzi do szkoły, bo pospadały im z nóg sklepane buty. A babcia Zajęcowa, której syn zginął w powstaniu? Jak pozbawić ją okna, z którego od tylu lat obserwuje mijające życie? Więc czekamy. Choć i tak tej wiosny ojciec musiał wypowiedzieć lokal rodzinie Smolorzy. Zwlekał całą zimę, ale gdy śnieg stopniał, a Smolorz, zamiast chodzić pod kopalnię w nadziei na zatrudnienie, zaczął przepijać ostatnie pieniądze z zasiłku, nie miał wyboru. Wynieśli się na hałdy. Czuję wstyd, gdy patrzę na strużki dymu z żelaznych piecyków, które unoszą się nad wykopanymi tam norami.

Ale odczuwam też głód i wiem, jak to jest, gdy w pustym brzuchu bulgoce wypita woda, która ma go choć na chwilę napełnić.

– Idź się przebrać – mówi ojciec. – A potem przynieś dwa wiadra wody.

Posłusznie wykonuję polecenie. W domu wyciągam świadectwo, składam na pół i wsuwam między karty Biblii. Będzie leżeć obok aktów narodzin i świadectw chrztu.

Gdzieś w duchu liczę, że matka, która akurat karmi Antka, zapyta, jak spędziłam ostatni dzień szkoły, ale ona jest zbyt zajęta, aby pamiętać.

Nie mija dziesięć minut – i już wiążę do sznura pierwsze wiadro.

– A teraz biegnij na gora[7] i patrz, gdzie cieknie.

Nie lubię wchodzić do tego budynku. Zawsze gdy matka każe mi zamieść schody lub przypomnieć któremuś z lokatorów o zapłacie czynszu, czuję dziwną pustkę w głowie i zdenerwowanie.

Skradam się po czerwonych schodach, najmniejszym hałasem próbuję nie zdradzić swojej obecności.

Drzwi strychu są uchylone. Źle, bo przez niedbalstwo lokatorów wślizgują się do środka koty. Brudzą pranie, a czasem zrzucają słoiki z przetworami.

Wchodzę. Wciągam nosem zapach wilgoci, kurzu i szarego mydła – wyprano nim rozwieszono na sznurach płachty prześcieradeł.

Idę do miejsca, w którym ojciec wylał wodę. Nic nie kapie. Przyklękam. Trociny na podłodze są lekko wilgotne, ale to pewnie pozostałość nocnej ulewy. Chyba w końcu się udało.

Zadowolona podchodzę do okienka, aby krzyknąć dobrą nowinę. Schylam się, chcę je otworzyć, i wtedy słyszę szelest, gdzieś między wiszącym praniem.

Kot. Jeśli go nie wygonię, narobi szkód.

Rozglądam się za czymś, co pomoże mi przepłoszyć intruza. Na szczęście tuż obok suszą się pęki brzoźowych gałęzi, z których Masłowski robi miotły. Biorę jeden i cicho jak tylko potrafię podchodzę do miejsca, skąd dobiegł mnie hałas. Podnoszę do góry rękę. Nie chcę uderzyć. Postraszę tylko, aby miał nauczkę i nie wchodził tu więcej. Gwałtownie pociągam za prześcieradło i...

– Chcesz nas zabić!?

Władek łapie mnie za nadgarstek. Dziewczyna stojąca obok niego odskakuje, a potem parska śmiechem.

Nie wiem, co się dzieje. Dlaczego on i ona? Dlaczego się tu ukryli?

Stoję jak wryta z dłonią zamkniętą w uścisku Władka i dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, co tak faktycznie się stało.

Wyrywam się i wybiegam.

Przez resztę dnia mechanicznie wykonuję zlecane mi obowiązki. Nie potrafię wymazać z pamięci iskier w jego oczach i jej pąsowych policzków. Moje też płoną.

Wieczorem, gdy w końcu mogłabym odpocząć, kręcę się po izbie, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. W końcu, wymawiając się bólem brzucha, wychodzę na plac. Siadam na ławeczce. W skroniach czuję, jak szybko bije mi serce, a bólu brzucha już nie muszę udawać. Mimo to czekam.

– Coś taka smutna?

Głos Władka tym razem nie zaskakuje. Przecież zesłam właśnie po to, aby go usłyszeć. Wzruszam ramionami.

– Masz.

Podnoszę głowę i widzę przed sobą otwartą dłoń, a na niej kilka kolorowych landrynek.

– Zjedz sobie, dzieciaku.

Nie ruszam się, więc jeden po drugim upuszcza bombony[8] na moje kolana. Chwytam wszystkie

i robiąc zamach, wyrzucam na środek palcu.

Chce mi się płakać ze złości. Jak on mógł tak mnie upokorzyć! Nie jestem już małą dziewczynką!

Wstaję, obracam się na pięcie i z zaciśniętymi pięściami znikam w drzwiach domu. Za sobą słyszę głośny śmiech.

Boże, jak ja go nienawidzę!

Czerwiec 1937

Wychodzę. Opieram się o ścianę budynku i ocieram chusteczką spocone czoło. Ma wyglądać naturalnie, tak jakbym chciała po prostu odsapnąć, ochłodzić się po godzinach spędzonych przy kotle z wrzącą wodą.

Helenka i Antek pojawiają się obok. Wiem, że co najmniej od dwudziestu minut czekali, aż wyjdę, schowani w bramie po przeciwnej stronie ulicy.

Cała operacja zajmuje dosłownie sekundę. Wyciągam z fartucha skrawki kiełbasy, wrzucam je do rozwartych kieszeni i już tylko patrzę, jak nóżki mojego rodzeństwa pędzą, zgrabnie wymijając przechodniów. Niebywałe, jak te maluchy potrafią szybko biegać.

Biorę głęboki oddech i wracam do środka. Pełna lęku, że tym razem zauważyła, że każe mi zdjąć biały czepek i wyjść bez pensji za ostatni miesiąc.

Szefowa siedzi przy kasie i palcami przypominającymi serdelki nabija kwotę.

Na wielkiej czarnej tablicy codziennie zapisujemy aktualne ceny:

Gotowana kiełbasa, bułka i musztarda 1,30 zł

Żur 60 gr

Szałot[9] 50 gr

Szynkowa 70 gr / kg

Salami 1 zł / kg

Mortadela 50 gr / kg

Staję za ladą. Trudi nalewa z dzbanka herbatę i podaje kolejnej klientce.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Kiwa głową.

– Nawet na ciebie nie spojrzała. Liczy i liczy. Pewnie znów pończochy jej w szwach puściły i musi kupić nowe.

Trudi unosi lekko spódnicę i pokazuje zgrabną nogę. Śmieje się, a ja z trudem ukrywam zmieszanie.

Zaczynam układać drobiowe galaretki leżące na talerzykach wewnątrz gablotki.

Znam Trudi od trzech lat. Razem służyłyśmy u Frau Linder, a po roku obie znalazłyśmy pracę w jadłodajni. Cudem, bo teraz nie chcą zatrudniać Niemców. Lubię ją, ale czasem zachowuje się zbyt swobodnie. Zazdroszczę jej łatwości, z jaką rozmawia z mężczyznami. Potrafi śmiać się nawet ze zbereźnych żartów. Mnie natychmiast oblewa rumieniec.

– Podobno cyrk ma do nas przyjechać. Może pójdziemy?

Patrzę na Trudę jak na wariatkę. Do cyrku? Nigdy nie byłam w cyrku. Poza tym, co powiedziałyby matka na takie wyjście?

– Nie mogę.

– Jak zwykle. – Truda wzdycha. – Ty tylko do pracy i do kościoła. Gdzie masz zamiar męża złapać?

Wzruszam ramionami. Nawet o tym nie myślę.

Głośne chrząknięcie szefowej natychmiast nas ucisza.

W sobotnie wieczory mamy roboty po łokcie. Pary wracające ze spacerów, mężczyźni z turniejów szkata[10] grupki młodzieży po zajęciach amatorskich teatrów.

Wszyscy głodni.

Trudno o wolny stolik, większość musi się zadowolić jedzeniem na stojąco. Nie odstrasza to jednak miłośników najlepszej kiełbasy w mieście. Kolejka sięga aż za drzwi.

– A z nim byś poszła?

Truda szturcha mnie w bok. Podnoszę głowę znad deski do krojenia wędlin.

Tuż za drzwiami stoi Władek. Rozmawia z kimś, ale gdy tylko na niego zerkam, odwraca się z uśmiechem w moim kierunku.

– Często tu przychodzi.

– Widocznie ma po drodze.

Próbuję ignorować dwuznaczne stwierdzenie Trudy.

– Przystojny.

Nie daję za wygraną. Cieszę się, że wewnątrz lokalu panuje teraz taki hałas, że nikt nie słyszy naszych szeptów.

– Nie lubię go.

Truda patrzy na mnie zdziwiona.

– Chyba żartujesz!

Na szczęście kolejny klient kończy rozmowę.

Kolejka przesuwa się szybko, a ja jestem coraz bardziej zdenerwowana. To prawda, ostatnio Władek jest tu nieomal codziennym gościem. Nie kupuje wiele, czasem tylko herbatę. Zawsze uprzejmie się wita, zamienia kilka słów ze mną albo z Trudą, płaci i wychodzi. Dziś też tak będzie, a mimo to nóż, którym kroję w plasterki salami, drży. Ledwie mogę go utrzymać.

W końcu Władek staje przede mną. Próbuję ominąć jego spojrzenie. Czekam, aż coś zamówi.

Odruchowo robię krok w tył, gdy niespodziewanie przechyla się przez ladę.

– Kończysz o dwudziestej? – pyta cicho. Nie aż tak, aby Truda nie słyszała. Kątem oka dostrzegam, jak jej ręka, którą właśnie nakłada do miseczki porcję sałatki, nieruchomieje.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie chcę robić zamieszania. I tak pewnie już wszyscy patrzą.

– Tak – mówię szybko.

– To poczekam na ciebie, nie będziesz wracać sama.

Odwraca się i wychodzi, nie dając mi szansy na odpowiedź.

Próbuję wykonywać obowiązki. Kroję. Pakuję. Uśmiecham się. Wszystko chaotycznie. Wszystko niezdarnie. Myśli stale gdzieś uciekają, nie potrafię ich złapać. Nóż upada na posadzkę, herbata wylewa się z kubka. Mylę ceny. Gdyby nie Trudi, która próbuje zakamufłować moje roztargnienie, pewnie byłby to dla mnie ostatni dzień pracy tutaj.

– I twierdzisz, że go nie lubisz? – Moja przyjaciółka bezlitośnie wykorzystuje każdą wolniejszą chwilę, aby wciągać mnie w rozmowę.

- Bo nie lubię.
- Dlaczego?
- Nie słyszałaś? – Z oburzenia podnoszę głos.
- Czego?
- Traktuje mnie jak dziecko. Zawsze tak jest.

Truda wybucha śmiechem. Nie mam pojęcia, dlaczego jej tak wesoło.

Minuty mijają wyjątkowo szybko. Im bliżej dwudziestej, tym bardziej jestem zdenerwowana. Zaczynam układać dialog. Wymyślam słowa, którymi dam do zrozumienia, że nie chcę wracać do domu w towarzystwie zarozumiałego Polaczka.

A może w ogóle nie przyjdzie, może znów ze mnie zażartował.

Nadzieja rozplywa się, gdy kilka minut po dwudziestej podchodzę do drzwi, aby zamknąć sklep. Stoi po przeciwnej stronie ulicy. Nonszalancko oparty o latarnię, z papierosem w ustach, śledzi wzrokiem przejeżdżający samochód.

Odskakuję gwałtownie i omal nie przewracam jednego ze stolików.

Może mnie nie zauważył.

Wchodzę na zaplecze, chwytam za wiadro, wkładam je do zlewu i odkręcam kran.

– Co robisz?

Trudi siedzi na taborecie i rozmasowuje bolące stopy. Jej pantofle leżą w nieładzie na środku podłogi.

– Przecież widzisz! – odpowiadam rozdrażniona.

– Zostaw to.

Udając, że nie słyszę, stawiam wiadro na ziemi i zanurzam w nim szmatę.

– Sophie!

– Co?!

– Przecież on czeka. Idź.

– Nie skończyłam pracy.

Próbuję jeszcze się bronić, ale Truda stoi już obok i trzyma w rękach mój płaszcz i torebkę.

– Idź – powtarza. – Sama tu dziś dokończę.

Prawie wypycha mnie przed drzwi jadłodajni. Słyszę za sobą zgrzyt zamka. Naprawdę boi się, że zawrócę?

Stoję oszołomiona. Czekam, aż przejedzie tramwaj. Ostatnia granica dzieląca mnie od spotkania, którego nie chcę. Muszę wyglądać żałośnie, gdy tak sterczę na środku chodnika, potrącana przez przechodniów. Właśnie taką mnie za chwilę zobaczy.

Nie wiem, jak się zachować. Co powiedzieć. Z dialogu, który sobie ułożyłam, uleciały słowa. Serce wali jak oszalałe. Nie pozwala skupić się na wymyśleniu nowych.

I nagle wszystko przyspiesza. W jednej chwili, nerwowo skubiąc uchwyt torebki, odpowiadam na jego przywitanie. W kolejnej – idziemy w dół ulicy. Rozmawiamy.

Władek opowiada o spotkaniu Reduty Śląskiej, z którego wracał. O nowym przedstawieniu, które jest przygotowywane przez jego grupę teatralną. Nie znam autora ani tytułu sztuki. Nie przyznaję się do tego.

Słucham. A przy okazji próbuję zrozumieć, dlaczego całe zdenerwowanie gdzieś zniknęło.

Jest koniec czerwca. Słońce chowa się za dachy budynków i spływa po lśniących czystością oknach. Mijają nas ludzie. Rozgadani albo zamyśleni, zajęci swoimi sprawami. Zastanawiam się, czy ta pełna gwaru ulica zawsze była tak ładna?

– Tutaj pracuję. – Władek wskazuje ręką na narożny budynek przy końcu równoległej ulicy.

– Wiem, jesteś drukarzem.

Przytakuje, a potem przez dłuższą chwilę milczy. Robi się dziwnie ciężko.

– Wiesz – mówi, zatrzymując się. – Ta awantura z „Gazetą Parafialną”. Uważam, że powinniśmy drukować też po niemiecku.

Uśmiecham się. Faktycznie ostatnio cały nasz kościół żyje buntem niemieckiej części wiernych, którzy domagają się wydawania gazety również w naszym języku. Nawet mój ojciec, dla którego kwestie narodowościowe nie są istotne, jeśli nie dotyczą bezpośrednio rodziny, był na zebraniu, które odbyło się właśnie w drukarni. Pewnie Władek go widział i dlatego myśli, że w jakiś sposób obchodzi mnie to zamieszanie.

– Nieważne – mówię szczerze – i tak jej nie czytam.

Natychmiast się rozwesela.

– Chcesz iść do parku?

– Nie mogę, matka będzie się denerwowała.

Nie nalega, a mnie zaskakuje uczucie zawodu. Nie potrafię go zagłuszyć. Skręcamy w naszą ulicę i mimo że idziemy coraz wolniej, w końcu wchodzimy w bramę wypełnioną znajomymi zapachami.

– Mogę jutro po ciebie przyjść? – pyta, gdy stajemy przed drzwiami sieni.

Kiwam głową zaskoczona tym, jak łatwo przełamuję nieśmiałość.

Władek się uśmiecha. W otaczającym nas półmroku jego oczy wydają się iskrzyć jak wrzucone do pieca węgle.

– Dobranoc – mówi i odwraca się z widocznym ociąganiem.

Popycham drzwi i nagle przypominam sobie, że...

– Jutro pracujemy tylko do osiemnastej – krzyczę przez podwórko.

– Wiem. – Unosi w górę rękę. – Śpij dobrze, Zosiu.

Wchodząc po schodach, myślę, ile jeszcze rzeczy będę musiała zrobić, zanim spełni się to, czego mi życzył. Zanim mi się przyśni.

Wrzesień 1937

Ojciec siedzi przy stole. Je obiad. Obok miski z zupą leży otwarta gazeta.

– Niemcy znów się zbroją – mówi i nabiera na łyżkę kolejną porcję kapuśniaku – zobaczysz, Sophie, znów będzie wojna.

Stoję przy piecu i mieszam chochlą w garnku. Kogo obchodzi wojna. Moja uwaga skupiona jest na karkołomnych obliczeniach, jak tą resztą zupy, która ledwie zakrywa spód garnka, mam nakarmić matkę, Antka i siebie. Na szczęście Agnes i Helenka zjadły w szkole i teraz razem z kobietami poszły zrywać gruszki do ogrodu za domem.

– Może i dobrze, może lepiej, gdyby tu znów były Niemcy. – Ojciec z szelestem obraca kolejną stronę.

Dolewam wody, dosypuję odrobinę soli i mąki. W kapuśniaku nie widać już ani jednego oczka tłuszczu. Zerkam na brata. Siedzi na łóżku i niecierpliwie kołysze nogami. Czeka, aż ojciec skończy jeść. Dopiero wtedy będzie mógł dostać swoją porcję.

– Dolej jeszcze – słyszę i zagryzam wargi, aby nie odpowiedzieć, że przecież my też jesteśmy głodni.

Podchodzę do ojca, bez słowa wlewam na talerz dwie pełne chochle. Nam zrobię wodzionkę[11].

Odkąd pracuję w jadłodajni, nie lubię wolnych dni. Nie chodzi tylko o utratę kilkunastu groszy. Między pętkami kiełbasek łatwiej zapomnieć o biedzie.

A dziś wyrzucono mnie za drzwi. Od tygodnia jestem chora. Oczywiście to nie powód, aby siedzieć w domu, ale szefowa stwierdziła, że dopóki będę wyglądała, jakbym miała gruźlicę, nie wolno mi przychodzić, bo odstrasza klientów. Głupia kobieta, przecież to tylko Agnes przywlekła ze szkoły jakieś paskudztwo.

Tłumiąc kaszel, mieszam kraiczki[12] czerstwego chleba z rozgniecionym ząbkiem czosnku. Jego intensywny aromat wzmaga głód. Chleb i czosnek wkładam do misek i zalewam wrzącą wodą. Ostry zapach roznosi się po całej kuchni. Antoś podchodzi do mnie. Czeka, aż dodam ostatni składnik dania. Staję na palcach. Z byfyju[13] ściągamy słoik ze smalcem. Nabieram odrobinę na koniec łyżki i rozpuszczam w zupie.

– No, jedz już.

Stawiam zupę na stole, ale Antek cały czas wpatruje się we mnie.

– Antoś, co ci? – Odruchowo dotykam ręką jego czoła. Na szczęście jest chłodne.

– Daj więcej. – Oczy chłopca stają się okrągłe jak spodki. – Dodaj skwarek – prosi piskliwym głosem.

Nie potrafię odmówić. Ojciec poszedł na strych, do gołębi. Nikt więc nie skarci mnie za rozrzutność.

Biorę słoik i sięgam aż na sam spód.

– Masz, jedz. – Głaszczę brata po główce.

I dokładnie w chwili, gdy mały wkłada do buzi pierwszą łyżkę, drzwi otwierają się gwałtownie i z trzaskiem uderzają o ścianę.

Wzdrygam się przestraszona. Słoik, którego nie zdążyłam odstawić, upada na podłogę. Agnes wbiega do izby i nieruchomieje. Przez chwilę patrzy niepewnie raz na mnie, raz na rozbity wek.

– Czego tak ganiasz! – krzyczę...

Przykłamam i ostrożnie dotykam największego z roztrzaskanych kawałków. Zastanawiam się, czy w jakiś sposób uda mi się zgarnąć smalec, tak aby nie pozostały w nim drobiny szkła.

– Dostaniesz od matki.

Agnes kuca obok.

– Gdybyś mnie nie wystraszyła, nic by się nie stało.

– Chciałam ci tylko coś powiedzieć – głos Agnes zaczyna drżeć. Znam dobrze te sztuczki. Wystarczy, że nadmie leciutko usta i zacznie trzepotać rzęsami. Na śliczną buzię nie można się złościć.

– No co? – pytam łagodniej.

– Władek jeździ po placu na kole[14]. Przewiół mnie kawałek – wyrzuca z siebie jednym tchem.

– Skąd ma rower?

– Nie wiem. – Agnes przeszywa mnie wzrokiem. – Jest piękny. Czarny. Wiesz, jak szybko jechał...

Mówi coś jeszcze, ale już nie słucham. Wstaję, ściągam fartuch i dłonią wygładzam włosy.

Zerkam przelotnie na tłustą plamę zdobiącą surowe deski podłogi. Mam nadzieję, że siostra to uprzątnie.

* * *

Na placu panuje harmider. Władek jeździ w kółko, wozi na ramie małego chłopca. Za nimi biegnie spora grupka dzieci. Krzyczą jedno przez drugie i próbują ustalić kolejność przejazdów.

Mimo chłodu z pootwieranych okien wyglądają sąsiedzi. Babcia Zającowa, jak zwykle podparta na poduszkach, zaśmiewa się w głos. Moja matka wraz z innymi kobietami rozsiadła się na ławce przy chlewikach. Są wyraźnie zachwycone, nie wiem tylko, czy urodą roweru czy rowerzysty.

Władek zauważa mnie natychmiast. Zatrzymuje się, zrzuca małego z ramy i nie bacząc na jęk zawodu pozostałych dzieci, podchodzi. Zawstydzona jego reakcją, przecież mamy widownię.

– Nie pracujesz dziś? – pyta, łapiąc oddech.

Kręcę głową, nie mam ochoty mówić, dlaczego musiałam zostać w domu. Przecież to śmieszne.

Władek nie spuszcza ze mnie wzroku, ale wyczuwam, że jego myśli krążą wokół roweru. Dłonie bez ustanku przesuwają się po rączkach kierownicy. Chce mi się śmiać, wygląda to tak, jakby głąskał łaszącego się kotka.

– Ładny – mówię, próbując zachować powagę.

Twarz Władka promienieje.

– Szef sprowadził sobie z Niemiec, ale łańcuch się zerwał. Naprawiłem, to mi dał na jeden dzień.

Uśmiecham się. Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie umiem zachwycać się czymś równie niepraktycznym.

– Chcesz się przejechać? – pyta.

– Nie potrafię.

Tym razem zupełnie nie wstydzę się własnego ograniczenia. Nie znam żadnej kobiety, która posiadałaby tę umiejętność.

– To proste, nauczę cię.

Mam ochotę popukać się palcem w czoło. Nie będę robiła z siebie pośmiewiska przed sąsiadami.

– Kiedyś może ci się to przydać – dodaje, widząc mój brak entuzjazmu.

– Przecież matka patrzy. – Liczę, że tego argumentu nie podważy.

Władek obraca się. Przez chwilę szuka czegoś wzrokiem, a potem głośno krzyczy:

– Chciałbym nauczyć Sophie jeździć na rowerze! Czy mogę?

Pragnę zapaść się pod ziemię. Choć nie, jeszcze bardziej pragnę go zabić.

Pełna obaw obserwuję reakcję matki. Zaskoczenie malujące się na jej twarzy, a potem lekkie skinienie głową.

– No widzisz, jakie to proste.

Władek uśmiecha się, zupełnie lekceważąc moją nadąsaną minę.

– A teraz złap za kierownicę.

Łapię.

– Przełóż jedną nogę przez ramę i usiądź na siodełku.

Robię, co mówi, i próbuję podwinąć spódnicę tak, aby nie wplątała się w koła, a jednocześnie nie odsłaniała nóg powyżej kolan.

– Nie dosięgam do ziemi – stwierdzam, gdy w końcu siedzę na siodełku. Jest okropnie twarde.

– Masz dosięgać pedałów. Postaw na nich stopy.

Próbuję. Rower trzęsie się złowrogo. To niemożliwe, żeby utrzymały mnie dwa tak cienkie koła.

– Teraz jedź!

Boję się odepchnąć.

– Musisz zacząć kręcić pedałami – Władek mówi głośno, a ja słyszę śmiechy dzieci, gdzieś za sobą.

– Przecież wiem! – mówię zażenowana, ale w końcu ruszam.

Trudno mi złapać równowagę. Co chwila przechylam się to na jedną, to na drugą stronę. Gdyby nie Władek, który cały czas trzyma rower za siodełko, przewróciłabym się. To dziwne uczucie – całkowicie zależeć od siły jego dłoni, zaufać im.

– No widzisz – śmieje się. – Jedziesz.

– Nie wiem dokąd – krzyczę, bo w uszach hula mi wiatr.

– Do ogrodu.

Skręcam. Mijam chlewiki. Zostawiam za sobą gwar podwórka. Za „tylnym” domem udeptany plac zmienia się w wąską ścieżkę. Obok niej rośnie kilka owocowych drzew. Nazywamy to miejsce ogrodem.

Całą uwagę skupiam na kierownicy. Czuję się coraz pewniej. Rower już się nie chybcze. Trudno mi w to uwierzyć, ale zaczynam nad nim panować.

– Jedziesz sama.

Głos Władka jest odległy, zbyt odległy.

Mija kilka sekund, zanim łączę ten fakt ze zdaniem, które wypowiedział. Zanim przerażenie zaczyna krążyć w żyłach. Przewracam się.

Podbiega. Pyta, czy jestem cała, a potem, tak abym tego nie dostrzegła, sprawdza rower. Wiem, ile musi być wart. Pewnie gdybym go zniszczyła, nie starczyłoby kilkunastu wypłat na kupno nowego.

Obiecuję sobie, że już nie wsiądę, obojętnie, jak bardzo będzie nalegał.

– Dziękuję – mówię, próbując wstać. – To było miłe.

– Zosiu, poczekaj.

Władek powstrzymuje mnie gestem ręki. Siada obok.

To dziwne, ale gdy jest tak blisko, znikają wszystkie lęki. Nie boję się karcących spojrzeń matki. Leniwych powrotów z pracy. Nie liczę czasu trwania naszych rozmów. Wciąż jestem tylko małą sąsiadką. Jeszcze nic się nie stało. Nic oprócz tego jego „Zosiu”, wymawianego tak miękko, że aż w brzuchu ptaki zaczynają trzepotać skrzydłami.

– Chodźmy w niedzielę do kina – prosi cicho i dotyka mojej dłoni.

Patrzę na silną rękę Władka. Na mięśnie wyrzeźbione przez drukarskie maszyny.

– Nie wiem, czy się zgodzą – mówię, czując rytm serca w skroniach.

Jest tak blisko jak jeszcze nigdy dotąd. Unosi rękę i delikatnie przesuwając kciukiem po mojej brwi.

– Nie będą mieli wyjścia. Zosiu. Chcę, żebyś była moja.

Wszystko wokół wiruje. Odurza mnie zapach owoców. Dojrzałych i gotowych do zbioru.

* * *

– I po co się tak stroisz?

Matka patrzy krytycznie na bezowocne próby związania włosów w kok. Jednocześnie cały czas ceruje dziurę w spodniach Antka. Jej palce poruszają się szybko. Igła przebija materiał, zanurza się w splotach, a po chwili wypływa kilka centymetrów dalej. Wiem, że szew będzie idealnie prosty. Myśli błądzące wokół mojej fryzury nie zaburzają jednostajności wykonywanej pracy. Góra dół, góra dół.

Wzrok również jest zbędny. Szwaczka zna na pamięć teksturę materiału, jego grubość i odstęp, który musi zachować, aby zacerowane spodnie wytrzymały drzazgi w płotach i chropowatość ulicznego bruku.

– Takie same koki upinałam córkom Frau Linder – mówię, próbując przytrzymać szpilką kolejne pasmo. – Ale na moich włosach nic nie wychodzi.

– Bo twoje włosy nie są pańskie.

Słowa matki brzmią gorzko, ale jakby na przekór ociężałe podnosi się z taboretu, podchodzi do mnie i kilkoma sprawnymi ruchami układa fryzurę.

Jestem zaskoczona. Wyczuwa to, bo gdy znów pogrąża się w przerwanej robocie, mówi ni to do mnie, ni do siebie:

– Przecież ja też byłam kiedyś młoda.

Odwracam się.

Opowiedz mi o tym, jaka byłaś – proszę w myślach, ale ona już nie zwraca na mnie uwagi.

Denerwuję się. Nie wiem, dlaczego wciąż myślę, że robię coś złego. Że to, co czuję, gdy Władek dotyka mojej ręki, gdy pochyla się nade mną, jest niewłaściwe. Powinnam zagłuszać pragnienia. Nie myśleć. Nie wyobrażać sobie. Ale gdy budzę się w nocy, na wpół rozespana... umysł nie chce słuchać. Jestem pewna, że matka kazałaby mi klęknąć na grochu i prosić Boga o odpuszczenie. Nie chcę przeproszać za coś, co daje mi tyle szczęścia.

Przykładam czoło do chłodnej szyby okna. Czekam, aż Władek wyjdzie i skinieniem ręki poprosi,

abym zeszła. Ledwie siebie rozpoznaję w odbiciu. Wcięta w pasie granatową sukienkę pożyczyła mi Trudi. Nigdy nie miałam na sobie czegoś równie ładnego. Okręcam się dookoła. Dół unosi się i wiruje wraz ze mną. Matka wzdycha, ale już nic nie mówi, pochłonięta szyciem.

To Władek zapytał, czy możemy pójść razem. Trzymając mnie za rękę, podszedł do ojca, skłonił nisko głowę i poprosił o pozwolenie.

Ojciec długo nie odpowiadał. Odkąd przeprowadziliśmy się do tych domów, mówi niewiele. Czasem odnoszę wrażenie, że odszedł od nas tamtego zimowego popołudnia i już nie powrócił. W końcu poczęstował Władka papierosem. Ten gest oznaczał akceptację. Zrozumiałam.

W domu już nikt nie poruszył tematu naszych spotkań. Władek jest Polakiem, synem powstańca. Jest też fachowcem, który może mnie utrzymać. To przeważa szalę.

A jaką szalę ja mogę przeważać?

Wczoraj w sklepie spotkałam Zaleską. To dziwna kobieta. Boję się jej lodowatego spojrzenia i słów, których nie wypowiada głośno. Jeszcze nie. Pewnie myśli, że jestem tylko kolejnym wieczorem, tygodniem. Jest pewna, że zniknę.

Władek wychodzi na podwórko, podnosi głowę, a ja, oprócz uśmiechu, dostrzegam cień, który ledwie zauważalnie przemyka przez jego twarz. Zbiegam po schodach i wmawiam sobie, że tylko mi się zdawało.

Nigdy nie byłam w kinie, więc świat wyłaniający się zza oklejonych plakatami drzwi jest tajemniczy i ekscytujący. Mnóstwo w nim nieznanych zapachów i dźwięków.

Rozglądam się zaciekawiona. Zatrzymuję wzrok na pięknych aktorkach. Uśmiechają się z czarno-białych fotografii. *Tajemnica kapelana. Cienie na honorze. Zatajone macierzyństwo.* Opisy na plakatach sprawiają, że dostaję gęsiej skórki. Mam wrażenie, że coś niedoścignionego, ulotnego jak sen stoi w zasięgu mojej ręki. Wystarczy sięgnąć i...

– No, chodź już.

Władek chwyta mnie za łokieć. Przez zakryte kotarą drzwi wchodzimy do sali kinowej. Jest ciemno. Nagła zmiana natężenia światła sprawia, że prawie nic nie widzę. Blask bijący z ekranu nie pomaga. Potykam się o schodek. Mój towarzysz podtrzymuje mnie. Zbyt mocno wbija palce w ramię.

Przeciskamy się między rzędami siedzeń.

– Przepraszam – mamrocze, gdy czuję, że nadepnęłam na czyjąś stopę.

Władek znów ciągnie mnie za sobą.

– Siadaj, to nasze miejsca.

Słyszę poirytowanie w jego głosie, więc spłoszona szybko siadam i... boleśnie ląduję na ziemi. Kapelusz spada z głowy. Toczy się gdzieś między fotelami. Zupełnie nie wiem, co się stało.

– Sophie, co ty robisz? To się przecież rozkłada!

Wstaję obolała. Hamuję łzy. Dopiero teraz widzę, że siedziska foteli są uniesione. Skąd miałam wiedzieć?

Ktoś z przedniego rzędu podaje mi kapelusz. Dziękuję. Zakłopotana gniotę nerwowo miękki filc.

Obraz miga. Robi mi się niedobrze, więc mrużę oczy i staram się skupić uwagę na relacji z zawodów sportowych, którą oglądam. Biegaczka otrzymuje medal. Z ekranu płynie melodia polskiego hymnu. Następne ujęcie. Mężczyzna przemawia do zebranych ludzi. Widzę wysokie budynki i miasto niepodobne

do naszego. Czytam, że to wystawa światowa w Paryżu. Znowu zmiana. Tym razem wyświetlane sceny są mi bliższe. Chłopi na polach układają snopki siana. Kobiety nalewają kawę z dzbanków, rozwijają zapakowany w szmatkę chleb. W końcu ekran przyciemnia się, by po chwili znowu rozbliysnąć. To początek filmu, na który przyszliśmy.

Patrzę na góry, których nigdy nie widziałam. Ale moje myśli są blisko Władka. Jest na mnie zły? Dlaczego? Czy narobiłam mu wstydu własną niezdarnością? Czy kiedykolwiek zabierze mnie gdzieś jeszcze?

Obracam lekko głowę. Siedzi sztywno. W jego oczach rozgrywają się sceny filmu.

Kładę rękę na oparciu krzesła.

Przepraszam – szepczę w myślach. Pragnę poczuć dotyk, który złagodziłby lęk.

Nie widzi mojego gestu.

Film się kończy. Nie wiem, czy szczęśliwie. Znowu muszę przejść labirynt krzesel, stopni i zbyt miękkich wykładzin.

Wracamy do domu w milczeniu. Cisza potrafi krzyczeć głośniej niż słowa.

– Podobało ci się? – pyta, gdy wchodzimy na podwórko.

– Nie – mówię i uciekam od jego odpowiedzi.

* * *

Jedynie rodzeństwo zauważa mój powrót. Są ciekawi kina, zadają setki pytań, na które nie mam ochoty odpowiadać. Odpycham dzieci i wchodzę do izby. Zamykam za sobą drzwi.

Rzucam się na łóżko. Tak jak stoję. W sukience i misternym koczku. Zagryzam usta, połykam łzy.

Budzi mnie skrzypienie nienaoliwionych zawiasów. Nie wiem, kiedy zasnęłam.

– Władek przyszedł.

Nieprzytomnie patrzę na główkę Helenki wsuniętą w szparę między futryną a drzwiami. Kuchenne światło wślizguje się, omijając jej drobniutką postać.

Wstaję, pocieram dłońmi zaspane oczy. Coraz więcej pytań krąży wokół. Nie poznam odpowiedzi, jeśli tu zostanę. Biorę głęboki oddech i wchodzę do kuchni.

Władek siedzi przy stole naprzeciw ojca. Przestrzeń między nimi jest niepokojąco pusta. Nie ma wódki. Nie postawiono nawet dzbanka z kawą. Obaj patrzą na mnie. Nie potrafię nazwać emocji, które rysują się na ich twarzach.

Odwracam wzrok. Szukam matki, z jej oblicza łatwiej czytać. Stoi oparta o krawędź pieca. Jest blada. Mimo późnej godziny nie ma dzieci, pewnie wygoniono je na plac, aby nie przeszkadzały w rozmowie. Już wiem, że stało się coś złego.

– W hucie będą zwolnienia. Jestem na liście. – Ojciec mówi krótko.

Zerkam na Władka. To on musiał przynieść wiadomość.

– W Reducie gra kadrowiec z hut. Dziś rano na próbie jakoś się zgadało – wyjaśnia.

Nie potrafię zapanować nad uczuciem ulgi, która mnie ogania. Poznałam powód jego zdenerwowania.

– Nie wiedziałem, jak ci powiedzieć – mówi miękko.

Nogi zaczynają się pode mną uginać. Widzę Antka, Helę i Agnes, jak wybierają węgiel

z biedaszybów. To, co dostaję z jadłodajni, nie starczy nawet na chleb.

Całą uwagę skupiam na twarzy Władka. Histerycznie próbuję odnaleźć w niej spokój.

Pomóż mi – błagam w myślach, bo nagle uzmysławiam sobie, że los nas wszystkich zależy ode mnie. Ojciec nie podniesie się po kolejnym upadku, matka ukryje twarz w dłoniach, aby nie patrzeć, jak marnieją jej dzieci.

Władek zamyka oczy, pewnie chce się odciąć od mojego spojrzenia. Nieznośne tykanie zegara mąci ciszę.

– Panie Trauter... – Władek, jakby dla wzmocnienia wagi słów, kładzie obie ręce na blacie stołu. – Za ogrodem jest szopa. Ojciec ją postawił. Z bratem robili tam meble. Kiedy zmarł, a brat wyjechał, zamknąłem warsztat i teraz wszystko stoi puste.

Widzę, jak ojciec podnosi głowę, pewnie tak jak ja zastanawia się, po co Władek mówi to, o czym wszyscy wiemy.

– Otwórzcie tam kuźnię.

Jestem zaskoczona. Miał nam pomóc, a nie bredzić. Kuźnię? Jak? Za co?

– Przecież to wasz grunt, trzeba tylko zbudować piec. Wiem, gdzie można zdobyć cegły.

Zerkam na ojca.

– Ale skąd zamówienia? – pyta.

– Widziałem wasze rzeczy. Są piękne. Panie Trauter, pan ma talent. Będą zamówienia, nie bójcie się.

Słowa Władka brzmią kojąco. Odruchowo kieruję wzrok na miedzianą różę. Odkąd pamiętam, leży na byfyju. Najpierw na starym mieszkaniu, teraz tu. Wiem, że ojciec ją zrobił. Nigdy nie zastanawiałam się, jak ogromnego talentu trzeba, aby metal zmienić w kwiat.

* * *

– To naprawdę takie proste?

Doganiam Władka na schodach. Wyszedł, pozostawiając ojca z ledwie zaszczeplonym pomysłem.

– Może się udać?

Chwytam jego rękę. Przyciąga mnie do siebie i całuje.

– Musi, Zosiu – mówi, gdy próbuję złapać oddech.

Palcami błądzi po moim policzku, jak gdyby chciał się upewnić, że dziś nie popłyną po nich łzy.

Nie tak wyobrażałam sobie tę chwilę. Zamiast ciemniej sieni w marzeniach zawsze były słońce i las. Zamiast niepewności – radość.

Wszystko było inne. Oprócz lekkości, którą teraz czuję. Na przekór rozsądkowi.

Marzec 1939

Wydeptany chodniczek skręca za dom, omija drzewa i dociera do kuźni. Ostrożnie stawiam stopy, nie chcę się poślizgnąć. Pod zarzuconą na ramiona chustą niosę kotka, który wierci się nieznośnie.

– Utoniesz w śniegu, jeśli cię puszcze – mówię i przytulam go mocniej.

Śnieg skrzypi pod nogami. Wiem, że w marcowym słońcu zasy szybko stopnieją, ale o 5.30 nadchodzącą wiosnę zwiastuje jedynie brzask, który z każdym dniem przychodzi wcześniej.

Zatrzymuję się przed wejściem do szopy. Potężne wrota są otwarte na oścież. Czuję ciepło bijące ze środka. Ojciec, pochylony nad kowadłem, uderza młotem w kawał metalu. Co powstanie z rozżarzonego pręta? Element bramy? Zdobiona kłamka? A może hufnal do końskiej podkowy?

Zastanawiam się, o której wyszedł z domu.

Tak wiele się zmieniło przez ostatnie lata.

Gdy stałam tu po raz pierwszy, nie potrafiłam uwierzyć, że pusta przestrzeń, wypełniona jedynie słodkim zapachem spróchniałego drzewa, może stać się kuźnią, która będzie przynosiła zyski.

Nic nie było proste. Każda cegła, z której powstawał piec, każde cudem zdobyte narzędzie, dosłownie wszystko okupione było wyrzeczeniami i wymagało zaciskania pasa. Szybko zabrakło kolejnych dziurek.

A potem tygodnie oczekiwania na pierwsze zlecenia.

Gdyby nie Władek...

Iskry spadają na podłogę. Przyglądam się gotowym wyrobom ustawionym pod ścianą. Zmieniają się w materiał na odświeżone sukienki dla dziewczynek, w rolady na wielkanocny obiad.

– Hela i Antek ciągle go szterują[15]. Może tu zostać?

Ojciec się prostuje. Odkłada młot, a trzymany w obcęгах kawał metalu zanurza w wiadrze z wodą. Zostawia go tam. Ręką wyciera pot z czoła.

– Matka cię wygoniła?

Przytakuję.

– Kazała go wynieść na dwór. Przecież zamarznie.

– Ależ ci prezent zrobił.

– To nie prezent. Okociły się w drukarni. Resztę znaleźli i utopili.

Ojciec kiwa głową.

– Zostaw. Siedzę sam, to sobie pogadamy.

Stawiam kotka na podłodze. Ucieka w kąt.

Przyzwyczaj się. Będzie mu tu ciepło.

– Jak wrócę, przyniosę mleko – mówię.

Przyklękam, choć tak właściwie nie mam już czasu. Wyciągam rękę. Próbuję przywołać wystraszone zwierzątko.

Ojciec ma rację, to prezent. Urodzinowy. W poniedziałek skończyłam osiemnaście lat. Władek przyniósł mi czekoladki od Wedla. Nie oczekiwałam niczego więcej, ale on uparcie powtarzał, że ma dla

mnie jeszcze jedną niespodziankę.

I wczoraj wieczorem, gdy przyszedł do jadłodajni, wyciągnął zza pazuchy czarnego kotka.

Zaskoczył mnie. Kto daje koty w prezencie urodzinowym?

– Pamiętasz twoje polowanie na strychu? – spytał, tłumiąc śmiech.

Zanim zdołałam wymyślić odpowiedź, położył na moich dłoniach to małe stworzenie.

Odkąd pamiętam, pełno jest wokół mnie kotów. To intruzy. Brudzą pranie i nie dają spać w marcowe noce. Tolerujemy je, bo łapiąc myszy, chronią naszą spiżarnię. Nigdy nie myślałam, że ta puszysta kulka może sprawić radość.

Przytuliłam malca do piersi.

– Szczęściarz. – Władek westchnął i spojrzał na kota tak, jakby chciał być na jego miejscu.

* * *

Szczęściarz w końcu reaguje na nawoływania i podbiega. Drapię kotka za uchem, a on, rozbawiony, próbuje złapać moje palce. Podnoszę go i wtulam nos w miękkie futerko.

– Muszę już iść – szepczę. – Nie zbliżaj się do paleniska.

Mam nadzieję, że zwierzęta naprawdę boją się ognia.

Zarzucam szal na głowę i wychodzę. Mroźny wiatr uderza w rozgrzane policzki. Marzę o leniwych popołudniach, pełnych słońca i zapachu kwitnących drzew. Niech już przyjdzie wiosna.

– Sophie! – Słyszę czyjeś wołanie za plecami. Odwracam się.

Zaleska stoi na progu domu. Podparta pod boki. Jej okrągła jak miesiącek twarz wydaje się wiecznie zachmurzona.

– No chodźże tu, dziewczyno, nie będę krzyczeć przez plac.

Podchodzę posłusznie, choć najchętniej uciekłabym, tłumacząc się brakiem czasu.

– Zającowa wylała nocnik na schody. Śmierdzi, jakby diabła roztrząść.

– Przyślę Agnes, wytrze – mówię nieśmiało i cieszę się, że to tylko o rozlane nieczystości chodzi.

Zaleska bez słowa znika w sieni.

Gdy wchodzę do kuchni, jest już naprawdę późno. Zrzucam szal i trepy. W izbie zakładam biały fartuszek. Wszystkie w jadłodajni musimy takie nosić.

Matka wchodzi za mną. Kątem oka obserwuję, jak otwiera skrzynię, która stoi pod ścianą. Klęka i ciężko oddychając, grzebie w jej wnętrzu. Wstaje po chwili. Jedną ręką trzyma się za obolałe plecy, na drugiej leżą równo złożone poszewki. Wszystkie są nowe i śnieżnobiałe. Zupełnie zapomniałam, że matka trzyma je na dnie kufra, przykryte tymi codziennymi, pocerowanymi i zszarzałymi od ciągłego prania. Widocznie chce zmienić pościel na Wielkanoc. I w dodatku miesiąc przed świętami?

– Po co to? – pytam.

Podchodzi do mnie i rzuca mi na ręce powłoczki. Drobin kurzu wzbijają się w górę.

– Jak przyjdiesz, to sobie wyhaftujesz inicjały. Trzeba też przejrzeć ręczniki i iść do Żyda po lniane obrusy.

– Po co? – powtarzam.

Matka łypie na mnie spod oka, tak jakby odpowiedź była oczywista.

– Bo coś mi się widzi, że Władek tylko wiosny czeka – mówi poważnie.

Kwiecień 1939

*Przyszli my tu po śmierguście,
jeno nos do izby puście,
piyknie dziołchy polejemy,
podłogi nie zalejemy.
Dejcie jajca malowane
i kołoczki cukrowane,
dejcie jajce pięć,
a byda wasz zieńć.*

Schody dudnią pod naporem chłopięcych butów. Agnes zrywa się z krzesła i biegnie w kierunku uchylonych drzwi izby.

– Tylko się tam nie chowaj, bo pierzyny zaleją – krzyczy matka i tarasuje jej drogę.

Moja siostra zatrzymuje się bezradnie na środku kuchni. Przeszępuje nerwowo z nogi na nogę. Czeka. Nie boi się wody. Dziś jest piękna pogoda. Słońce szybko wysuszy mokre spódnice. Agnes obawia się, że mogliby ominąć nasze drzwi.

Pochylona nad stołem spokojnie kroję modrą[16] kapustę na obiad. Władek zadośćuczynił tradycji, gdy wracaliśmy z porannej mszy. Inni się nie odważą, przecież wiedzą, że za mną stoi.

Drzwi trzaskają o framugę. Chłopcy wpadają niczym stadko kóz, ale zatrzymują się na sekundę, kłaniają ojcu i matce, a potem łapią pod ręce piszczącą Agnes.

– Nie po ścianach – krzyczy matka, ale oni już ciągną dziewczynę do sieni.

Wrzaski z parteru świadczą o tym, że córkom pana Stanika też nie przepuścili.

Agnes próbuje się wyrwać, choć oczywiście nie wkłada w to zbyt wiele wysiłku.

Helenka i Antek podbiegają do okna. Ja też przechyliłam się przez parapet, żeby widzieć, jak na dziewczęta leją się kolejne wiadra wody.

Nagle czuję, że ktoś obejmuje mnie w pasie i ciągnie w tył.

– Władek, co ty! – krzyczę. – Puść!

Ale on śmieje się tylko i nie zważając na protesty, bierze na ręce i wybiega na sieni. Schody spływają wodą.

– Postaw mnie! – Okładam go pięściami. – Obiad gotuję.

Nie wiem, po co się wysilam. Równie dobrze mogłabym krzyżeć do ściany. Nie ma mowy, aby udało mi się wyswobodzić z jego uścisku.

Władek zatrzymuje się dopiero na placu. Wczepiam się mocno w jego szyję. Nie pozwolę mu sięgnąć po leżące obok wiadro.

– Sophie!

Agnes biegnie do mnie. Woda spływa jej po włosach i bluzce, ale buzia promienieje.

Widzę, jak jeden z chłopaków przechyla w jej kierunku cebrzyk. Błyskawicznie wtulam twarz

w ramiona Władka i czuję, jak lodowata woda spływa po moich plecach.

Władek rozluźnia uścisk. Staję na ziemi, która przypomina teraz błotniste bajorko.

– No i masz za swoje – parskam śmiechem, widząc, jak wyciera rękawem zalane wodą oczy.

* * *

– Możesz dziś nie przychodzić! – Siłę się na powagę.

W końcu chłopcy dali nam spokój, a raczej zakazano im nalewać wody do kolejnych wiader. Teraz stoją na progu sieni i czekają na kroszonki. Matka krzywi się na takie tradycje. Twierdzi, że to marnotrawstwo jajek, z których można było zrobić jajecznicę na wielkoponiedziałkowe śniadanie. W piątek widziałam, jak Agnes po kryjomu farbowała kilka i chowała w szufladzie pod bielizną. Ja swoją, czerwoną, dałam Władkowi dziś rano. Kilka godzin drapałam na niej kwiaty i gałązki bazi.

– Będę o piątej – stwierdza Władek, ściągając przez głowę moką koszulę.

Pochyla się lekko. Wykręca mokry materiał, a ja nie potrafię oderwać od niego wzroku. Policzki znów mi płoną, a dziwne napięcie gdzieś w dole brzucha sprawia, że trudniej mi oddychać.

– Idę już – jąkam.

Prostuje się.

– No, co? – pyta, a oczy zaczynają błyszczeć mu figlarnie.

Wiem, że nie udało mi się ukryć emocji, które we mnie wzbudza. Wzruszam ramionami i uciekam do domu.

* * *

Zaleska przez dłuższą chwilę rozgląda się po kuchni, w końcu podchodzi do zastawionego stołu. Dzbanek z kawą i kołocz[17] stoją tuż obok zisty[18] w kształcie baranka. Gdy byłam młodsza, rok w rok prosiłam matkę, aby pozwoliła nam go zjeść już w wielkanocną niedzielę. Oczywiście nigdy się nie zgodziła. Wielkanocnego baranka jemy dopiero tydzień po świętach, gdy już zupełnie wyschnie i smakuje kurzem zamiast lukrem, którym jest polany.

– Siadajcie. – Matka odsuwa jedno z krzeseł. Widzę po jej minie, że jest zaskoczona. Podobnie jak ja.

Patrzę wyczekująco na Władka. Nie wspomniał, że dziś przyjdą razem. Zaleska nigdy nie ukrywała niechęci do naszej rodziny, więc dziwi mnie, że zdołał namówić ją do odwiedzin.

Władek jest spięty. Stoi prawie na baczność. Zaczynam się zastanawiać, co złego mogło się wydarzyć.

W końcu, gdy wszyscy już siedzą, sięga do kieszeni i wyciąga z niej niewielkie pudełko owinięte czerwoną wstążką.

– To dla ciebie – mówi cicho.

Jego broda drży prawie niezauważalnie, jak zawsze, gdy jest zdenerwowany.

– Mam nadzieję, że to nic żywego. – Próbuję rozładować napięcie, ale Władek nie odpowiada.

Pospiesznie zrywam wstążkę, odchylam wieczko pudełka. W środku leży jajko. Kroszonka. Chwytam je i delikatnie wyjmuję, zastanawiając się, co to znów za pomysł wpadł do głowy mojemu chłopcu.

Obracam w palcach podarek. Przyglądam się wygrawerowanym kwiatom o złożonych płatkach, maleńkim pączkom i ceniom na listkach. Dopiero po chwili zauważam zatrask. A więc jajko kryje

w sobie coś jeszcze.

Odsuwam haczyk. Unoszę górną część.

Wewnątrz, na czerwonej poduszeczce leżą kolczyki i wisiołek z niebieskim oczkiem. Mieni się jak tęcza.

– Dziękuję – szepczę wzruszona.

Władek patrzy mi prosto w oczy. Już znam słowa, które zaraz wypowie. Czekam na nie.

– Chciałbym prosić o rękę Zosi... Sophie.

Zapada cisza. Widzę, jak palce mojej przyszłej teściowej gniotą brzeg obrusu. Musiała wiedzieć, po co ją do nas prowadzi, a mimo to nie jest w stanie zapanować nad emocjami.

Władek podchodzi do mojej matki, całuje ją w rękę. Ona uśmiecha się blado. Ojciec milczy, jak zwykle, ale wiem, jaka jest jego odpowiedź. Nie mogłaby być inna. Czuję, jak wypełnia mnie radość. Kawalek po kawaleczku. Całą.

* * *

– Trzeba obstalować ogłoszki – mówi matka i nakłada Zaleskiej kolejny kawałek kołocza.

– Ślub musi być szybko. Najlepiej jeszcze w maju.

– W maju? – Zaleska patrzy na syna spod zmarszczonych brwi. – Nikt nie robi ślubów w maju, to przynosi nieszczęście.

– Musimy się spieszyć – Władek mówi stanowczo, a ja zaczynam obliczać, czy damy radę zdążyć z przygotowaniami.

Mimo pochylonej głowy czuję, że wszyscy patrzą teraz na mnie. Cóż, ja też znam tylko jeden powód, dla którego młodzi spieszą się ze ślubem.

– W każdej chwili trzeba się liczyć z mobilizacją – wyjaśnia Władek, wybawiając mnie z kłopotu.

– Hitler ma Morawy, teraz się uspokoi.

Zaleska prostuje się na krześle.

– Teraz chce Gdańską – mówi ostro.

– To mu go dajcie. – Głos ojca brzmi stanowczo. Zbyt stanowczo.

Cisza, która zapada, jest piorunująca. Właściwie dziwi mnie, że Zaleska jeszcze nie wyszła. Jako żona powstańca miałyby do tego prawo.

– Jemu nie chodzi ani o Gdańsk, ani o Śląsk – Władek odrobinę podnosi głos. – Europa patrzy na Wschód, a Führer powoli ją zjada.

Ojciec wstaje. Zamieram. Nie chcę kłótni, która wisi w powietrzu.

– Chłopcze, ja wiem jedno. Wojna jest straszna. A umieranie boli, bez względu na to, czy jesteś Ślązakiem, Polakiem czy Niemcem.

Sięga po wódkę i bez pośpiechu nalewa dwa pełne kieliszki.

– Panie Trauter – Władek przechyla jeden i energicznie odstawia pusty – wojna jest nieunikniona.

28 maja 1939

– Boisz się, Sophie?

Pierzyna szeleści. Czuję, że Agnes obraca się na bok i wsparta na łokciu wpatruje we mnie ponad głową śpiącej Heli.

– Czego? Ślubu?

– Nie, tego, co będzie później. Nowego życia.

– Nowego? Agnes, przecież przenoszę się tylko na drugą stronę placu.

Ziewam i wtulam twarz w róg jaśka. Od godziny próbuję zasnąć. Jak będziemy jutro wyglądały, jeśli przegadamy pół nocy?

Ale Agnes zupełnie nie przejmuję się perspektywą zapuchniętych oczu. Wierci się przez chwilę, a w końcu opiera poduszkę o zagłowie łóżka i siada, wspierając na niej plecy.

– Jak myślisz? Jak to będzie?

Wzdycham ciężko. Podnoszę się i obejmuję ramionami kolana. Z tuzinem wałeczków we włosach pewnie i tak bym nie zasnęła. Przemykam oczy i staram się ogarnąć to, co mi szumi w głowie od kilku dni.

– Każdego ranka będę gotowała nam kawę zbożową. Nigdy nie zrobię Władkowi kakauschal[19].

Siostra próbuje stłumić śmiech, sama również uśmiecham się na myśl o przywileju decydowania o własnej kuchni.

– Zawsze będą kwiaty na stole i białe zazdrostki w oknach. A byfjy pomalujemy na zielono.

– Wszyscy mają białe – wtrąca Agnes.

– Nasz będzie inny.

– Jezu, jak to ciągnie – siostra mamrocze pod nosem, słyszę szelest papieru, który zwinięty w ruloniki udaje piloty. – Mów dalej, Sophie.

– Wieczorem usiądziemy za stołem i przy zapalanej świecy opowiemy sobie o całym dniu, o tym, co było dobre, a co złe.

– A w niedzielę?

– W niedzielę pojedziemy pociągiem w góry.

– Tylko tego chcesz? Niczego więcej?

Pytanie Agnes sprowadza mnie na ziemię. Otwieram oczy.

– Władek obiecał, że jak odłożymy trochę pieniędzy, kupi mi maszynę do szycia. Wiesz, tę, którą widziałyśmy w sklepie u Rottenberga. Będę szyła kobietom fartuchy i sukienki, a może kiedyś uszyję ci taką jak ta moja.

W zupełnych ciemnościach, które nas otaczają, próbuję dojrzeć wiszącą na drzwiach ślubną suknię. Włożę ją jutro rano.

Czuję w sobie nadmiar emocji. Podekscytowanie, którego nie chcę tłumić. Zrywam się. Okrażam łóżko i siadam przy siostrze. Ściskam jej dłonie.

– Agnes, chcę być żoną Władka tak samo mocno, jak ty chcesz zostać nauczycielką. Rozumiesz, nie

pragnę niczego więcej.

Pochyłam się i czołem dotykam naszych splecionych palców. Przez kilka chwil ciszę przerywają pomruki dobiegające z huty. Tam praca nigdy się nie kończy.

– Ty, Antek, Helenka i ja. Będziemy szczęśliwi. Słyszysz, wbrew wszystkiemu damy sobie radę. Wierzę w to, Agnes.

Siostra przytula się do mnie. Wokół unosi się słodki aromat.

– Czym tak pachniesz? – pytam, dotykając jej policzka. Ma dziwnie śliską skórę.

Agnes chichocze.

– To mydło, które dostałaś w paczce od ujka[20]. Na opakowaniu stało że skóra jest po nim miękka. Pomyślałam, że jak zostawię mydliny na całą noc, będę jutro ładnie wyglądała.

Wyskakuję z łóżka. Ciągnę moją mądrą siostrę za sobą.

– Jutro będziesz cała czerwona.

Otwieram drzwi do kuchni. Welon, zawieszony obok sukienki, unosi się i opada lekko na nasze ramiona.

– Zmyj to, szybko – mówię, nalewając po ciemku wody do miski, która stoi na ryczce[21].

– Ale Sophie! – Agnes protestuje płaczliwym głosem.

Nagle robi się jasno.

Matka, pochylona nad nocną lampką, mruży zaspane oczy.

– Co wy robicie? – Patrzy na nas wyraźnie wystraszona.

Od czasu, gdy jeszcze w poprzednim domu, na wpeł śpiąc, zrzuciłam zapaloną karbidkę na łóżko rodziców, boi się nocnych wędrówek dzieci. Wtedy omal nie doprowadziłam do tragedii. Myślę, że po mojej przeprowadzce będzie miała spokojniejsze sny.

– Nic, kładźcie się, mamó. Agnes wpadła rżesa do oka, musi przepłukać.

Matka mruży coś pod nosem. Zdmuchuje płomień, obraca się plecami do ojca i natychmiast zasypia.

Pochyłam się nad miską, pomagam siostrze zmyć z twarzy mydło, a potem smaruję jej buzię grubą warstwą wazeliny.

– Nikt nigdy nie miał ładniejszej druhny – mówię miękko. Moje słowa są szczerze. Agnes nawet w zdobiących głowę zwitkach gazety i z zaczerwienionym nosem wygląda ślicznie.

– A teraz musimy iść do łóżka. Zaraz będzie świtało.

* * *

Nie czuję senności, mimo że spałyśmy zaledwie kilka godzin. Siedzę na krześle i pozwalam Trudi znęcać się nad moimi włosami.

– Czekaj, wsunę jeszcze jedną szpilkę. Jak ci welon spadnie przed oczepinami, będzie tragedia.

Wzruszam ramionami. Nie wierzę w zabobony, w końcu biorę ślub w maju.

Kątem oka zerkam na zamieszanie panujące wokół nas. Agnes i Hela z wypiekami na twarzach biegają wte i wewte. Obie pięknie wyglądają w kremowych sukienkach z bufiastymi rękawami, choć Agnes nie chciała wpiąć we włosy wstążki. Twierdzi, że wstążki są dla małych dziewczynek.

W kuchni słyszę szum rozmów. Goście powoli się schodzą. Z coraz szybciej bijącym sercem nasłuchuję muzyki, która będzie zwiastowała przybycie mojego miłego.

A jeśli pomylę się, jeśli zapomnę słów przysięgi? Albo nie uklęknę w porę przy podniesieniu?

Co mam zrobić z bukietem? Dać go Agnes czy Trudi? A może powinnam trzymać kwiaty w rękach przez całą mszę?

Czuję, że powoli ogarnia mnie panika. Wstaję, nie zważając na krzyki Trudy, która dziś z wyzwolonej dziewczyny zmieniła się w tradycjonalistkę.

– Nie podochoź do okna. Zobaczy cię.

Odwracam się do niej. Chcę powiedzieć, że przesadza, ale przerywają mi zduszone dźwięki akordeonu, które dobiegają zza ściany.

– Przyszli. – Moja przyjaciółka klęka przy mnie i układa dół sukni. – Agnes! – woła. – Łap za welon. Tylko delikatnie! Nie szarp tak! I na miły Bóg, nie potknij się!

Robi kilka kroków w tył i cmoka z zadowoleniem.

– Gotowe, jesteś piękną panną młodą. Teraz czekajcie tu.

Uchyła drzwi zaledwie na kilka centymetrów, ale nieoczekiwanie znów je zamyka i podchodzi do mnie.

– Zapomniałabym – mówi i zawiesza mi na szyi złoty łańcuszek. – Coś pożyczonego.

Gdy wychodzi, zostajemy z Agnes same. Nie wiem, która z nas jest teraz bardziej zdenerwowana.

– Tylko spokojnie. – Biorę głęboki oddech.

Zerkam na okno – moje lustro. Wszystko jest takie czyste i jasne. I sukienka, i welon spływający po plecach miękkimi falami. Jedynie zieleń mirtowego wianka kontrastuje z wszechobecną bielą.

Czy dziś mu się spodobam? Czy właśnie takiej żony pragnął?

Drzwi się otwierają. Władek stoi w głębi kuchni. W czarnym garniturze, białych rękawiczkach i z zaczesanymi do tyłu włosami wygląda... trochę jak nie mój Władek. Uśmiecham się niepewnie, a on dyskretnie puszcza do mnie oczko i wtedy całe napięcie znika. Robię kilka kroków w jego stronę i zatrzymuję się obok starosty. Heła przelotnie dotyka mojego ramienia, ale nie odwracam się do niej. Dopóki patrzę na Władka, wszystko jest dobrze.

* * *

Nie puszczajcie swoich dłoni, nawet jeśli zawierucha tych niepewnych czasów porwie każde z was w inną stronę. Zapamiętajcie to, co czujecie teraz. Bo właśnie pamięć pozwoli wam przetrwać.

Stary ksiądz, przyjaciel rodziny Zaleskich, patrzy na nas z tkliwością. A ja nie potrafię wyobrazić sobie żadnej rzeczy, która oderwałaby mnie od Władka. Która sprawiłaby, że nie będzie przy mnie mojego męża. Mojej pierwszej, jedynej miłości.

* * *

– Nie wchodź. – Władek łapie mnie za nadgarstek.

Spoglądam na niego zdziwiona, a potem, gdy bierze mnie na ręce, protestuję ze śmiechem.

Torba, którą trzymam, upada na podłogę. Nie potrafię przypomnieć sobie, czy było w niej coś

cennego, coś, co mogło się teraz potłuc.

Przejdźcie przez izbę to dosłownie kilka jego kroków. Siada na łóżku, nie wypuszczając mnie z objęć.

Trochę onieśmielona rozglądam się wokół.

Maleńki pokoik pachnie jeszcze farbą i szarym mydłem. Promienie słońca wpadają przez uchylone okno i rozświetlają białe ściany. Mam wrażenie, że jest jaśniej niż w kuchni u matki.

Nasz cały majątek to piec stojący na lewo od wejścia, stary byfyj ukryty pod kolejnymi warstwami olejnej farby, stół, dwa krzesła i łóżko z wiszącym nad nim obrazem Matki Boskiej. Pod ścianą stoi skrzynia z wiekiem malowanym w kwiaty. Nie wiem, gdzie Władek ją zdobył. Jeśli kupił, wydał majątek.

To wszystko, co dziś mamy. Ale to wszystko jest nasze. Nie potrzeba więcej.

Wtulam się w ramiona męża, a on dotyka ustami mojej szyi, sunie dłonią wzdłuż pleców. Zamykam oczy. Próbuję poddać się fali gorąca, która mnie ogarnia.

Nie potrafię.

– Ugotuję kawę. – Zrywam się gwałtownie.

Przeraża mnie to nagłe urzeczywistnienie snów.

Władek wzdycha.

– Pójdę po drugą torbę.

Kiwam głową.

Gdy tylko wychodzi, stoję przed lustrem zawieszonym nad stojakiem z miską. Nalewam z wiadra wody. Nabieram jej w dłonie i zanurzam twarz. Chłód przynosi ulgę, ale nie gasi ognia. W roztargnieniu przesuвам palcami po wystających kościach obojczyka.

Wiem, że jestem za chuda. Ledwie zarysowane piersi i jeszcze dziewczęce biodra dotąd skutecznie ukrywałam pod sukienkami, ale dziś...

Zapominam o kawie.

Brakuje mi powietrza. Podchodzę do okna. Babka Zającowa tak widziała moje dorastanie. Może właśnie dlatego umarła cichutko dwa tygodnie temu, abym mogła tu stać się kobietą.

Słyszę skrzypienie drzwi. Kroki i delikatny zapach tytoniu.

– *Biorę ciebie, Zosiu, za żonę...* – Słowa niedawno wymawianej przysięgi wywołują gęsią skórę. Odwracam się. – *I ślubuję ci miłość* – Władek przygarnia mnie do siebie i całuje. Tak jak jeszcze nigdy. – *Wierność* – wypowiada miękko, gdy ja próbuję złapać oddech. – *I uczciwość małżeńską*. Dotyka palcami najwyżej zapiętego guzika mojej sukienki. Rozpina go. To samo robi z kolejnym i kolejnym. – *Oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci*.

Sukienka spływa.

Pochylam głowę. Boję się rozczarowania, które zobaczę w jego oczach.

Łapie mnie za podbródek. Zmusza, abym na niego spojrzała. W przymglonych oczach, w napiętych mięśniach, w drzeniu warg widzę żar, którym prawie płonie. I miłość... do mnie.

Nie potrafię mówić tak jak on, nie potrafię dotykiem wyrazić pożądania, zaspokoić pragnień.

– Naucz mnie – szepczę, gdy znów bierze mnie w objęcia.

– Wszystkiego – mruczy jak kot.

Całuje moje ramiona. A ja czuję, jak z każdym dotykiem jego ust znika reszta wstydu. Tego

wyuczonego przez matkę. Wpojonego na lekcjach religii.

Lipiec 1939

Nie pamiętam tak upalnego lata. Wszystko wokół gorące i jakby zamglone od blasku. Nawet nasze podwórko wydaje się ładniejsze niż zazwyczaj. Choć pył z wysuszonej ziemi gryzie w oczy i wdziera się do nosa, nikt się nie uskarża. Ważne, że człowiek nie marznie i nie musi starać się o opał.

W wolnej chwili można pójść do ogrodu za domem i choć przez kilka minut poczuć się jak na wsi. Najczęściej można spotkać tam Antka, rozkłada się na kocu i niby pilnuje kozy, a tak naprawdę całą swoją uwagę poświęca leżącej przed nim książeczce. Przygląda się kolorowym obrazkom i próbuje składać literki.

Matka goni go za to czytanie, bo niby co z tego za pożytek, a innej roboty zawsze pełno. Ale on nie zważa na groźby.

Wiem, że to nagłe zamiłowanie Antka do czytania jest zasługą Władka. To on przynosi mu zdobycie w Reducie książki dla dzieci, a czasem coś co akurat wychodzi z drukarni.

Codziennie dziękuję Bogu za to, jakiego mam męża. Za pracę, która jemu przynosi tyle satysfakcji, a nam pieniądze na dobre życie.

Czasem aż boję się, że to wszystko pęknie, ale potem zaczynam tłumaczyć sobie, że nawet w Biblii po latach chudych następowały te tłuste, i to mnie uspokaja.

Jutro niedziela, Władek nie pracuje i obiecał, że pojedziemy nad rzekę. Zabierzemy też dziewczynki i Antka, choć na razie nic im o tym nie mówiłam. Jeśli coś nie wyjdzie, będą zawiedzeni.

Jeśli cały dzień mam spędzić na błogim lenistwie, dziś muszę nadgonić z robotą. Umyłam już schody w obu domach, zmiotłam podwórko, a teraz zabieram się za gotowanie obiadu. Nie jestem dobrą kucharką. Niby jak miałam się nauczyć sztuki gotowania, skoro wiecznie brakowało składników na przyrządzanie smacznych dań. Cieszyliśmy się, gdy były choć sycące.

Teraz nadrabiam zaległości i odkrywam, jak wielką radość mi to sprawia. Dziś będzie eintopf[22]. I choć w wielkim garze gotuje się jedynie odrobina mięsa, przede mną leży cała sarta warzyw, które udało mi się dostać na targu. Kroję drobno kalarepkę, brukselkę, marchewkę. Gdy wrzucę warzywa do rosółu i dodam przypraw, w kuchni uniesie się przepiękny zapach, który od dzieciństwa kojarzy mi się z latem.

Ostatnio ojciec opowiadał, że w którejś z gazet napisano, że niemieccy politycy zalecają gotowanie eintopfu nawet na niedzielny obiad. Zaoszczędzone w ten sposób pieniądze mają wspomóc najuboższych.

Uśmiecham się do skwierczących w brytfance rolad. Jutro razem z szalotem wezmę je nad rzekę. Nikt nie wróci głodny.

– Sophie, jakiś pan do ciebie.

Drzwi do izby otwierają się niespodziewanie. W pierwszej chwili mam ochotę dać burę Agnes, że po raz kolejny wchodzi bez pukania. Ale jestem zbyt ciekawa tego, co przyniósł mężczyzna stojący za nią.

– Niech pan wejdzie – mówię, wycierając ręce w fartuch. – Proszę usiąść, zaraz naleję kompotu. Dziś tak gorąco, że pewnie chce się panu pić.

Mężczyzna wzdycha ciężko i nadal stoi zaraz przy drzwiach, a ja dopiero teraz zauważam, że coś go trapi. Ma ściągnięte usta i głęboką bruzdę między oczami. To nie wróży nic dobrego.

– Pani Zaleska, stał się wypadek.

Mężczyzna w końcu siada za stołem i zaczyna mówić. Natychmiast oblewa mnie zimny pot. Cóż, tu, na Śląsku, gdzie w każdej rodzinie jest górnik, wypadek kojarzy się z jednym. Szybko jednak uzmysławiam sobie, że rozmawiam z fotografem.

– Pokryję wszystkie koszty – deklaruje. – Zapłacę za fryzjera, za nowy bukiet, ale musimy powtórzyć zdjęcia.

– Dlaczego? – pytam, czując, jak serce ściska żal.

– Czeladnik stłukł tabliczki. Pierwszy raz doszło u mnie do czegoś podobnego. Zapewniam panią, że ten chłopiec nie spędził u mnie ani minuty dłużej.

– To znaczy nie ma zdjęć?

Widzę, jak mężczyzna blednie.

– Nie ma – odpowiada głucho. – Naprawdę bardzo mi przykro.

Nie wiem, co powiedzieć. Specjalnie pojechaliśmy do zakładu fotograficznego, żeby mieć pamiątkę.

– Potargał mi się welon – mówię trochę bez sensu.

– Na nowy welon też dam – słyszę rezygnację w głosie fotografa.

– To już nie będzie to samo. To już nie będzie prawdziwe – odpowiadam, stawiając w końcu przed gościem szolkę[23] z kompotem.

Pije duszkiem.

– Robiłem już zdjęcia kilka dni po ślubie, to naprawdę nic nadzwyczajnego – fotograf próbuje mnie jeszcze przekonać.

Uśmiecham się, z jakiegoś powodu chcę pokazać mężczyźnie, że nie zasmucił mnie przyniesioną wiadomością. Wygląda na miłego człowieka, dobrze mu z oczu patrzy, po co ma mieć przeze mnie zmartwienie.

– Niechże chociaż porozmawia pani z mężem – fotograf wyciąga ostateczny argument.

Chcę już skończyć tę rozmowę.

– Zrobię to. Damy panu znać, jeśli się zdecydujemy – mówię spokojnie. Choć decyzja została podjęta.

Fotograf kłania się w pas i przeprosza mnie jeszcze co najmniej kilka razy. Ale w końcu udaje mi się zamknąć za nim drzwi.

– Sophie, musisz się zgodzić! – Agnes wpada do izby, nim z powrotem zabieram się za krojenie warzyw.

– Podśluchiwałaś! – stwierdzam ostro.

– Nie możecie nie mieć zdjęć!

– Mamy kilka sprzed domu i z kościoła. Wystarczy. Przecież sama widziałeś, że welon jest w strzępach.

– Mówił, że odkupi.

Znów odkładam nóż i podchodzę do siostry.

– Uważasz, że dla własnej fanaberii powinnam narażać tego mężczyznę na wydatki?

Zaskoczona widzę jak oczy Agnes robią się szkliste.

– Sophie, to jest zły znak.

– Co takiego?

– Rozbite fotografie przyniosą wam pecha, nie czujesz tego?

Zamieram. Co bredzi to dziecko?

– Agnes, nie wierzymy w takie rzeczy – mówię podniesionym głosem. – Nie ma żadnych znaków. Co ci przyszło do głowy?

– Są! – Agnes upiera się przy swoim.

Każę jej wyjść.

Nie od razu mnie słucha. Tak jak wcześniej fotograf, siostra do samych drzwi namawia mnie na zmianę decyzji.

Gdy w końcu zostaję sama, próbuję dokończyć obiad. Oszukuję siebie pozornym spokojem, ale wewnątrz drzę, bo jeśli Agnes ma rację, to zrobienie zdjęć ponownie i tak niczego nie zmieni.

10 sierpnia 1939

Już dwa miesiące w moim sercu panuje bezustanna wiosna, a dziś na dodatek udało mi się kupić całe trzydzieści deka żeberek. Jutro sobota, zrobię dobry obiad. Wracam z targu z koszykiem pełnym zakupów, nucę pod nosem piosenkę, którą rano śpiewał Władek. Zamyślona ledwie odpowiadam na pozdrowienia mijanych kobiet. Pewnie mnie obgadają, że nie zatrzymałam się na klachy[24]. Trudno.

Przeskakuję przez kałuże, ochlapując wodą dół spódnicy. Wypiorę. Nigdy przedtem robota nie sprawiała mi tyle przyjemności. Wiem, że Agnes patrzy na mnie żałośnie, gdy krzątam się między kipiącą zupą, garnkiem z krochmałem i stertą ubrań do pocerowania. Wypełniam sobie dzień obowiązkami. Sprawiają, że czas szybciej biegnie. Nim Władek wróci z drukarni, zrzucę fartuch i wypuszczę z ciasno splecionego warkocza kilka kosmyków. Potem stanę w oknie. Będę czekała. Gdy w końcu wyjdzie z cienia bramy, wybiegnę na sień, aby się przywitać, a on, nie zważając na szeptki lokatorów, złapie mnie w objęcia i będzie tulił tak, jakbyśmy się lata nie wiedzieli, a nie zaledwie kilkanaście godzin.

Skrećam w naszą ulicę. Już z daleka widzę ludzi gromadzących się przed domem. Zaniepokojona podchodzę bliżej.

Wejścia pilnuje policja. Nikogo nie wpuszczają. Brakuje mi odwagi, aby zapytać, co się stało, więc próbuję wylać informacje z rozmowy mężczyźni, którzy stoją obok.

– Podobno znów złapali szpicli.

– Tutaj? Kogo?

– U Alojza mieli dziuplę.

– Ale przecież on nie Niemiec, jego babka na Goduli[25] mieszkała.

Jakaś kobieta odwraca się do rozmawiających.

– Tacy jeszcze gorsi. Sprzedawczyki! Za kilka groszy matkę by szwabom oddali.

Z głębi sieni słyhać salwę przekleństw i odgłosy szamotaniny.

Rozmowy milkną.

Ponad głowami gapiów próbuję wypatrzeć, czy naprawdę wyprowadzą jednego z moich sąsiadów.

Mężczyźni, których słuchałam, nie mylili się. Alojz Szyndzielorz idzie trzymany pod boki przez dwóch policjantów. Ma ręce skute kajdankami. Za nimi biegnie Szyndzielorzowa. Kobieta łapie jednego z mundurowych za poły kurtki. Traci równowagę i upada na kolana, gdy ten wyszarpuje się z jej uścisku.

– Przecież on nic nie zrobił – płacze. – Nic nie wiedział. Za co będziemy żyli, jak go zabierzecie...

– Niech Hitler cię wykarmi – krzyczy kobieta o szarej, wykrzywionej złością twarzy i spluwa na ziemię. Znam ją, to najstarsza córka Smolorza. Ponoć ubiegłej wiosny jej ojca zabiła osuwająca się glina na biedaszybach.

Wycofuję się.

Nie potrafię uwierzyć, że to szpieg. Co mógł wiedzieć, harując od świtu do nocy przy wielkim piecu? Jakie tajemnice mógł przekazywać Niemcom? Że przed kościołami zbierane są pieniądze na obronę przeciwlotniczą, a kilka dni temu główną ulicą miasta wieziono działa artyleryjskie?

To wie każdy.

Próbuję zrzucić z siebie niepokój. Przecież nie stało się nic, czego już wcześniej nie byłabym

świadkiem. Ale twarzy zapłakanej kobiety nie potrafię zapomnieć. Obiecuję sobie, że wieczorem pójde do niej z Władkiem. Może on coś zaradzi.

* * *

Czekam, aż zacznie się śmiać. Przecież to musi być żart. Ale mój mąż patrzy mi prosto w oczy i powtarza wiadomość, z którą wszedł do domu:

– Dostałem rozkaz. Jutro muszę się stawić w jednostce.

– Władek? Ale jak to? – pytam, gdy w końcu odzyskuję głos.

Podchodzi do mnie i przytula.

– Przykro mi, Zosiu. Nic nie poradzimy.

Przez głowę przebiegają mi tysiące myśli. Czy to moja wina? Naszego ślubu? A może to dzisiejsze aresztowanie? Dlatego go zabierają. Właśnie teraz.

I nagle ogarnia mnie straszne poczucie niesprawiedliwości.

– Obiecałeś mi! – krzyczę. – Obiecałeś, że zabierzesz mnie w góry i że... że zdrapiesz farbę z byfyju.

– Zosiu, przecież będę blisko. To tylko ćwiczenia.

Wyciąga do mnie ręce, ale ja odsuwam się od niego. Stoimy naprzeciw siebie. Rozgoryczona nie potrafię zrozumieć, jak może być tak spokojny, jak może się godzić na to, co nam robią. Kolejny raz próbuje do mnie podejść, ale ja znów robię krok w tył.

– Przecież wrócę!

– Nie! Nie wrócisz już!

Zasłaniam ręką usta, przerażona słowami, które wypowiedziałam.

Władek gwałtownie kręci głową, obraca się i wychodzi.

Zostaję sama pośród tego, co jeszcze wczoraj wydawało mi się największym szczęściem. Teraz znów nie mam nic.

Patrzę na rozkaz, który leży obok talerza z zimną już zupą. Wszyscy mówią o wojnie. Zakładają się o datę jej wybuchu.

Obojętnie, co twierdzi Władek i co jest napisane na czerwonej od pieczętek kartce. To nie są ćwiczenia.

* * *

Nie zapalam lampy. Nogi opieram o krawędź krzesła i obejmuję kolana, czekam, aż wróci.

W końcu rozpoznaję jego kroki na schodach. Choć dziś brzmią inaczej. Nie ma w nich zwykłej energii. Wstaję i zanim wchodzi, w izbie jest już jasno, a ja uśmiechnięta stoję na jej środku.

Pierwsze, na co patrzy, to spodnie i najlepsza koszula. Leżą na łóżku. Chyba nigdy nie prasowałam niczego z większą starannością.

– Żebyś jutro dobrze wyglądał.

Podchodzi do mnie.

– Zosiu, to tylko...

Zasłaniam mu ręką usta. A potem wspinam się na palce i zaczynam całować.

Rzuca mnie na ubrania. Klamra paska wbija mi się w plecy.

– Wróć – mówi twardo, unosząc dół spódnicy. Zachłannie szuka ukojenia.

– Wiem, kochany – szepczę.

Próbuję wchłonąć jego zapach i smak, aby starczyło na dni, które nadejdą.

27 sierpnia 1939

To już ostatnia niedziela wakacji. Siedzimy w ogródku małej kawiarenki, nieopodal szkoły, którą zajmuje teraz 3. Pułk Piechoty. Pełno tu żołnierzy. W mundurach z mieniącymi się w słońcu guzikami i orzełkami na rogatywkach. Śmieją się, chodząc pod rękę z dziewczynami. Wokół pachnie paloną kawą i kremem z najlepszych ciastek w mieście.

Kiedy trzymam Władka za rękę, trudno jest mi sobie wyobrazić, że cokolwiek mogłoby zburzyć ten spokój.

– Wysprzątajcie strych. Niech ojciec naniesie piasku i wiader z wodą. A na szyby przyklejcie pasy z papieru. Żeby nie popękały.

Kiwam głową, jednocześnie przyglądając się dziewczynie idącej drugą stroną ulicy. Ma piękną sukienkę w drobne groszki. Z każdym krokiem cieniutki materiał delikatnie podkreśla jej nogi. Ciekawe, gdzie go kupiła.

– Zosiu?

Patrzę na męża nieprzytomnym wzrokiem.

– Słyszałaś, co mówię? To ważne.

– Tak, kochanie – odpowiadam. – Ale może zupełnie niepotrzebne.

Wojna jest dziś dla mnie nazbyt odległa. Zresztą, mam wrażenie, że całym przygotowaniom towarzyszy więcej podniecenia niż strachu. Plakaty, na których śliczne dziewczęta kopią przeciwnicze rowy, ulotki spadające z dachów i nagłówki gazet. Nie ma znaczenia, w jakim języku są wydrukowane, hasła, które wzywają do obrony przed wrogiem, są takie same. Obie strony o pomoc zwracają się do tego samego Boga.

– Nie wiem, jak długo tu jeszcze będę. – Twarz Władka smutnieje.

– A gdzie masz być?

– Są rozkazy. Chyba nas gdzieś przeniosą.

Coś łapie mnie za gardło, gdy widzę, jak ściąga obrączkę.

– Zosiu – mówi, kładąc mi ją na dłoni – to wszystko wygląda poważnie.

Patrzę na złoty krążek. Już nie czuję złości. Jest jak w kinie, gdzie nawet największy smutek znika, gdy gaśnie ekran. Nie mnie dotyczą wydarzenia ostatnich tygodni. Jestem tylko widzem.

– Po prostu może się zgubić.

Zawijam obrączkę w chusteczkę i wkładam do torebki.

Zaczynam opowiadać o zwolnieniu Szyndzielorza i o Szczęściarzu, który, odkąd nie ma Władka, co rano zostawia pod drzwiami zdechłą mysz. Myślę, że chce mi tym sprawić radość.

Jest tak, jakby nie było słów, które przed chwilą padły. Jak gdybym nie wiedziała, dlaczego oddał mi ten kawałek metalu.

– Będiesz czekała? – Władek pochyla się do mnie. – Przecież nawet nie wiesz, jak to jest być ze mną.

Patrzę zdumiona w szkliste oczy mojego męża i próbuję zrozumieć, o co zapytał.

– Kapralu. Melduję, że dowództwo zawiesza wszystkie przepustki. Macie się stawić w jednostce.

Odwracam się.

Za mną stoi młody chłopak.

– A co się, do cholery, stało? – Głos Władka nie jest już drżący i miękki, jak w chwili, gdy zadawał mi pytanie, na które nie zdążyłam odpowiedzieć.

Żołnierz milczy. Nadal stoi na baczność, wyciągnięty jak struna.

– Spocznij!

Chłopak w końcu oddycha pełną piersią. Rozluźnia napięte mięśnie, ale nadal się nie odzywa.

– Janek, mów!

– Dostaliśmy meldunek. Podobno nasi napadli na straż graniczną w Bytomiu. Są ranni.

– Po której stronie?

– Niemieckiej.

– Rozumiem, możesz odejść.

Żołnierz salutuje, obraca się na pięcie. Patrzą za nim przez chwilę. Wygląda jak dziecko przebrane w mundur na karnawałowym balu.

Władek wzywa kelnerkę. Płaci za kawę.

– Polacy napadli na Niemców? – pytam, gdy już stoimy przed bramą szkoły.

– Zośka, to przecież kolejna prowokacja Freikorpsu. Wystarczy zmienić mundur.

Wzruszam ramionami. Już nie wiem, kim jestem. Wrogiem czy ofiarą? I czy ja i mój mąż stoimy po tej samej stronie?

– Do zobaczenia za tydzień – mówię, a on mnie przytula, zbyt krótko i zbyt mocno.

Gdy znika za ciężkimi drzwiami, zagryzam wargi, aby za nim nie pobiec, nie zawołać. Zastanawiam się, ile razy będziemy się jeszcze tak rozstawać.

A potem wpadam w codzienność. Biegnę do tramwaju, w którym mimo niedzieli panuje nieznośny ścisk. Przygnieciona do metalowej ramy krzeselka, liczę, ile dni zostało do pierwszego września. Dodaję do nich kolejne trzydzieści. Jestem pewna, że z początkiem października Władek wróci do domu. Przecież nikt nie rozpoczynałby wojny przed zimą.

Najtrudniejsze są wieczory. Gdy już wszystko zrobione, gdy nie ma czym zająć rąk ani myśli. Ojciec stale prosi, abym do nich wróciła. Wie, że odmówię, więc przysyła do mnie Agnes albo Helę. Dziś jednak jestem sama. Nie licząc kota, który śpi na moich kolanach.

Wyciągam z szuflady ołówki i papier. Piszę list. Dam go Władkowi za tydzień. Musi poznać odpowiedź.

Polskie słowa brzmią obco, nie wiem, czy potrafię zawrzeć w nich wszystkie uczucia.

Gdy kończę, podnoszę Szczęściarza i wtulam policzek w aksamitne futerko. A on miauczy mi do ucha, że wszystko będzie dobrze.

1 września 1939

Zapachy wypełniają całą kuchnię. Przecieram ziemniaki, dolewam odrobinę wody do skwierczących w brytfance rolad. Próbuję zatopić się w odgłosach gotowania. W smaku znajomych mi potraw. Ciasto oblepia ręce, nóż rytmicznie uderza o deskę. Wszystko to sprawia, że czuję się bezpieczna, że choć na chwilę zapominam o nadciągającej burzy. Na zbyt krótką chwilę.

Halo, tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia. Dziś rano o godzinie piątej minut czterdzieści[26] oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską, łamiąc pakt o nieagresji. Bombardowano szereg miast. Za chwilę usłyszycie państwo komunikat specjalny.

– Wyłącz to! – krzyczę do Agnes, która siedzi przy stole i wsłuchuje się w świsty i szelesty płynące z drewnianego pudła.

A więc wojna. Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie, publiczne i prywatne, przedstawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Cały wysiłek narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteście żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym – walka aż do zwycięstwa.

– Wyłącz to! Słyszysz?!

Podchodzę do ściany i wyszarpuję wtyczkę z kontaktu. Koniec! Nie chcę o niczym wiedzieć.

Agnes patrzy na mnie zdziwiona i trochę wystraszona.

– To nic nie zmieni – mówi cicho.

– Wiem – odpowiadam i ponownie próbuję skupić się na doprawianiu sosu. Już nie potrafię.

Radio dostaliśmy w prezencie ślubnym. Prosiłam Władka, żeby je sprzedał. Po co nam ta wciąż zachrypnięta skrzynka. Ale on uśmiechał się tylko i przekręcał gałką tak długo, dopóki z głośnika nie popłynęła piosenka Fogga albo Ordonki. Podchodził wtedy do mnie, obejmował i tańczyliśmy, wirując po całej kuchni. Wtedy prawie przestawałam bać się urządzenia, z którego płynie głos kogoś oddalonego o setki kilometrów.

A teraz znów nienawidzę radia. Nie chcę słuchać, że moje modlitwy nie dotarły do Boga.

– Gotujesz dla całego pułku?

Siostra, oparta o framugę, patrzy, jak wrzucam do garnka kolejne kluski. Z ciasta leżącego na drewnianej desce wyjdzie mi jeszcze z piętnaście.

– Musi porządnie zjeść, nie wiadomo, co im tam potem dadzą.

– I chcesz dziś do niego jechać?

Kiwam głową.

Agnes podchodzi do mnie i łapie za ramiona.

– Sophie, wybuchła wojna. Nie wpuszczają cię.

* * *

Obładowana słoikami wysiadam z tramwaju. Oddycham z ulgą, gdy w końcu do moich uszu przestają docierać dyskusje podróżnych. Bez względu na wiek i płeć wszyscy mówią o jednym. Wojna krąży wokół, choć teraz, gdy idę ulicą, jest zupełnie nieodczuwalna. Wydaje się, że życie płynie swoim starym

rytmem.

Wysoki mężczyzna w eleganckim garniturze biegnie za tramwajem, który właśnie ruszył z przystanku, pewnie spieszy się do biura. Gruby Żyd z palcami wetkniętymi za pasek spodni stoi przed swoim sklepem. Jedynie kawiarnie są dziś zupełnie puste i nie widać dzieci wychodzących ze szkół w odświętnych mundurkach.

Znam żołnierzy, którzy stoją przed bramą.

– Zawołaj Władka – proszę jednego z nich, a ten patrzy na mnie tak dziwnie, że w jednej chwili robi mi się zimno.

– Kapral Władysław Zaleski – powtarzam wolno.

– Proszę pani, ich nie ma. Na kopalni są walki, kompania wspiera samoobronę.

Walki. To słowo uderza we mnie niczym wymierzony policzek. Już nie potrafię zagłuszyć wiadomości radiowych, łudzić się pięknym dniem. Jest wojna.

W torbie pobrzękują słoiki z obiadem. Jak śmieszne wydaje mi się teraz to poranne gotowanie. Rolada, kluski i modra kapusta. Niedzielny obiad w środku tygodnia.

– To dla was – mówię, stawiając torbę przy nogach żołnierzy.

Dziękują, a wtedy wyciągam z kieszeni kopertę i wręczam ją jednemu z nich.

– Oddaj mu to – proszę i odchodzę w stronę przystanku. Potykam się o krawężnik, nie mam siły podnosić nóg.

– Niech się pani nie martwi, rozbijemy ich w pył! – krzyczy za mną żołnierz, któremu dałam list.

Kochanie, dlaczego się boisz? Naprawdę sądzisz, że mogę zapomnieć? Że będę tego chciała?

Myślisz, że kiedyś przestanę czekać i układać sobie w głowie całe historie, w których jesteś obok?

To nic, że teraz jest pusto i zimno. Nigdy nie odejdiesz tak daleko, abym nie mogła cię znaleźć i zabrać do domu.

Nie przestanę tworzyć nas, nawet jeśli bardzo długo będę musiała czekać na dzień, kiedy dotkniesz klamki drzwi, za którymi będę stała.

Jestem Twoją żoną. Jesteś moim mężem. Na zawsze.

I przetrwamy wszystko.

Potrafimy stworzyć sobie idealny świat.

Tylko przeżyj!

Zosia

3 września 1939

– Chodź ze mną.

Udając, że nie słyszę, unoszę do ust szklanekę z kompotem. Próbuję odwlec konieczność udzielenia odpowiedzi. Agnes przygląda mi się przez chwilę, w końcu wzrusza ramionami, nakłada na łyżkę ostatni kawałek ziemniaka i odsuwa talerz.

– Idę – mówi i wstaje tak gwałtownie, że krzesło upada na podłogę.

Ojciec marszczy brwi, ale nie odrywa oczu od gazety. Wojna krzyczy ze wszystkich stron, a mojej siostrze jeszcze mało. Usilnie próbuje wejść w sam jej środek.

– Mogę też iść? – Helenka z wypiekami na twarzy patrzy na matkę.

– To nie jest odpowiedni dzień na spacer po mieście – uprzedzam odpowiedź, ale Agnes lekceważąco macha ręką.

– Widziałaś, co się tam dzieje. Przy ratuszu zbierają się ludzie. Wszyscy czekają.

Na co? – mam ochotę zapytać, ale gryzę się w język. Nie ma sensu rozpocząć takich rozmów.

– Pozwólcie mi. – Hela składa rączki jak do modlitwy.

– Jak Sophie z wami pójdzie, możesz iść.

Wiem, że matka zrobiła to celowo. Pójdę, bo nikt nie potrafi odmówić temu dziecku.

– Mam iść witać żołnierzy, z którymi walczy Władek? – pytam przez zaciśnięte zęby.

Agnes ciągnie mnie za rękę.

– To nie na naszą głowę, kto z kim walczy. Ważne, że tam coś się dzieje. Chodź, zerwiemy astry z ogrodu i pobiegniemy na rynek.

Trudno jest mi uwierzyć, jak bardzo zmieniło się miasto w ciągu zaledwie kilku godzin. Antyniemieckie napisy na murach zniknęły pod zwisającymi z okien flagami. Widać, że niektóre zostały uszyte w pośpiechu. Czerwona płachta materiału, na niej koło niezdarnie wycięte z białych prześcieradeł i swastyka namalowana czarną farbą. Czasem ramiona krzyża zagięte są w niewłaściwą stronę.

Gdy przechodzimy skrótem prowadzącym przez podwórko jednego z domów, dobiega nas pukanie w okienną szybę. Wszystkie zadzieramy głowy. To szkolna koleżanka Agnes macha do nas, a potem otwiera okno, wypręża się jak struna i unosi prawą rękę do góry.

– Heil Hitler! – krzyczy.

Spinam się. Mała dziewczynka, która jeszcze wczoraj bawiła się w ciaplycie[27], dziś patrzy na nas z zaciętością. Jej sroga mina zupełnie nie pasuje do dwóch mysich ogonków, sterczących po bokach jej głowy. Dreszcze przebiegają mi po plecach. Mieszanie dzieci w świat dorosłych wydaje się czymś okrutnym. Dlatego z uporem odbieram Antkowi karabin zrobiony z zakrzywionej gałęzi. Wojna przestała być zabawą. Choć, gdy patrzę na roześmiane twarze moich sióstr, zastanawiam się, czy one już to wiedzą.

* * *

Wzdłuż głównej ulicy stoją ludzie. Ojcowie z dziećmi na ramionach, sąsiedzi, kobiety w odświętnych

sukienkach. Wszyscy tworzą rozdyskutowane grupki.

Już z daleka dostrzegam Trudi. Ma rozpalone emocjami policzki.

– Jak wychodziliśmy z kościoła po sumie, ktoś krzyknął: od Panienci Niemcy idą! – relacjonuje, obejmując mnie. – Staaliśmy więc z matką. Od pomnika Najświętszej Matki Panny nadeszło trzech. Młodzi chłopcy. Mówię wam, szli samym środkiem ulicy, z giwerami[28] zwisającymi z ramienia. Uśmiechali się i pozdrawiali przechodniów. Przyszliśmy tu za nimi.

Nie wiem, czy to sama obecność przyjaciółki czy jej pełne otuchy słowa działają na mnie tak uspokajająco. Zaczynam wierzyć, że wszystko skończy się szybko, bez żadnego wystrzału.

Nie obchodzi mnie, w jakim języku każą nam mówić i kto będzie na banknotach, jeśli i tak prawie nigdy nie mamy pieniędzy. Ważne, że Władek wróci.

Zastanawiam się, czy grzeszę radością, która mnie ogarnia. Jest tak, jakby wszystko wokół kazało się cieszyć.

Kwiaty i kolorowe chustki w rękach dziewcząt zakrywają codzienną szarość miasta.

Pierwsze strzały nie wywołują popłochu, raczej ciekawość.

Ktoś wskazuje na chłopaka biegnącego po dachu pobliskiego budynku.

– Flaga na magistracie płonie – krzyczy mężczyzna w zielonym kaszkiecie. Na ramionach trzyma małego chłopca.

Podnosi rękę i pokazuje dziecku kierunek, w którym ma spojrzeć. Jak gdyby obserwował pokaz fajerwerków.

Ludzie ruszają w stronę rynku. Bezmyślnie idziemy wraz z nimi.

Kolejne strzały.

Kilka kobiet ucieka do bramy. Ojciec stawia na ziemi kilkulatka.

Patrzę na strzępy spadającego materiału. Nie potrafię odnaleźć w sobie nic prócz odrobiny podniecenia.

Panika zaczyna się, gdy żołnierz w niemieckim mundurze bezwładnie zsuwa się po czerwonych dachówkach ratusza.

Ludzie rozbiegają się, chowają w sklepach i na podwórkach domów. Ulica pustoszeje w kilka sekund.

Gdzieś z na wpół otwartych okien słyszę przekleństwa rzucone pod adresem tych, którzy przyszli powitać niemieckie wojska. Biało-czerwona flaga powiewa już na miejscu spalonej. Próbuję nie patrzeć na ciała leżące na bruku. Wmawiam sobie, że ci chłopcy wciąż żyją i wstaną, gdy tylko znikniemy za rogiem ulicy.

Biegniemy do domu. Trzymamy Helenkę za rękę. Z jej kolana cieknie cieniutka strużka krwi. W zamieszaniu nie zauważyłam, kiedy się przewróciła. Pierwsza rana wojny. Będzie ich więcej, już nie mam złudzeń. Nadzieja prysła, bo jeśli nawet tutaj powstańcy nie poddają się bez walki, to co dzieje się tam, gdzie są wojsko i Władek.

15 września 1939

Już niewiele pamiętam z czasów, gdy z okien naszego mieszkania rozciągał się widok na szeroką ulicę, po której jeździły tramwaje. Gdzieś umknęło mi, jak nazywały się dzieci z sąsiedztwa i z ilu schodów trzeba było zbiec, aby znaleźć się na podwórku.

Dziś, zupełnie niespodziewanie, przyśnił mi się ten chłopczyk.

Jak zwykle blady i wychudzony, siedział na parapecie okna i przez szybę przyglądał się naszym graczkom[29] i dokazywaniom.

Wiedziałałam, że chorował, że jego nogi są pokrzywione i cieniutkie jak gałązki. Widziałam, że nie może zejść na plac i bawić się razem z nami. Zazdrościłam mu, mimo wszystko.

Miał w izbie pudło pełne zabawek. My mogliśmy podziwiać takie jedynie na wystawach sklepów.

Chodziłam do niego czasem i wtedy pozwalał mi ciągnąć za sznurek drewniane zwierzątka na kółkach i oglądać kolorowe obrazki w książkach dla dzieci.

Mogłam dotykać wszystkich tych cudów, ale w zamian musiałam bawić się w wojnę, choć szczerze tego nie cierpiałam.

Rozstawialiśmy na podłodze ołowiane figurki. Oczywiście zawsze Polacy walczyli z Niemcami. Przecież właśnie taką wojnę znaleźmy z opowieści naszych dziadków. Chłopczyk wydawał komendy, a ja poruszałam żołnierzami. Przewracałam tych zabitych i wsuwałam maleńkie flagi w ręce zwycięzców. Nie pamiętam, która armia okazywała się silniejsza. Kto ponosił większe straty.

Od matki dowiedziałam się, że chłopiec umarł kilka lat po naszej przeprowadzce. Nie doczekał dnia, w którym jego ołowianym żołnierzom zaczęły bić serca.

* * *

Stoimy z Trudi przed jadłodajnią na Adolf Hitler StraÙe – od dziś właśnie tak nazywa się ulica, przy której jeszcze niedawno pracowałam. Wysłałam z domu z postanowieniem, że dowiem się czegoś o Władku. Mija już trzeci tydzień, a ja nie mam od niego żadnej wiadomości. Odwiedziłam kilka kobiet, żon żołnierzy z jego kompanii. Nie wszystkie chciały rozmawiać, ale nawet te, które zapraszały i częstowały kawą, nie wiedziały nic. Gdzie mam jeszcze szukać? Kogo pytać o polskiego żołnierza w niemieckim już mieście?

Uciekłam do Trudi. Nikt tak jak ona nie potrafi rozproszyć złych myśli. Zastałam ją na oknie wystawowym, gdzie z wściekłą miną próbowała zmyć z szyby napis „Jadłodajnia – zupy i wyroby masarskie”. Od dziś polskie nazwy muszą zostać zastąpione niemieckimi. Oczywiście plakaty informujące o tym wiszą już od kilku dni, ale nie wszyscy chętni są do takich zmian.

– Wróciłabym do was – mówię, zeskrobując paznokciem resztki farby. – Odkąd Władka nie ma, siedzenie w pustym mieszkaniu jest udręką, a pieniądze też potrzebne.

– Coś ty. – Trudi kręci głową. – Ja też kończę z nakładaniem kiełbas. Brat usłyszał gdzieś, że mają wysyłać niemieckie kobiety na kursy zawodowe. Za darmo.

– Wątpię, czy obejmuje to również żonę polskiego żołnierza.

– Och, Sophie, mówisz, jakbyś była jedyną, która wzięła sobie Polaka za męża. Oni wiedzą, jak tu jest. Potrzebują kobiet do pracy. Mogłabyś w końcu nauczyć się szyć na maszynie.

Z ulgą przyjmuję, że moja przyjaciółka może mieć rację.

– Widziałam w katalogu nową singerkę. Nie masz pojęcia, jak szybko się nią szyje.

– To dobrze, wiesz, ile wojsko potrzebuje mundurów – śmieje się Truda.

Chcę odpowiedzieć, że wolałabym szyć co innego, ale milknę, gdy zza rogu ulicy wyłania się grupa mężczyzn. Z przodu i po bokach idą niemieccy żołnierze. Tym razem ich karabiny nie zwisają luźno u boku. Trzymają je w dłoniach, gotowi do oddania strzału. Wewnątrz kordonu, jeden za drugim, z rękoma splecionymi za głową idzie piątka skazańców – obrońców miasta. Wiem, że to dla nich ostatnia droga. Już od kilku dni przez miasto przetacza się wieść, że w pobliskim lesie odbywają się egzekucje harcerzy i powstańców. Tych, którzy mieli odwagę stawić opór. Celowo prowadzą ich główną ulicą. Strach jest sprzymierzeńcem władzy.

Przechodnie się rozstępują. Przystają. Już nikt nie wiwatuje.

Patrzę na poplamione krwią koszule, na zarośnięte twarze. Modlę się w duchu, aby nie było wśród nich nikogo, kogo znam. Los znów nie jest łaskawy. Chłopak ma znajome oczy, choć teraz zasłane mgłą strachu, a może już zubożenia. Pamiętam go. To jemu wręczałam słoiki z obiadem. I list, który miał przekazać Władkowi.

Pierwsza myśl jest porażająca. Łapię Trudi za ramię i próbuję nie ulec ciemności, która mnie ogarnia.

Rozbijemy ich w pył – słowa zaczynają dudnić w głowie. Pamiętam głos tego chłopaka. Pełen entuzjazmu. Dla niego też wojna miała być przygodą. Zabawą z dzieciństwa, a teraz...

– Jesteś pewna, że rozumieją, jak tu jest? – pytam, nawiązując do naszej rozmowy, gdy po kilku chwilach życie na ulicy znów rusza.

Trudi nie odpowiada. Wyciąga z kieszeni papierosy i podaje mi jednego. Płomień zapalki już prawie parzy palce, kiedy w końcu udaje mi się zapalić. Zaciągam się. Powoli. O dziwo, dym nie wywołuje kaszlu. Czuję, jak wypełnia mi płuca. Uspokaja.

Tomaszów Lubelski, 20 IX 1939

Zosiu!

Widziałem dziś lawinę ognia i byłem pewien, że nasz świat się skończył.

Gdy w nocy czekaliśmy w lesie, patrząc na przedpole oświetlone setkami niemieckich rakiet, pomyślałem, że chciałbym, abyś była tu przy mnie. Boże, chyba rozum mi odebrało, ale uznałem, że w życiu nie widziałem czegoś równie pięknego i przerażającego zarazem.

Wszystko wokół jaśniało. Jak gdyby to był sam środek dnia.

Hałas wybuchających bomb sprawia, że już po chwili robi się całkiem cicho. W uszach słychać jedynie własne serce i tak trudno myśleć. Nawet cienie towarzyszy są obce.

Dostaliśmy rozkaz natarcia na Tomaszów Lubelski, aby przerwać pierścień okrążenia. Zosiu, nie otrzymaliśmy żadnej artylerii, mieliśmy pokonać wroga jednym działem. Ponieśliśmy klęskę. Pewnie dowiesz się o niej, zanim dojdzie do Ciebie ten list (jeśli w ogóle dojdzie, bo na razie każdy, który próbuję wysłać, wraca).

Teraz, ukryci między zgliszczami zabudowań, czekamy na dalsze decyzje. Choć gdy patrzę na moich chłopców, wiem, że rozkaz może być tylko jeden – kapitulacja.

Nikt się nie odzywa. Stanik zaczął grać na harmonijce ustnej, może po to, aby choć trochę zagłuszyć jęki rannych. Reszta pisze listy. Pożyczamy sobie nawzajem jedyny znaleziony ołówek.

Nikt nie śpi. Emocje są wciąż zbyt duże.

Zaglądam przez szczelinę w deskach stodoły, w której siedzimy. Próbuję wyobrazić sobie, jak pięknie było tu jeszcze kilka dni temu. Dopóki pola nie zostały przeorane przez ciężkie gąsienice czołgów. A las nie straszył wypalonymi kikutami.

Zosiu, widziałaś kiedyś taką wieś? Cichą i leniwą. Z przydrożnymi kapliczkami i strumykami przecinającymi ścieżki.

Moglibyśmy tu zamieszkać.

Od Heńka (pamiętasz go? Grał razem ze mną w Reducie, a teraz jest łącznikiem) wiem, że u was spokojnie, że świat toczy się przedwojennym rytmem. Modłę się, aby tak zostało.

Dziś środa, pewnie wyciągniecie z matką balie na plac i będziecie robiły pranie. Chciałbym włożyć coś pachnącego mydłem.

Nie wiem, co będzie dalej.

Są jakieś mgliste plany, aby w małych grupach spróbować przedrzeć się na południe do granicy rumuńskiej albo węgierskiej.

O poddaniu się i niewoli nikt nie chce nawet myśleć. Ale to nie do nas należy decyzja.

Tęsknię, Zosiu, bardziej, niż jesteś w stanie sobie to wyobrazić. Czasem zupełnie niespodziewanie otula mnie Twój zapach. Odwracam się wtedy, przekonany, że stoisz tuż za moimi plecami. Ale tam wciąż tylko przeklęta wojna.

Dbaj o siebie i, proszę, opiekuj się moją matką, bo ona już nikogo nie ma prócz Ciebie. A gdyby brakowało Wam pieniędzy albo czegokolwiek, idź do Kolskiego – właściciela drukarni. Pomoże Wam.

Władek

Październik 1939

Jestem zmęczona. Od szóstej rano stałam w kolejce po Grenzkarte. Dostałam ją dopiero po osiemnastej. Mam wrażenie, że całe miasto próbuje zaoszczędzić, robiąc zakupy w Bytomiu. Faktycznie mięso jest tam prawie o połowę tańsze. Pójdę jutro z samego rana.

W kolejce szeptano, że już niedługo granica ma zostać otwarta. Byłoby łatwiej.

Wracam przy akompaniamencie niemieckiego marsza wojskowego. Płynie z głośników rozwieszonych na ulicznych latarniach. Co jakiś czas pełen euforii głos obwieszcza kolejne zwycięstwa niemieckiej armii. A ja wciąż czekam na list od Władka. Jeśli otrzymam wiadomość, że dostał się do niewoli, nie będę płakała. Irracjonalnie czuję, że tam byłby bezpieczniejszy.

Przede mną idzie grupka chłopców. Ubrani w pumpy i luźne marynarki wyglądają jak uczniowie gimnazjum. Szeptem rozmawiają o czymś. Gdy mijamy gruzy po zburzonym niedawno pomniku Powstańca, przystają i niepewnie rozglądają się wokół. A mnie zamiera serce. Kilka dni temu byłam świadkiem podobnego zdarzenia. Dziewczyna i chłopak. Mogli mieć siedemnaście lat, może nawet mniej. Gdy z głośników wybrzmiały ostatnie słowa informacji, że Warszawa skapitulowała, stanęli na baczność i wśród ulicznego zgiełku zaczęli śpiewać *Mazurka Dąbrowskiego*. Ludzie mijali ich ze spuszczoneymi głowami. Tylko nieliczni przystawali i ściągali czapki, aby po chwili, jakby wystraszeni niespodziewanym odruchem patriotyzmu, zniknąć gdzieś wewnątrz najbliższego sklepu.

Policja podjechała, zanim skończyli drugą zwrotkę.

Nie chcę znów na to patrzeć. Tym razem, tak jak pozostali, pochylam głowę i przyspieszam kroku. Na szczęście za plecami panuje cisza.

Za to na placu naszego domu hałas taki, że ledwie własne myśli można usłyszeć. Nie mam pojęcia, dlaczego szkoły nadal są zamknięte. Nawet te dla niemieckich dzieci.

Kieruję się za dom, do kuźni. Udało mi się zdobyć dla ojca tytoń do fajki. Dam mu i posiedzimy razem kilka chwil.

– Ojciec są w domu – krzyczy Antoś, który wraz z grupą dzieci wybiega zza chlewików. – Znów przyszli z ratusza.

Haupttreuhandstelle Ost[30]. Po co tym razem? Pewnie chodzi o mieszkanie Nowaków. Wyjechali trzeciego września tak zwanym pociągiem ewakuacyjnym. Gdzieś w okolice Sandomierza. Gdy Nowakowa żegnała się z matką, wetknęła jej kartkę z adresem, pod którym powinni zamieszkać.

Dzień po ich wyjeździe ojca coś tknęło, zabrał z mieszkania cenne rzeczy i schował w kuźni. Wieczorem tego samego dnia wydano decyzję o konfiskacie mienia uchodźców. Jeśli nie wrócą, wyślemy im paczką, gdy skończy się to całe szaleństwo.

Idę do siebie. Nalewam do szklanki herbaty z kwiatków rumianku. Zbierałyśmy je wiosną. Napar nie jest smaczny, ale muszę oszczędzać kawę.

Siadam przy oknie i czekam, aż wyjdą.

Zamyślona przyglądam się nitce pajęczyny przyczepionej do nogi krzesła. Unosi się na niewyczuwalnym dla mnie wietrze, mieni w padającym na nią świetle lampki. Delikatna jak mgiełka, przypomina łańcuszek. Poproszę Władka o taki. Kiedyś. Po wojnie.

W końcu widzę ojca. Wychodzi przed dom w towarzystwie dwóch mężczyzn. Patrzą, jak stają na

baczność i unoszą rękę w geście pozdrowienia. Ojciec robi to samo. Gdy odchodzą, jeden z nich kopie butem leżące obok drzwi wiadro. Wystraszona zrywam się z krzesła. Wiem, że niemieccy urzędnicy nie zawsze są mili. Jednak tym razem mężczyzna zupełnie spokojnie pochyła się i stawia wiadro.

– *Ordnung muss sein*[31] – mówi na tyle głośno, że jestem w stanie usłyszeć go przez niedomknięte okno. – Teraz jesteście w Niemczech, to musi być widać.

Czekam, aż znikną w cieniu bramy. Odchodzę od okna, zarzucam na ramiona szal i zbiegam po schodach. Dam ojcu tytoń i pójdę po kartki do Zaleskiej.

Gdy przechodzę przez plac, kątem oka dostrzegam, że jeden z mężczyzn nadal stoi w bramie. Przygarbiona sylwetka, pochylona głowa z czapką opadającą na czoło. Przebiega mi przez głowę myśl, że może coś się stało, może podejść, zapytać. Szybko pozwalam jej umknąć. Nie powinnam pomagać komuś, kto przyszedł ograbić mieszkanie ludzi, z którymi związana byłam od tylu lat. Nawet jeśli tylko wykonuje rozkaz.

Wciąż staram się rozstrzygnąć w sumieniu, po której stronie tej wojny stoję.

Dochodzę już prawie do drzwi, gdy słyszę za sobą odgłos kroków. Nie mam pojęcia, po co wrócili, ale jestem pewna, że nie spodoba mi się żaden z powodów. Zwalniam. Niech mnie wyprzedzą. Jeśli pójdą do nas, zawrócę.

– Zosiu.

Zastygam w bezruchu. Przecież to niemożliwe.

– Czy moja żona już mnie nie poznaje?

Czuję ciężki dotyk dłoni na ramieniu.

* * *

Wojskowe buty stoją koło łóżka. Klęczę przy nogach Władka. Powoli zsuwam onuce z jego stóp. Brudne kawałki szmat przyschnięte do ran. Próbuję zwilżyć materiał gąbką, ale mimo to woda w misce, w której ją zanurzam, szybko różowieje.

Władek wsuwa palce w moje włosy.

– Boli? – pytam, unosząc głowę.

Uśmiecha się. Dotyka mojej twarzy. Brwi, nosa, ust.

– Tydzień ich nie ściągałem – mówi. – Przez cały ten czas nawet nie marzyłem, że ty mogłabyś to zrobić.

A potem, gdy mundur zostaje wciśnięty w róg szafy, a puszka wojskowej konserwy, którą zjedliśmy, wyrzucona do popielnika, gaszę lampkę i kładziemy się do naszego małżeńskiego łóżka. Leżymy prawie nieruchomo. Milczymy, bo co można powiedzieć o szczęściu mieszkającym się ze strachem.

Gdy jestem pewna, że zasnął, obracam się na bok i wsuwam wiecznie zmarznięte stopy między jego nogi, jak w te wszystkie noce, które spędziliśmy razem.

– Wypuścił nas, gdy przejeżdżaliśmy przez Katowice. Żołnierz wyznaczony do pilnowania jeńców był stąd. Przed wojną pracował jako ratownik w kopalni. Widać było, że niemiecki mundur go uwiera. Częstoował papierosami i wódką. Przydała się, bo w wagonach było potwornie zimno. Gdy pociąg zatrzymał się na stacji, otworzył drzwi i krzyknął, że kto mieszka niedaleko, ma wyskakiwać.

– I przyszedłeś z Katowic w tym mundurze? – Unoszę głowę, zaskoczona nieoczekiwanym potokiem

słów. – Pierwszy patrol mógł was rozstrzelać.

– Prawie zderzyłem się z tymi, którzy wychodzili od nas z domu. Czego chcieli?

Opowiadam szybko o zajęciach mieszkań. A potem siadam na skraju łóżka.

– Co teraz będzie? – pytam.

– Przyjdą po mnie.

Gwałtownie potrząsam głową.

– Nie! Ukryjesz się. Coś wymyślimy. Pomogę ci.

W tej chwili naprawdę wierzę, że wystarczy pójść i poprosić jakiegoś oficera albo pułkownika i Władek zostanie w domu.

Mąż łapie mnie za ramiona.

– Zośka! Jak nie znajdą mnie, zabiorą ciebie.

– To po co uciekałeś!? Po co przyszedłeś!? – krzyczę.

– Żeby cię zobaczyć – mówi spokojnie.

Milczę, nie znam słów, które teraz mogłabym wypowiedzieć.

* * *

Mimo zmęczenia Władek nie potrafi zasnąć. Przysypia na kilka chwil. Budzi się gwałtownie, zupełnie wyspany. Kochamy się. Rozmawiamy. A potem znów zasypia, urywając w połowie rozpoczęte zdanie. Tak do rana.

Wstajemy, gdy za oknem jeszcze szaro. Władek siada na ryczce i nakłada do pieca. Przyglądam się, jak wrzuca do paleniska kilka bryłek węgla. Gnecie w rękach kawałki starych gazet, a potem podpala wszystko jedną zapałką. Ta czynność wydaje się taka naturalna. Trudno nie poddać się wrażeniu, że właśnie zaczynamy kolejny zwyczajny dzień.

Stawiam garnek z wodą na piecu.

– Pójdę po twoją matkę.

Kiwa głową, a gdy przeciskam się obok, przyciąga mnie do siebie. Obejmuje i gładzi moje łydki, na które nie naciągnęłam jeszcze pończoch.

– Nie możesz być tak delikatna. W wojnie nie ma nic delikatnego – mówi dziwnym głosem. – Nie poradzisz sobie.

Odsuwam się gwałtownie i wychodzę.

Nie wracam z Zaleską. Nie potrzebuję mojego towarzystwa.

Dopiero po kilku godzinach siadamy wszyscy za stołem. Władek, moja teściowa, rodzice i ja.

Próbujemy coś wymyślić. Pada słowo „ucieczka”, nazwisko człowieka, który mógłby w niej pomóc.

W oczach Władka widzę, że całe nasze zaangażowanie jest bezcelowe. Pozwala nam na nie, bo wie, że gdy snują plany, choć na moment przestają drżeć ze strachu o przyszłość. Tą najbliższą.

* * *

Właśnie wylewam do wiadra wodę z ugotowanych ziemniaków, gdy rozlega się pukanie, a właściwie

walenie w drzwi. Puszczam garnek. Pokrywka z brzękiem toczy się po podłodze. Zakreśla koło. Zaczyna kręcić się jak dziecięcy bączek. Robi coraz więcej hałasu i... cichnie w jednej chwili.

– Nie otwieraj – szepczę błagalnie, patrząc, jak Władek podchodzi do drzwi. Nie potrafię się ruszyć. Bezradnie obserwuję.

– Trzymaj się, mała. – Puszczą do mnie oczko i wychodzi.

Nie podchodzę do okna. Nie reaguję na zamieszanie w sieni i słowa matki, która nagle staje obok mnie.

Zamykam oczy, a gdy otwieram je ponownie, schylam się po pokrywkę garnka, odkładam ją na skraj pieca, a potem z wiadrem rozmokłych ziemniaków wychodzę na plac. Idę do chlewików i wylewam bryję do korytka naszej kozy.

Żyję. Nadal.

Grudzień 1939

Próbuję skupić się na słowach, które piszę. Nauczycielka przechadza się między rzędami ławek, powoli dyktując tekst. Co chwila zatrzymuje się przy którejś z nas i długą linijką wskazuje błędy. Gdy robimy ich zbyt wiele, Frau Schmitt zaciska i tak już wąskie usta i karcąco kręci głową. Przecież nie może dopuścić, aby pieniądze Rzeszy zostały zmarnowane. Wszystkie musimy zdać egzaminy.

O dziwo, jestem jedną z lepszych uczennic, ale dziś poprzez rytmiczny dźwięk dwudziestu maszyn, które zostały upchnięte w maleńkiej salce, przedzierają się niechciane myśli. Nie potrafię ich przegonić.

Zastanawiam się, czy gałązka jabłoni, która stoi od pierwszej niedzieli adwentu w słoiczku na okiennym parapecie, zdąży zakwitnąć. Wigilia już za kilka dni, a na gałązce zaledwie liche pączki. Łapię się wszystkich sposobów, aby wywróżyć sobie szczęście w nowym roku. Ale czy to w ogóle możliwe?

Znów od wielu tygodni nie mam wiadomości od Władka. Jeszcze tego samego dnia, w którym go zabrali, pobiegłam do Kolskiego. Obiecał, że spróbuje dowiedzieć się czegokolwiek. Dotrzymał słowa. Ale wiadomość, że Władek jest przetrzymywany w areszcie, wcale nie sprawiła, że mój sen stał się spokojniejszy. Wiem przecież, jak gestapo traktuje osadzonych. Nikt dobrowolnie nie przechodzi obok piwnicznych okienek budynku, w którym odbywają się przesłuchania. Nikt nie chce słuchać jęków torturowanych.

Odetchnęłam z ulgą, gdy tydzień później Kolski przyszedł do mnie z zapakowanym w lnianą chustę serem, słoniną i informacją, że Władka wywieźli na roboty. Potrzebowali zecerów, którzy potrafią składać teksty w dwóch językach: polskim i niemieckim. Ladislaus – takie imię widnieje teraz w jego dokumentach. Nadawał się idealnie.

Moje rozmyślenia burzy odgłos otwieranych drzwi. Dobrze, bo to, co znajduje się na włożonej w maszynę kartce, doprowadziłoby nauczycielkę do łez. Wyciągam szybko arkusz, zgniatam w kulkę i wsuwam do torebki. Dopiero teraz podnoszę głowę, aby spojrzeć, kto wszedł.

Przed Frau Schmitt stoi mężczyzna w eleganckim ciemnym garniturze. Nie jest już młody, ale szpakowate włosy dodają mu jedynie dostojności. Jest w jego postawie coś, co sprawia, że nawet ja mam ochotę stanąć na baczność.

Rozmawia chwilę z nauczycielką, po czym wręcza jej jakąś listę. Frau Schmitt odchrząka, aby zwrócić na siebie uwagę. Niepotrzebnie, i tak wszystkie patrzymy na nich.

Fräulein Korpak

Frau Witt

Fräulein Dworczonek

Frau Zaleski

Każda z dziewcząt wstaje, więc robię to samo. Nogi mam miękkie.

– *Meine Damen*^[32] – mężczyzna uśmiecha się do nas życzliwie. – Zostałyście wybrane do objęcia stanowiska stenotypistek w Urzędzie Miasta w Pszczynie. Drugiego stycznia rozpoczynacie pracę.

Przygląda się nam przez chwilę, niby od niechcienia prześlizgując wzrokiem po czarnych lokach Mariki Dworczonek i wybujających kształtach Gerdy Witt, a potem kiwa głową na pożegnanie i wychodzi, stukając głośno obcasami butów.

Spoglądam na koleżanki. Podekscytowanie rośnie z każdą sekundą. Dziewczyny, głuche na upominania

Frau Schmitt, coraz głośniej wyrażają swój entuzjazm dla zaoferowanej posady.

Obracam się do Trudi, która siedzi kilka ławek za mną. Zawiedziona wzrusza ramionami. Obie dostałyśmy wezwanie właśnie na kurs dla stenotypistek. Nie cieszyłam się, bo nie takiej maszyny chciałam się uczyć. Byłam pewna, że obleję, a dostałam pracę szybciej niż ona.

* * *

Wychodząc z zajęć, dziewczęta planują spędzenie popołudnia w cukierni. Namawiają mnie, abym do nich dołączyła, ale wymiguję się koniecznością czekania na Trudi, która poszła szukać sposobu, aby dopisano ją do listy.

– W takim razie widzimy się drugiego stycznia. – Olga macha mi ręką. – Wesołych świąt!

– Wesołych! – odpowiadam i nagle tak bardzo pragnę poczuć, że naprawdę mogą takie być.

Patrzę, jak grupka koleżanek idzie ulicą. Trzymają się pod rękę. Pewnie wciąż rozmawiają o wyjeździe do Pszczyny. W małych kapelusikach i płtytkich czółenkach maszerują po śniegu, który dziś prószy leniwie dużymi niczym kaczy puch płatkami.

Niemcy zrobili wiele, aby mieszkańcy naszego miasta zapamiętali pierwsze święta w nowej ojczyźnie. Chojnka przed magistratem, cukierki dla dzieci, dodatkowy przydział na mięso.

Wiem, że powinnam wstydzić się tych słów, ale gdyby Władek był z nami, mogłyby to być najpiękniejsze święta, jakie mieliśmy. Jedne z tych nielicznych, podczas których nie będzie brakowało jedzenia.

Wchodzę na jezdnię. Czarny samochód mija mnie dosłownie o włos. Odskakuję. Pojazd staje kilka metrów dalej. Drzwi od strony pasażera otwierają się.

– Nic się pani nie stało? – pyta porucznik, który przed chwilą wymaszerował z naszej sali ćwiczeń.

– Nic – odpowiadam speszona.

– Może podwieźć?

– Mieszkam obok – kłamię. Czuję, jak czerwienieją mi policzki.

– W takim razie do zobaczenia.

Mężczyzna się uśmiecha. Samochód odjeżdża, a ja tkwię na skraju jezdni i zastanawiam się, jakim cudem zapamiętał, że też zostałam wybrana do pracy w Pszczynie.

Wigilia 1939

Stille Nacht! Heilige Nacht![33]

Alles schläft, einsam wacht

nur das traute hochheilige Paar.

Holder Knabe im lockigen Haar

Schlaf in himmlischer Ruh,

Schlaf in himmlischer Ruh.

Potrawy na stole kuszą swoimi zapachami, a ja mimo całodziennego postu nie potrafię niczego przełknąć. Agnes, próbując rozpocząć rozmowę, chwali smak makówek, do których matka dodała nawet orzechy. Zachęcana przez ojca, nakładam sobie na talerz kawałeczek karpia. Dostał go wczoraj od inżyniera, dla którego wykuwał lichtarz. Nowi dyrektorzy, inżynierowie i naukowcy napływają teraz masowo z głębi Rzeszy, aby kierować tutejszym przemysłem.

Ryba ma dobry smak, choć mnóstwo w niej ości. Nigdy nie zastąpi solonego śledzia. Tradycja to tradycja.

Zerkam na puste nakrycie – talerz przystrojony jodłową gałązką. Wiem, na kogo czeka w tym roku.

Przez cały dzień miałam nadzieję. Głupią, żłudną, ale nie potrafiłam się jej pozbyć. Każdy szmer w sieni, hałas na podwórku sprawiał, że na moment serce zaczynało bić szybciej. Ile zawodów można przeżyć w ciągu jednego dnia? Ile utraconych nadziei, choćby trwały zaledwie kilka chwil, można wytrzymać?

Nie chciałam tu przyjść. Wiem, że ta wigilijna wieczerza nie jest radosna głównie z mojego powodu. Uśmiecham się, ale tak trudno poczuć w sercu coś więcej prócz niepokoju.

Jeszcze przed ślubem przyrzekliśmy sobie z Władkiem, że te pierwsze święta spędzimy tylko we dwójkę. Wbrew tradycji, to miała być tylko nasza Wigilia.

Zaplanowaliśmy wszystko. I sianko pod śnieżnobiałym obrusem, i szopkę, do której figurki obiecał wystrugać Władkowy druzba.

I choć w duchu wiedziałam, że nie pozwolą mi spędzić tego wieczoru samej, już wczoraj zaczęłam gotować siemieniotkę. Do tej pory zawsze matka przygotowywała tę wigilijną zupę, więc przez wiele godzin krok po kroku przypominałam sobie trudny przepis.

Najpierw nie spuszczałam z oka garnka pełnego gotujących się nasion konopi, nie chciałam przegapić momentu, w którym zaczną pękać. Potem drewnianym tłuczkiem wyciskałam z nasionek mleczko, które stanowi podstawę zupy. Przelewałam je do garnuszka, a do konopi dolewałam odrobinę wody i znów uderzałam tłuczkiem tak długo, aż pojawiła się odrobina białego płynu.

Wieczorem ręce miałam zmęczone, ale wyszorowałam podłogę, w oknie zawiesiłam bielutką zazdrostkę i przebrałam pościel. Wszystko było idealnie, oprócz nastroju i tej gałązki, która jednak nie zakwitła.

– Kupiłaś już bilet na pociąg? Z dnia na dzień są coraz droższe. – Wyrwana z zadumy próbuję zrozumieć, o co pyta mnie ojciec. Dopiero po dłuższej chwili przypominam sobie, że przecież za kilka dni wyjeżdżam do pracy. Gdy myślę o nowym miejscu i ludziach, których będę musiała poznać, czuję

nieprzyjemny skurcz w żołądku. Nie lubię zmian.

– Wczoraj Truda przyniosła. Urząd kupił je dla nas.

Ojciec z zadowoleniem kiwa głową. Podoba mu się ten nowy niemiecki porządek.

– To Trudi też jedzie?

– Na razie nie, ale codziennie biega do Arbeitsamtu[34]. Próbuje jeszcze coś załatwić – odpowiadam ojcu, kątem oka zerkając na mojego brata, który niecierpliwie wierci się na krześle.

Matka też to zauważa. Kończy rozmowę, wstaje i składa ręce do modlitwy. Robimy to samo. Po odmówieniu zdrowaśki stoimy jeszcze przez chwilę w milczeniu. Próbuje skupić się na słowach, którymi chciałabym podziękować Bogu za dzisiejszy wieczór i prosić, aby zwrócił mi męża. Nie potrafię. Patrzę bezmyślnie w zapalone świece. Płomień zaczyna się rozmywać, a postawiony za nim krzyż zachodzi mgłą.

– Wejdźcie ino do izby, bo zdaje mi się, że Dzieciątko zostawiło coś dla was pod krisbaumem[35].

Odkąd pamiętam, przez cały dzień Wigilii i całą wieczerzę właśnie na te słowa czekałam. I to nic, że prezentem była zazwyczaj para usztykowanych[36] skarpetek. Ważne, że Dzieciątko pamiętało.

Teraz to samo podniecenie widzę w oczach Antosia, Helenki i Agnes, która zamiast biec do drzwi jak pozostałe dzieci, idzie zupełnie powoli. Chcąc nam dać do zrozumienia, że już nie wierzy w te wigilijne cuda.

Dobrze wiem, że nie może doczekać się chwili, w której zerwie papier z podarków.

* * *

Trzymając na kolanach broszkę, maleńką kopię róży, która leży na byfyju, patrzę na ojca. Uśmiecha się do mnie ponad głową matki. Wiem, że tym prezentem próbuje dodać mi otuchy. Próbuje powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Zamykam oczy i staram się odnaleźć nadzieję, że gdzieś obok Władka też jest teraz ktoś, dzięki komu te święta nie są tak bardzo zimne i samotne.

2 stycznia 1940

Przechodzimy przez potężne drzwi dworca. Jeszcze nie wyruszyłam w podróż, jeszcze jestem wśród bliskich, a już znalazłam się w zupełnie nowym świecie. Oszołomiona wielkością głównego holu, nowymi dźwiękami i zapachami, ściskam mocniej ramię Trudi. Tak bardzo żałuję, że nie udało jej się załatwić tego wyjazdu. Ona, jak nikt inny, nadaje się do podbijania nowych miast. Ja zostałabym tu. Oddałabym wiele, aby wciąż móc pracować w naszej jadłodajni.

Dopiero po dłuższej chwili, gdy oczy zaczynają wyodrębniać poszczególne osoby z wielobarwnego tłumu podróżnych, rozglądam się za koleżankami z kursu. To Trudi pierwsza je dostrzega i macha wysoko uniesioną ręką. Z niepokojem patrzę na dziewczęta stojące przy ławce, na której piętrzą się walizki, torby i kuferki. Moje towarzyszki podróży wyglądają jak wycięte z najnowszego żurnala mody. Spuszczam głowę i krytycznie oceniam stan moich kilkuletnich butów. Teraz zaczynam żałować, że nie posłuchałam Agnes i nie pożyczyłam od niej tych z paseczkiem zapinanym wokół kostki.

Trudi z właściwą sobie energią wpada w grupkę dziewcząt. Obejmują się i głośno życzą szczęśliwego nowego roku.

Stoimy z ojcem kilka kroków dalej. Oboje nieco zmieszani. On – obecnością rozchichotanych pańienek, a ja – uwagą, jaką zwracają wśród mężczyzn.

– Pójdę już – mówi, nerwowo mierzwiąc koniuszek wąsa. – Poradzisz sobie, Sophie?

Kiwam głową, bo cóż innego mogę zrobić. Przecież jestem dorosła. Jestem mężatką. Nie mogę wczepić się w klapy jego płaszcza i prosić, abyśmy wracali do domu. Nie robiłam tak nawet, gdy byłam mała.

– Zjedz to, co zapakowała ci matka – przykazuje i podaje mi walizkę, którą niósł do tej pory. – Postaraj się bardziej nie schudnąć.

W gardle rośnie mi wielka klucha. Znow muszę się z kimś żegnać.

Ojciec obejmuje mnie dość niezdarnie. Jestem zaskoczona, rzadko okazuje gesty czułości wobec nas – dzieci. Powtarza, że życie jest zbyt brutalne na takie gesty.

Gdy odchodzi, patrzę za nim. Na jego plecy, okryte trochę za szerokim płaszczem, i siwe włosy wystające spod kapelusza. Na tle marmurowych kolumn wygląda tak niepozornie. Nie zauważyłam wcześniej, jak bardzo się postarzał przez ostatnich kilka lat.

– Sophie, co tak stoisz? Chodź do nas. – Gerda szarpie mnie za rękę. – Pokaż się – woła rozbawiona i okręca mnie wokół.

– No, no – cmoka. – To i owo do poprawki. Fryzjer, henna, cieńsze pończochy i będzie dobrze.

Marszczę brwi niezadowolona. Na miłość boską, jaki ja kurs ukończyłam?

* * *

Na peronach jest nieco mniej tłoczno. Natomiast sporo tu wojskowej policji. Spacerują dwójkami wzdłuż torów. Niektórzy prowadzą na smyczy psy. Wilczury są piękne, widać, że karmione lepiej, niż my byliśmy przez wiele lat. Posłusznie idą przy nodze. Wydają się zupełnie nie zwracać uwagi na hałas i tłum. Nawet na dzieci, które strofowane przez matki, wyciągają do nich rączki.

Moje przyjaciółki zdają się nie dostrzegać nadmiernej liczby żołnierzy. Rozmawiają głośno,

przekrzykując się nawzajem. W sumie mnie też nie powinno to dziwić, w końcu jest wojna. Powinam już przyzwyczać się do wszechobecnej szarości mundurów SS.

Pociąg ma podjechać lada chwila. Wyciągam z torebki bilety. Mocniej chwytam ucho walizki. Ale lokomotywa, która wtacza się powoli na dworzec, nie kieruje się na nasz peron. Towarowe wagony leniwie wjeżdżają na ostatni tor. Nie ma na nim podróżnych, właściwie wydaje się nieużywany.

Właśnie tam pojawiają się teraz policjanci i jakby spod ziemi wyrasta duża grupa cywilów. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Trzymają w rękach tobołki i walizki. Jedna z kobiet niesie dziecięcy nocniczek, inna – zwiniętą w rulon kołdrę.

Stoją otoczeni przez mundurowych. Niektórzy w zarzuconych na ramiona kocach zamiast palt. Bez czapek i szali.

Psy zaczynają szczekać.

Gdy drzwi jednego z wagonów się rozsuwają, z zaskoczeniem widzę, że są już w nim inni ludzie. W niewielkiej szczelinie pojawiają się głowy. Policjanci i żołnierze, którzy teraz do nich dołączyli, krzykiem i kolbami karabinów nakazują, aby ci z peronu weszli do środka.

Zamieszanie jest coraz większe. Ktoś protestuje, ktoś próbuje rozmawiać, jakaś kobieta tuli maleńkie dziecko.

– Co to jest? – pytam, wciąż patrząc w stronę pociągu.

Gdy nie uzyskuję odpowiedzi, odwracam się. Nie jestem pewna, czy na twarzach dziewcząt widzę zaniepokojenie czy niepokój. Z całą pewnością nie ma już na nich rozbawienia.

– To Żydzi – odzywa się Gerda.

– Dokąd jadą?

Koleżanka wzrusza ramionami.

– Nie wiesz? Mają im stworzyć nowe państwo gdzieś na Wschodzie.

– Nie, nie na Wschodzie – wtrąca nieśmiało Marika. – Mają ich wysłać na Madagaskar.

– A gdzie to jest?

Dziewczyny znów zaczynają rozmawiać jedna przez drugą, wyjaśniać, opowiadać zasłyszane gdzieś historie.

A ja nie rozumiem po co. Dlaczego Żydzi nie mogą mieszkać tu, razem z nami? Przecież najwidoczniej wcale nie chcą wyjeżdżać. Komu przeszkadzał stary pan Bleumcher, właściciel herbaciarni, albo pani Weltman, która sprzedawała na targu gorące bułeczki z masłem. Pamiętam ją dobrze, otulona kraciatą chustą siedziała na skrzyni, do której co jakiś czas wrzucała żarzące się węgielki. W drugiej, takiej samej, trzymała swoje bułeczki. Czasem udawało się nam zaoszczędzić kilka groszy i kupić jedną. Przyjemnie było trzymać ciepłą w zmarzniętych dłoniach, gdy na dworze panował kilkunastostopniowy mróz.

A teraz ma to wszystko zniknąć? Tak po prostu? Bez żadnej przyczyny? Najpierw spłonęła synagoga, a teraz ten pociąg...

– Hitler wie, co robi. – Trudi jak zwykle czyta w moich myślach, ale z brzmienia jej głosu wiem, że wcale nie jest pewna słów, które wypowiada.

Do Pszczyzny przyjeżdżamy wieczorem. Podeksycytowana stoję na peronie niewielkiego dworca, pewna, że za chwilę moim oczom ukażą się szczyty gór. Niestety, nie widzę nic prócz majaczącej w oddali wieży kościoła i kilku spadzistych dachów wyższych kamienic. Może rano dojrzę coś więcej. Wciąż nie tracę nadziei, że spełni się jedno z moich marzeń.

Do stacji, której adres dołączono do biletów, docieramy skostniałe. Mróz i lodowaty wiatr sprawił, że nie miałyśmy ochoty na rozglądanie się po nieznanym mieście.

– Od dwudziestej drugiej obowiązuje cisza i żadnych gości na noc. – Stara Niemka nie wygląda na zadowoloną. Wciska nam do rąk klucze i znika za drzwiami saloniku.

– Łazienka na korytarzu. Na prawo – dobiega do nas stłumiony głos.

– *Jawohl!* – Gerda stuka obcasami i wybucha śmiechem.

Prawie po ciemku wspinamy się po stromych schodach, a potem na oślep próbujemy trafić do właściwych drzwi. Jestem przyzwyczajona do półmroku, ale reszta dziewczyn narzeka. Potykają się o własne nogi.

Na szczęście w pokoju szybko znajdujemy wyłącznik. Lampa rozbłyśka i ukazuje nam maleńką klitkę z oknami prawie pod sufitem. Dzielę ją z Marią. Pozostała trójka dziewcząt zajmuje odrobinę większy pokój, tuż obok.

Dwa łóżka, szafa, stolik i krzesło – jedno. Całe wyposażenie. I jeszcze kafłowy piec w rogu. Przytulam do niego zmarznięte plecy. To nieprawdopodobne, jak ciepło potrafi wpływać na nastrój. Czuję je. Ogrzewa ręce, nogi, brzuch. Jest miło i jakby wewnątrz spokojniej.

Marzę, aby znaleźć się w łóżku. Ale moje towarzyszki mają inne plany. Gdy próbuję upchnąć rzeczy w połowie szafy, do pokoju wpada Olga. Chwyta nas za ręce i już po chwili siedzimy w ich pokoju z kubkiem wina w dłoniach.

– Norbert przysłał. – Gerda upija łyk. – Jest na Krecie.

– Brat Gerdy jest pilotem w Luftwaffe – Marika szepcze mi do ucha.

Unoszę głowę i patrzę na nią porozumiewawczo. Narzeczony Mariki zaginął gdzieś pod Wieliczką. Walczył w armii „Kraków”, tak jak Władek. Jej rodzice nie wyrażali zgody na ślub, mieli się więc pobrać potajemnie. Nie zdążyli.

Upijam łyk wina i prawie natychmiast zaczyna mi się kręcić w głowie. Nie jestem przyzwyczajona do alkoholu. Mimo to, przysłuchując się rozmowom koleżanek, opróżniam kubek do dna. Ceny szminek i ołówkowych spódnic sprawiają, że lody topnieją. Ale zabawne pogaduszki zmieniają się szybko w rozmowy o ojcach, braciach, narzeczonych i mężach. O smutku rozstań i strachu, czy jeszcze kiedyś dotknie się czyjejs dłoni. Nie tylko Marika i ja na kogoś czekamy. Nie tylko nam ta wojna złamała jasną przyszłość.

Jeszcze nigdy nie rozmawiałam z nikim tak jak teraz z dziewczynami, których praktycznie nie znam. Czasem tylko z Agnes, ale z siostrą to nie to samo.

– Siedzimy na podłodze, spite winem, a oni walczą tam przeciwko sobie.

Nie mam pojęcia, skąd w moich ustach pojawiły się te słowa. Olga podchodzi na czworakach i wyciąga mi kubek z ręki.

– Po co o tym myślisz? – pyta. – Widać takie są u nas wojny, że czasem strzela się do przyjaciela.

Wzdycham i próbuję się podnieść. Ale pokój zaczyna wirować. Potem tak samo wirują korytarz i łazienka. Kwiatki wymalowane obok mojego łóżka rozbiegają się po ścianie.

* * *

Zrywam się, gdy za oknem jeszcze zupełnie ciemno. Marika śpi wtulona w róg kołdry.

Boli mnie głowa i jest mi potwornie niedobrze, ale to nieważne. Najgorsze jest poczucie winy. Boże, upiłam się jak stary Smolorz. Co powiedziała by ojciec? A Władek?

Obiecuję sobie, że już nigdy w życiu nie wezmę do ust alkoholu. Cicho otwieram drzwi i wychodzę na korytarz. Jak przez mgłę pamiętam, że łazienka była zaraz naprzeciwko naszego pokoju.

Wchodzę do niej i staję jak zamurowana. Jest ogromna. Nigdy w życiu nie widziałam takiej. Z prawdziwą muszlą klozetową i wanną na zdobionych nogach.

Nad umywalką wisi lustro. Podchodzę do niego i mimowolnie uśmiecham się do swojego odbicia. Nic nie poradzę. Czuję się jak księżniczka w pałacu.

Gdy już przebrana w skromną spódnicę i białą bluzkę wychodzę na korytarz, widzę rzeczy, których wczoraj nie dostrzegłam. Na kwiecistej tapecie wyraźnie odbijają się jaśniejsze punkty. Miejsca po obrazach, które jeszcze niedawno tu wisiały. Między drzwiami prowadzącymi do pokoi znajdują się owalne nisze. Mogę sobie wyobrazić gipsowe figurki, które kiedyś w nich stały. To nie jest zwykły dom, a przynajmniej nie był nim jeszcze kilka miesięcy temu – przed wojną. Do pokoi wstawiono proste meble, nasz jest tak maleńki, że mógł służyć za magazynek albo składzik na miotły. Nie zdołano jednak pozbyć się zapachu luksusu. Tak wyraźnie wyczuwalnego dla tych, którzy nigdy go nie zaznali.

Kto tu mieszkał? Koniecznie muszę się tego dowiedzieć.

* * *

Stoimy w holu ratusza. Każda z nas wchodzi po kolei do biura przepustek. Bez przepustki nikt tu nie wejdzie ani nie wyjdzie z urzędu. To pierwsza informacja, której nam udzielono.

Oczekiwanie dłuży się, tym bardziej że nie wiemy, co jeszcze nas dziś czeka. Mam wrażenie, że zupełnie nie nadaję się do tego miejsca. Elegancki ratusz z egzotyczną palmą na środku holu. I ja, Sophie Zaleska, córka kowala.

Coś się komuś pomyliło.

Wraz z przepustką dostajemy informację, w jakim dziale będziemy zatrudnione. Mnie z Gerdą przydzielono do wydziału opieki społecznej. Cóż, przynajmniej wiem, jacy ludzie taką pomoc otrzymują, znam ich sporo.

Gdyby nie Gerda, pewnie długo tkwiłabym przed drzwiami pokoju, zanim odważyłabym się zapukać. Na szczęście ona robi to za mnie i już po kilku minutach siedzę przed czarnym kontynentalem i zaczynam przepisywać wskazane pisma.

W połowie czwartej kartki palce przestają mi drżeć, a uścisk w żołądku wydaje się nieco lżejszy. Odrywam na chwilę wzrok od tekstu. Rozglądam się wokół.

W biurze oprócz mnie i Gerdy pracują dwie dziewczyny. Za niewielkim przepierzeniem ustawione jest jeszcze jedno biurko, tam siedzi kobieta, która przed chwilą wręczyła mi dokumenty do przepisania. Już nie pamiętam jej nazwiska.

– Przerwa?

Przysadzista brunetka, która siedzi za biurkiem obok, kładzie ręce na plecach i wygina się na krześle.

– Jestem Sonia – mówi.

– Sophie Zaleska – przedstawiam się grzecznie.

– Mamy dwie piętnastominutowe przerwy – wyjaśnia. – Chodźcie, w bufecie dają dobrą herbatę, a czasem nawet kruche ciastka się znajdują.

* * *

Po ośmiu godzinach stukania w klawisze maszyny opuszki palców mam opuchnięte. Odczytywanie ręcznie sporządzonych notatek też nie jest proste. Jednak gdy nasza przełożona, po przejrzaniu kartek z przepisany tekst, z uznaniem kiwa głową, czuję, jak wstępuje we mnie nowa energia. Kiedy wychodzę z ratusza, jestem z siebie dumna.

Władku, gdybyś mógł mnie teraz zobaczyć – szepczę w myślach. – Może jednak dam sobie radę.

Po raz pierwszy przyglądam się miastu, w którym teraz mieszkam. Uroczy rynecek wydaje się pogrążony w zimowym śnie, ale tylko pozornie, bo za oświetlonymi witrynami kawiarni widzę ludzi. Cieszą się smakiem ciast, a jeśli ich brakuje, to samą atmosferą niewielkiego lokalu. W takich miejscach nawet smutek łatwiej jest przełknąć.

Przystaję przed ogromnym pałacem. I choć nie znajduję światła w żadnym z okien, próbuję wyobrazić sobie, jak może wyglądać księżna, która tu mieszkała. Gdy uświadamiam sobie, że pewnie spacerowała parkowymi alejkami, tak jak teraz ja, po raz kolejny nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

Zmazuję go jednak, gdy dostrzegam mężczyzn idących w moją stronę. Spuszczam głowę na widok swastyki na oficerskich czapkach. Gdy przechodzą, wzdycham ciężko. Wojna nie daje o sobie zapomnieć.

1 maja 1940

Niemcy po raz kolejny próbują przekonać nas, że wojna to tylko obrazki z kroniki filmowej. Teraz, gdy Śląsk jest w końcu częścią Rzeszy, możemy pozwolić sobie na niczym niezmaconą radość.

Pszczyzna szumi dziś powiewającymi na wietrze flagami. Mam wrażenie, że podobizna Führera spogląda na mnie z każdego okna. Nie wiem, jakim cudem zdołano tak udekorować miasto w ciągu jednej nocy.

Gdy przychodzimy na rynek, jest już pełen ludzi. Mam wątpliwości, czy wszyscy są tu z własnej woli. Nie chcę spoglądać w oczy tym, dla których obchodzenie najważniejszego, po urodzinach Hitlera, święta Rzeszy jest przykrą koniecznością.

Wraz z innymi pracownikami ratusza stoję nieopodal głównej trybuny. Przemawiają na niej co ważniejsi miejscy dostojnicy. Kazano nam klaskać entuzjastycznie za każdym razem, gdy mówca zrobi choć krótką przerwę. Wykonuję polecenie, lecz bardzo szybko, zamiast słuchać kolejnych pochwał, odpływam myślami w miejsca, o których nigdy nie słyszałam i nie wiem, jak do nich dotrzeć. Tam znalazłabym Władka.

Po oficjalnych uroczystościach przez wiele godzin ulicami miasta przechodzą kolumny wozów konnych. Wstążeczki i bukiety majowych kwiatów jakoś nie współgrają z obliczem wodza, który chyba nigdy się nie uśmiecha.

Gdy rynek pustoszeje, a mieszkańcy rozchodzą się po domach z radością bądź niechęcią w sercach, my biegniemy na stację, aby pozrzucić marynarki i w mniej oficjalnych strojach rozpocząć kolejny punkt planu dnia.

Piknik.

Pamiętam, kilka dni przed ślubem Władek zjawił się u mnie z kraciastym kocem przewieszonym przez ramię. Nie chciałam iść, przecież w domu tyle było roboty. On jednak nalegał tak długo, że w końcu dałam za wygraną. Pojechaliśmy tramwajem do granic miasta, potem szliśmy długo, aż do lasu.

Władek zaprowadził mnie na niewielką polanę. Na jej skraju w cieniu innych drzew stała olcha. Niewielkie drzewko miało w sobie coś niezwykłego. Najgrubsze konary układały się w kształt motyli skrzydeł. Identycznie po obu stronach pnia. Usiedliśmy pod tym drzewem. Naszym drzewem.

Wtedy też słońce świeciło tak jasno jak dziś i las pachniał wiosną. Nie potrafię pozbyć się wrażenia, że to było inne słońce i wiosna też była inna.

* * *

Jedziemy wozami aż za miasto. Cały urząd, ze sto osób. Choć większość znam już choćby z widzenia, czuję się onieśmielona swobodą rozmów, które po każdej butelce wina stają się swawolniejsze. Urzędowe zależności gdzieś nikną, trudno określić, kto jest przełożonym, a kto – podwładnym. Właściwie, można by dojść do wniosku, że zajmowane stanowisko zależy od długości dziewczęcych spódnic. Żałuję, że nie ma z nami Mariki, od kilku dni cierpi na potworną migrenę. Dobrze wiem, jaki jest jej powód. List z domu. Widziałam, jak go zgniata i wrzuca do pieca. Nie ośmieliłam się zapytać, ale podejrzewam, jaką wiadomość mogła w nim znaleźć.

Na otoczonej lasem łące ustawiono stoły z półmiskami pełnymi chleba, pieczonych kurczaków

i kiełbas.

Burczy mi w brzuchu. Mimo że pieniądze, które dostaję, są wystarczające, nie najadam się do syta. Co tydzień staram się wysłać paczkę do domu i do matki Władka. Ojciec pisał mi, że moja teściowa dostaje głodową zapomogę, czuję, że jej też powinnam jakoś pomóc.

Pierwszą paczkę odesłała z informacją, że nie będzie jadła za niemieckie pieniądze. Wysłałam kolejną.

Podchodzę do stołu i sięgam po kiełbasę. Wsuwam ją między dwie kromki chleba. W drugą rękę biorę serwetkę i kubek z napojem, upewniając się najpierw, czy nie ma w nim alkoholu.

Mając nadzieję, że nikt mnie nie zaczepi, idę w kierunku upatrzonej ławeczki. Stoi nieco na uboczu, bliżej linii lasu.

– Dlaczego pani ucieka?

Gdy słyszę głos za plecami, wiem, że mój plan legł w gruzach. Nie uda mi się stać niewidzialną.

– Nie uciekam – mówię i zatrzymuję się z niechęcią. Choć wcale nie mam ochoty kontynuować rozmowy, nie potrafię zachować się niegrzecznie.

Od razu rozpoznaję mężczyznę, który stoi przede mną. Choć teraz bez garnituru, w lnianych spodniach i koszuli z podwiniętymi do łokci rękawami nie wygląda już tak dystyngowanie.

– Nie lubi pani takich zabaw? – raczej stwierdza, niż pyta. – To źle, po pracy warto odpocząć.

– Nie przepracowuję się – mówię i natychmiast zaczynam żałować swoich słów, bo mój rozmówca przykłada sobie palec do ust.

– To niech pani głośno o tym nie mówi, przecież dla dobra Rzeszy wszyscy musimy podejmować nadludzki wysiłek.

Wyczuwam ironię w jego głosie, a potem dostrzegam przypiętą do koszuli odznakę NSDAP. Nie wiem, czy mnie nie podpuszcza, więc jedynie ostrożnie kiwam głową i ruszam we wcześniej obranym kierunku. Mam nadzieję, że pożegna się i odejdzie.

Niestety, idzie za mną.

– Wystraszyłem panią?

– Nie – kłamię.

– To tylko moje poczucie humoru. Kiepskie, jak mniemam.

Nie odpowiadam, czuję się zażenowana, nieczęsto zdarzało mi się prowadzić rozmowę z obcym mężczyzną.

Gdy dochodzimy do ławki, nie bardzo wiem, co zrobić. Czy powinnam usiąść, czy czekać, aż zrobi to pierwszy. Tylko o czym ja mam z nim dalej rozmawiać?

Wydaje się nie dostrzegać mojego zakłopotania. Gestem dłoni zachęca, abym usiadła, po czym zajmuje miejsce obok.

– I jak mieszka się pani w Pszczynie?

– Dobrze, dziękuję.

– A Fräulein Bicker ze stacji? Da się z nią wytrzymać?

Zaskakuje mnie to pytanie. Skąd wie, u kogo mieszkam?

– Tak... jest miła – jąkam.

Mężczyzna wybucha śmiechem.

– Och, proszę nie kłamać. Jednym z zadań naszego działu jest badanie nastrojów społecznych, wiem dobrze, że to straszna zrzęda.

Uśmiecham się mimowolnie.

– No, w końcu! Myślałem już, że pani tego nie potrafi.

– Czego?

– Uśmiechnąć się.

Spuszczam głowę, speszona. Nagle mój rozmówca zrywa się z ławki.

– Eryk Lanx – przedstawia się.

– Sophie Zaleski – odpowiadam, wyciągając rękę. Lanx ściska ją mocno i pewnie, ale nie całuje. Dobrze, bo szczerze tego nienawidzę.

– Frau Sophie, może jednak dołączymy do reszty? Jest pani za młoda, aby siedzieć z boku przez cały wieczór.

Zerkam na łąkę. Większość uczestników pikniku rozsiadła się już za stołami. Słychać muzykę, ktoś gra na harmonii. Gdzieś z boku, wśród aplauzu kibicujących, mężczyźni przeciągają linę.

Przytakuję, czując ulgę, że będę mogła zakończyć rozmowę, która wprawiała mnie w zakłopotanie, choć z drugiej strony, wolę spokój ławki niż tamten rozgardiasz.

Idziemy wolno. Zastanawiam się, czy wypada mi zapytać o budynek, w którym mieszkam. Czy wie coś o jego poprzednim przeznaczeniu i właścicielach.

Przeraźliwy dźwięk przeszywa powietrze zupełnie niespodziewanie. Burzy spokój. W jednej chwili wszystko cichnie. Zaskoczeni ludzie zaczynają rozglądać się wokół. W końcu ktoś podnosi rękę i wskazuje w kierunku lasu, za naszymi plecami. Obracamy się. Zza drzew wybiega dziewczyna, to ona co chwila wydaje z siebie ni to krzyk, ni to płacz. Większość zgromadzonych rusza w jej stronę.

Biegniemy. Już z daleka dostrzegam przerażenie na poblądłej twarzy. W końcu dziewczyna wczepia się w koszulę Lanxa i próbuje mówić, ale nie potrafi wydobyć z siebie głosu.

– Lisa! – Eryk Lanx szarpie ją za ramiona. – Lisa, co się dzieje?

Dopiero gdy Lisa trafia w ramiona swoich koleżanek, zaczyna mówić.

– Tam jest martwy człowiek.

– Gdzie?

– W lesie. W szopie. Wisi.

Atmosfera zabawy pryska w jednej chwili. Mężczyźni trzeźwieją i z flirciarzy znów stają się pełnymi powagi urzędnikami. Żołnierzami III Rzeszy.

* * *

Nie pierwszy raz widzę trupa, ale pierwszy raz tak trudno jest mi w zwłokach rozpoznać człowieka.

Martwy mężczyzna jest całkiem nagi. Na skórze ma wiele ran. Ktoś strasznie go pobił. Krew, ziemia i słoma oblepiają prawie całe ciało. Zanim umarł, musiał bardzo cierpieć. Trudno na to patrzeć bez uczucia mdłości, mimo to nie potrafię odwrócić wzroku.

Dopiero jakiś mężczyzna wyprowadza mnie z szopy. Reszcie również każą poczekać na zewnątrz. Przy

zwłokach pozostaje zaledwie kilku wyższych stopniem wojskowych i półprzytomna Lisa.

Szukam moich dziewcząt. Stoją w jednej z tworzących się grup. Ludzie są w szoku, zaczynają dyskutować i głośno wyrzucać z siebie emocje. Włączam się w rozmowę. Jako że byłam pierwszą, której Lisa mogła coś powiedzieć, spada na mnie grad pytań.

W końcu ktoś proponuje powrót do Pszczyny. Oczywiście jest, że to koniec imprezy.

Ale gdy zjawia się gestapo, każą nam poczekać.

Wszystko trwa strasznie długo. Siadam przy jednym z drzew, opieram się plecami o pień i obserwuję.

Co pewien czas docierają do nas nowe wiadomości.

„Tak giną niemieckie świnie” – słowa znalezione na zakopanej w słomie kartce porażają.

Nazwisko, imię ofiary też jest już znane. Przyczyna śmierci – ciężkie pobicie, a potem strzał w tył głowy. Początkowo wszyscy oburzeni są bestialskim mordem na niewinnym człowieku, jednak bardzo szybko pojawiają się szeptki, że zabity mężczyzna donosił do gestapo na chłopców ukrywających się przed poborem do Wehrmachtu.

W końcu pozwalają nam odjechać. Siedzimy na wozach ze spuszczoneymi głowami i wspomnieniem szeroko otwartych, martwych oczu. Wiem, że jutro takich oczu będzie więcej.

Ilu Polaków zginie za jednego Niemca? Zabitych strzałem prosto w serce, na oczach zapędzonego na rynek tłumy. Będziemy patrzeć na ich naznaczone strachem twarze albo słuchać krzyku, że to dla Polski. Za Polskę.

Ale to stanie się dopiero za kilka godzin. Teraz zapada noc. Jeszcze spokojna.

Kochana Żono!

Minął kolejny tydzień. Nie musisz się o mnie martwić, jest mi tu całkiem dobrze, przytłacza jedynie monotonia i te mury wokół nas. Sprawiają, że wszyscy czujemy się jak w klatce. Zresztą, przecież faktycznie w niej jesteśmy. Drewniane baraki, zasieki i wieżyczki strażników. To wszystko, na co patrzymy. My, którzy wyjeżdżamy do pracy poza obóz, i tak mamy łatwiej. Codziennie przez dwanaście godzin możemy udawać, że jesteśmy wolni.

Na pracę nie narzekam. Gdy tylko odkryli, że potrafię naprawiać linotypy, liczą się ze mną. Nie jestem już numerem, znów mam imię i nazwisko.

Wczoraj, gdy niemieccy pracownicy etatowi mieli przerwę (jeńcom nie przysługuje), majster zawołał mnie, wziął pod ramię i wprowadził do stołówki. Oczywiście strażnik zaraz podniósł raban, bo jakiegokolwiek rozmowy jeńców z pozostałymi pracownikami są zabronione pod karą karczeru bądź nawet śmierci. O ile zakaz jest przestrzegany w kopalniach i hutach, tu prawie nikt się do niego nie stosuje. Musimy ze sobą współpracować. Majster zagroził strażnikowi, że jeśli ze mną czegoś nie obgada, linotyp nie ruszy i to strażnik będzie odpowiadał za brak jutrzejszych doniesień z frontu. Wiluś (tak nazywamy dzieciaka, który ma nas pilnować) bez słowa opuścił karabin.

Karmią nas marnie. Codziennie suchy chleb i zupa. Trudno znaleźć w niej coś więcej oprócz rozgotowanej brukwi. Dobrze, że w drukarni czasem ktoś włoży do kieszeni kawałek kiełbasy albo bułkę.

Zosiu, jak to się skończy, zrobisz mi pieczeń z ziemniakami i polejesz sosem tak, aby wszystko w nim pływało?

Kilka tygodni temu zrobiono dla nas boisko do gry w piłkę. Ponoć według konwencji muszą nam umożliwić uprawianie sportów. Wyobraź sobie tych biedaków, którzy po dwunastu godzinach morderczej pracy w kopalni mieliby siły na kopanie piłki. Kpią z nas sobie.

Nie wiem, czy ta sama konwencja wspomina coś o pchłach i pluskwach, bo mamy ich tu pod dostatkiem.

Brakuje wody i choć dezynfekują każdego jeńca i golą na zero, w kocach siedzi to świństwo i roznosi tyfus.

Mimo trudności wciąż nie umarł w nas duch. Wieczorem zawsze znajdzie się ktoś, kto wyciągnie harmonijkę i zacznie grać. Inni też próbują robić to, co kiedyś sprawiało im radość.

Przedziwnie musimy wyglądać. Grupa mężczyzn, wychudzonych i obdartych, siedzi w zarobaczonych barakach i recytuje wiersze.

Ale robimy wszystko, aby nie zwariować. Aby mieć tu choć namiastkę normalności. Bronimy się przed chorobą drutów kolczastych (tak nazywają histerię, w którą wpadają mniej odporni). Krąży wokół jak cień.

I choć jestem wdzięczny Kolskiemu za uratowanie życia, bo gdyby nie jego wstawiennictwo, zgniłbym w areszcie, wszystko aż rwie się, aby stąd uciec. Aby walczyć.

Ostatnio udało się to grupie Francuzów. Po ich ucieczce przetrząsnięto wszystkie baraki, zniszczono prywatne rzeczy, książki, listy. Karnie wstrzymano korespondencję, więc nie wiem, kiedy list do Ciebie dojdzie.

Chodzą słuchy, że Ślązaków mają wcielać do niemieckiego wojska.

Ja w Wehrmachcie! Polski żołnierz! Zosiu! Ojciec przewróci się w grobie.

Wielu tu takich jak ja, próbujemy śmiać się z tych plotek i wmawiamy sobie, że nie mamy wpływu na to, co się stanie.

Zosiu, napisz, co u Ciebie.

Gdybyś mogła, wyślij pocztą parę paczek papierosów. Może nie zabiorą.

Do zobaczenia, Żono.

Boże, jak brakuje mi możliwości mówienia do Ciebie w ten sposób.

Władek

Kwiecień 1941

Aby dotrzeć do biura, muszę przejść przez park, który właśnie rozkwitł setką owocowych drzew. W powietrzu unosi się słodki zapach dzikiej śliwy i jabłoni. Mam wrażenie, że to pierwsza wiosna, którą tu spędzam. Rok temu wszystko było dla mnie zbyt nowe i obce, abym mogła cieszyć się pogodą.

Pamiętam palce obolałe od wielogodzinnego stukania w klawisze maszyny, tęsknotę i strach, że zrobię coś nie tak, że przełożona będzie zła.

– Sophie, dlaczego do mnie nie zapukałaś, znów omal bym nie zasnęła. – Gerda dogania mnie i wsuwa mi rękę pod ramię.

– Nie wiedziałam, czy jesteś sama – tłumaczę.

Na twarzy koleżanki pojawia się wieloznaczny uśmiech.

– Co ty – mówi zmienionym głosem. – Nawet nie wchodził na górę. Staliśmy tylko chwilę w bramie, pocałował mnie w policzek i poszedł.

– Dżentelmen – komentuję zachowanie żołnierza, z którym Gerda spędza ostatnie wieczory.

– Nudziarz!

Z czwórki dziewcząt, z którymi przyjechałam tu ponad rok temu, zostałyśmy tylko my dwie. Marikę z powodu złego stanu zdrowia odesłano do domu. Olgę i Sarę oddelegowano do pracy w innych miastach.

Ciężko było mi rozstać się z Mariką, zaprzyjaźniłyśmy się przez te ostatnie miesiące. Obie podobnie patrzymy na świat. Bez rozpychania się łokciami. Raczej z boku niż w centrum zdarzeń. Myślę, że gdyby została, szybciej poradziłaby sobie z utratą ukochanego. Czasem widziałam już blady uśmiech pojawiający się między kolejnymi falami bólu głowy. Ale Rzesza nie może czekać. Tu trzeba pracować, a jeśli komuś zabraknie sił, jest zastępowany kimś, kto je ma.

Choć tym razem, ku naszemu zdziwieniu, nie przysłano nowych dziewcząt. Z tygodnia na tydzień jest coraz mniej pracowników i coraz więcej pracy.

Nadal mieszkamy u Fräulein Bicker. I nadal nasze relacje z nią są bardzo chłodne, ale przynajmniej każda z nas ma teraz oddzielny pokój. Na razie nie pobierają nam z pensji dodatkowej kwoty za ten luksus, więc cieszymy się swobodą, jakiej nie zaznałyśmy nigdy wcześniej.

Na szczęście Gerda wie, że zamiast wieczornych wyjść do kawiarni wolę odłożyć pieniądze na nowe buty dla Antka albo książkę dla Agnes. Już nie muszę się tłumaczyć, dlaczego wieczorem zostaję w pokoju. Ona używa życia, ma do tego prawo.

Gdy przechodzimy przez bramę parku, zatrzymuję się.

– Nie idziesz do biura?

– Muszę jeszcze zanieść kartki – tłumaczę.

– To do zobaczenia za chwilę – woła Gerda i znika za rogiem budynku, ja kieruję się w przeciwną stronę.

Z powodu braku pracowników ostatnio zakres moich zadań się rozszerzył. Sprawuję opiekę nad kilkoma rodzinami objętymi pomocą socjalną. Sprawdzam, czego im brakuje, zanoszę darmowe kartki żywnościowe.

Wczoraj roznosiłam te na maj, udało mi się zastać wszystkich oprócz pana Lijewskiego. To emerytowany nauczyciel. Lubię go, całą zimę częstował mnie herbatką z lipy. Twierdził, że nie ma nic lepszego na poprawienie odporności.

Wchodzę do kamienicy. O tej porze dnia panuje tu niczym niezmacona cisza. Mieszkańcy są już w szkołach, w pracy albo przy swoich domowych obowiązkach.

Staję przed drzwiami. Pukam. Cisza.

Ogarnia mnie niepokój. Może zachorował albo upadł gdzieś niefortunnie i teraz potrzebuje pomocy. To niemożliwe, aby tak długo nie było go w domu, nie ma dokąd pójść.

Pukam jeszcze raz. Znow brak odpowiedzi.

Ostrożnie przykładam ucho do drzwi.

W pierwszej chwili nie słyszę zupełnie nic, ale potem zaczynam wyłapywać cichutkie dźwięki. Jakby prowadzoną szeptem rozmowę albo... Tak, w mieszkaniu jest włączone radio.

Naciskam klamkę. Drzwi ustępują, co tylko pogłębia mój niepokój.

– Panie Lijewski, jest pan w domu? – pytam, stojąc w progu.

Nikt nie odpowiada.

Przez chwilę walczę jeszcze sama ze sobą, a potem nieśmiało, krok za krokiem, idę w głąb korytarza. Znam już dobrze mieszkanie mojego podopiecznego. Wiem, że radio stoi w kuchni, na drewnianej półce, tuż pod obrazem Matki Boskiej.

Gdy wchodzę do niewielkiego pomieszczenia, kuchenny zegar zaczyna wybijać dziewiątą, a w radiu słyszę melodię, która sprawia, że przez kręgosłup przebiegają mi dreszcze.

BBC.

Lijewski śpiący na fotelu tuż przy odbiorniku otwiera oczy. Jakby zupełnie podświadomym gestem przekręca gałkę radia.

Teraz słyszeć już tylko szmery i trzaski.

– Frau Zaleski – jąka i niezdarnie wstaje z fotela. – Ja... ja tylko... – Wyciąga do mnie drżące ręce. Chwytam za nie.

– Przecież pan wie, jaka jest za to kara. Po co tak się narażać? – pytam ledwie słyszalnym szeptem.

Nie odpowiada, widzę, jak zaciska szczęki.

– Co pan usłyszał? – pytam jeszcze ciszej. – Kto wygrywa tę wojnę?

Nie wiem, czy naprawdę chcę znać odpowiedź, czy tylko pragnę pokazać staremu człowiekowi, że może czuć się bezpieczny, że go rozumiem.

– Niemcy – odpowiada zdławionym głosem. – Na wszystkich frontach.

Stoimy, milcząc.

– Nikomu nie powiem – mówię już nieco głośniej.

Dotyka mojej twarzy lodowatymi palcami. Nie wiem, co powiedzieć, więc tylko zostawiam na stole kartki i wychodzę.

Maj 1941

– *Einmal mit dem Führer...*[37] – Gerda wzdycha ciężko i opiera brodę na dłoniach. – Jaki on ma piękny głos, taki szlachetny.

Zamiast pracować, słuchamy kolejnego przemówienia wodza. Choć dziewczęta wydają się chłonać każde jego słowo, nie sądzę, aby cokolwiek rozumiały. Zresztą, przecież to oczywiste, że wszystko, co mówi Führer, jest słuszne i wielkie. Od myślenia są mężczyźni. Kobiety kochają Hitlera bezkrytycznie.

Zerkam na powieszoną na ścianie podobiznę naszego przywódcy. Patrzy z niej niewysoki człowieczek o małych oczkach i wątym wąsiku. Połowa mężczyzn nosi teraz taki, a mnie nadal wydaje się śmieszny.

Po raz tysięczny zastanawiam się, co takiego jest w Adolfie Hitlerze, że za możliwość spotkania z nim większość moich koleżanek oddałaby życie.

Krzywię się z niesmakiem. Na mnie nie działa. Choć nawet w pozornie błahych rozmowach nie wolno się do tego przyznawać.

Wyobraźnia zaczyna podsylać inne obrazy. Władek śpi, a ja, wsparta na łokciu, przyglądam się, jak oddycha. Równo. Spokojnie. Wiem, że nie powinnam go budzić, ale nie potrafię oprzeć się pokusie, aby go pocałować. Pochylam głowę. Moje niezwiązane włosy opadają na jego policzki. Tworzą parawan, oddzielający nas od wszystkiego, co obok.

Budzę go pierwszym muśnięciem warg. Śmieje się. Jedną ręką trzyma moje nadgarstki, drugą zaczyna podciągać zaplątaną między nogami nocną koszulkę.

– Nie trzeba było mnie budzić – mówi, całując w szyję. Odchylam głowę. Poddaję się gorącu, które we mnie też już nie śpi.

Wstaję z krzesła. Mimo że wódz wciąż krzyczy z eteru, muszę wyjść, muszę się przewietrzyć. Nagle w pokoju zrobiło się strasznie duszno.

W drzwiach omal nie wpadam na funkcjonariusza gestapo.

– Szukam Frau Sophie Zaleski – stwierdza, przeszywając mnie wzrokiem.

– To ja – odpowiadam i czuję, jak kurczę się w sobie pod siłą jego spojrzenia.

Natychmiast zaczyna mnie boleć brzuch.

– Pójdzie pani ze mną!

– Dlaczego? – pytam cicho.

Nie odpowiada, tylko wskazuje ręką kierunek, w którym mam się udać.

– Wezmę torebkę – chrypię nie swoim głosem.

Kiwa głową.

Dziewczyny wpatrują się we mnie. Wyraz ich twarzy nie uspokaja mnie.

Gestapowiec idzie tak blisko, że stykamy się ramionami. Doskonale wiem, dokąd mnie prowadzi. Siedziba Geheime Staatspolizei[38] mieści się kilkaset metrów od ratusza.

Boję się. To lęk, który odczuwają wszyscy. Wystarczy przypadkiem natknąć się na któregoś z tych roślących mężczyzn w szarych mundurach lub przejść obok okien budynku, który zajmują.

Teraz wejść od środka. Nieważne, jaki jest powód wezwania, czy w ogóle jakiś jest. Samo przekroczenie progu wystarczy, aby czuć strach.

Gdy podchodzimy do drzwi, robi mi się niedobrze, co chwila przełykam napływającą do ust ślinę, ale to niewiele pomaga.

Jak przez mgłę widzę mężczyznę, który nas mija.

Odwracam się instynktownie.

Eryk Lanx stoi pośrodku chodnika.

Niebezpiecznie tak patrzeć, myślę, powinien wiedzieć, że lepiej się nie interesować.

* * *

Siedzę na drewnianym krześle. Jedna noga wysłużonego mebla jest krótsza od pozostałych, dlatego żeby utrzymać równowagę, muszę stale napinać mięśnie, balansować. Zastanawiam się, czy jest to celowe, aby przesłuchiwany nie poczuł się zbyt komfortowo.

Śmieszne. Tu nie można się tak czuć, nawet gdyby sadzano na fotelu.

Funkcjonariusz, który mnie doprowadził, kazał czekać. Sam został za drzwiami.

Rozglądam się wokół. Pokój wygląda zaskakująco zwyczajnie. Drewniana szafa, obok niewielki stolik, a na nim karafka z wodą, wysoka szklanka i talerz z niedojedzoną kanapką. Przede mną masywne biurko. Okno, które sądząc po odgłosach, wychodzi na ulicę, „zdobią” ciemne zasłony. Teraz, niestarannie rozsunięte, zwisają po obu jego stronach. W rogu, przy drzwiach, wieszak. Wisi na nim długi płaszcz.

Wzdrygam się na dźwięk otwieranych drzwi. Kilka ciężkich kroków głucho spada na podłogę.

– Pozwoli pani, że skończę śniadanie.

Mężczyzna wkłada do ust resztę kanapki i siada za biurkiem. Patrzy na mnie, wolno żując kęs chleba. W końcu sięga po jedną z rozłożonych przed nim teczek.

– Sophie Zaleski? – pyta.

– Tak.

– Pracuje pani w Urzędzie Miasta w dziale pomocy społecznej.

– Tak – powtarzam. – Jestem stenotypistką.

Mężczyzna unosi głowę znad dokumentów.

– Chyba nie tylko? – uśmiecha się.

Czuję się, jakby złapał mnie na jakimś potwornym kłamstwie.

– Opiekuję się też objętymi pomocą. Roznoszę kartki, sprawdzam warunki mieszkaniowe.

Oficer kiwa głową.

– Więc zna pani Antoniego Lijewskiego?

Ciemnieje mi przed oczami. Już wszystko rozumiem.

Mężczyzna wstaje zza biurka. Podchodzi do mnie.

– Zna pani Antoniego Lijewskiego?

– Znam – mówię cicho.

Zaciskam oczy, gdy dotyka mojego ramienia.

- Często go pani odwiedza?
- Raz na dwa tygodnie, tak jak stanowi regulamin.
- Czy podczas tych wizyt dzieje się coś niezwykłego?
- Nie – odpowiadam szybko.

Mężczyzna robi kilka kroków w tył. Znów w milczeniu przeszywa mnie spojrzeniem.

- Jest pani pewna?
- Tak, jestem. – Zaskakuje mnie własny spokój. Teraz, gdy nie mam już nic do stracenia, strach odpływa. Patrzę mu prosto w oczy.
- Niech więc pani opowie, jak przebiegła ostatnia wizyta.
- U pana Lijewskiego byłam w środę. Dałam mu kartki, chwilę porozmawialiśmy i wyszłam.
- O czym rozmawialiście?
- Nie pamiętam. Pewnie o wojnie, jak wszyscy.
- Jak wszyscy – mężczyzna powtarza powoli. Mam wrażenie, że cedzi przez zęby każdą literę. – Czy pani wie, że słuchanie radia BBC jest zabronione?

- Wiem.
- I nigdy nie słyszała pani, aby Lijewski słuchał tego radia?
- Nigdy.
- Nigdy nie słuchał go przy pani?
- Nigdy.
- Czy ma w domu radio?
- Nie wiem.
- Kłamiesz! – Oficer unosi głos. Po raz pierwszy, odkąd mnie przesłuchuje.
- Nie – mówię spokojnie. Dociskam mocniej dłoń do kolan, aby nie dostrzegł, jak drżą mi palce.
- A gdyby była pani świadkiem czegoś podobnego?
- Zgłosiłabym to.

Oficer sięga do kieszeni spodni. Wstrzymuję oddech, ale on wyciąga z niej paczkę papierosów. Wsuwa jednego do ust i zapala złotą zapalniczką.

- Dostaliśmy donos, było w nim również pani nazwisko.

Wiem, że czeka, aż się złamię. Aż zacznę przeproszać bądź płakać, aż powiem cokolwiek, aby potwierdzić. Jest bardzo blisko.

- Nieprawdziwy. – Wytrzymuję jego spojrzenie.
- Okaze się!

Gasi papierosa, zamyka teczkę i odkłada ją z powrotem na stos innych.

Czekam.

- Może pani iść. Dziś to wszystko – mówi obojętnym tonem. Nie patrzy już na mnie.

Wstaję. Kręci mi się w głowie, więc aby tego nie zauważył, idę wolno, stawiając stopy na linii

wyznaczonej przez deski parkietu.

Gestapowiec, z którym tu przyszedłam, odprowadza mnie do wejścia. Przechodząc obok kolejnych drzwi, zastanawiam się, za którymi siedzi teraz Lijewski.

* * *

Idę szybko. Byle dalej od budynku gestapo. Nie chcę, aby ktokolwiek mógł domyślić się, że właśnie z niego wyszłam. I tak tkwi we mnie przekonanie, że wszyscy wokół oglądają się za mną, że pogardzają mną i szepczą o moich winach. Dopiero po drugiej stronie rynku siadam na ławce. Jestem zupełnie odrętwiała. Wpatruję się w gołębie spacerujące między moimi nogami i próbuję zmusić się do myślenia. Skąd donos? Kto słyszał cichutko włączone radio? Kto widział mnie zbyt często zaglądającą do starego nauczyciela? Mnóstwo pytań, a brak odpowiedzi może oznaczać poważne kłopoty. Z każdą minutą bezruchu ogarnia mnie coraz silniejsza senność. Nie potrafię skupić się na niczym prócz rosnącego pragnienia powrotu na stację i przespania reszty dnia. Czy jeśli nie wrócę do pracy, będę miała kłopoty? Czy w ogóle warto się nimi przejmować w obliczu tych, które mogą nadejść?

– Chodź! Musisz się napić kawy.

Podnoszę głowę. Przede mną stoi Eryk Lanx. Mrużę oczy, bo słońce zza jego pleców zupełnie mnie oślepia.

– Nie, nie mam ochoty – odpowiadam. Jest mi zupełnie obojętne, że tak bezceremonialnie zaczął zwracać się do mnie po imieniu.

– Jesteś biała jak ściana. Zaraz zemdlejesz.

– Wszystko w porządku – rzucam, próbując wstać.

Nagle pszczyński rynecek zaczyna wirować. Łapię Lanxa za ramię.

– Widzisz – mówi i powoli rusza, a ja nie mam siły na dalszy opór, więc pozwalam się prowadzić.

Wchodzimy do niewielkiej kawiarenki. Jednej z dwóch, które pozostały jeszcze otwarte.

Mimo że jest piękny wiosenny dzień i większość gości szuka miejsc zaraz przy oknach, Lanx wybiera stolik w głębi.

Gdy dziewczyna w białym fartuszkach podchodzi do nas, zamawia dwie kawy, setkę wódki i likier anyżowy.

– Nie piję alkoholu – znów próbuję protestować.

– Dziś wypijesz.

W milczeniu czekamy, aż kelnerka przyniesie zamówienie. Czuję, że Lanx cały czas się we mnie wpatruje, a ja, ukryta za kartą deserów, udaję, że tego nie dostrzegam. Nie mam ochoty na rozmowę.

W końcu dziewczyna stawia przed nami dwie filiżanki i dwa kieliszki. Gdy odchodzi, Lanx zabiera stojący przede mną likier i przysuwa bliżej wódkę.

– No już – zachęca ruchem brody. – Pij!

Kręcę przecząco głową, a mimo to sięgam po kieliszek, przykładam do ust i przechylam.

Gońco, które powoli przepływa przez gardło i wypełnia żołądek, jakimś cudem rozjaśnia umysł. Nagle bardziej niż wizyta w gestapo zaczyna przerażać mnie fakt, że siedzę w kawiarni z mężczyzną, który nie jest moim mężem.

– Czego chcieli? – Lanx ponownie zaskakuje mnie bezpośredniością.

– Jakaś pomyłka.

– Oczywiście!

Ściąga brwi. Wiem, że mi nie wierzy.

– Dlaczego miałabym ci powiedzieć? – Patrzę na znaczek NSDAP przypięty do kłapy jego marynarki. Pociera go palcami.

– A myślisz, że się nie dowiem?

– Dlaczego miałbyś się tym interesować? – pytam.

Lanx upija łyk kawy. Spokojnie odstawia filiżankę na spodeczek. Potem podnosi wzrok.

– Bo mi się podobasz.

Muszę wyglądać na bardzo przerażoną tym wyznaniem, bo pochyła się przez stół i szepcze uspokajająco:

– Wiem, że jesteś mężatką, a przynajmniej wciąż masz taką nadzieję. Zapytałaś, to odpowiadam.

Nie mam pojęcia, jak się zachować. Z jednej strony chciałabym natychmiast wyjść. Uciec. Zaszyć się gdzieś z dala od Lanxa, ale z drugiej...

Gdy znów zbieram się na odwagę, aby spojrzeć mu w oczy, nie widzę w nich niczego wrogiego. Niczego, co w jakikolwiek sposób mogłoby mi zagrażać.

– Wezwali mnie, bo dostali donos, że jedna z osób, do której chodzę, słuchała radia BBC. Mówią, że o tym wiedziałam.

– Wiedziałaś? – Lanx pyta, choć ulga wyraźnie rysuje się na jego twarzy.

Co mam mu odpowiedzieć? Że co najmniej pięć razy przychodziłam do Lijewskiego, aby dowiedzieć się czegoś więcej niż to, co puszczają nam w kronikach filmowych? Że chciałam sprawdzić, czy na nieprzerwanym paśmie zwycięstw nie widać jednak jakiej rysy? Usłyszeć, co robią z jeńcami, czy traktują ich tak, jak nakazują międzynarodowe konwencje?

– Nieważne – dociera do mnie głos Lanxa. – Bałem się, że to coś poważnego. Możesz się uspokoić i zapomnieć o sprawie.

– A pan Lijewski? – pytam.

Lanx kręci głową.

– Niesamowita jesteś – mówi, co znów powoduje moje zmieszanie. – On też, ale najlepiej będzie, jak radio zniknie z jego domu. Tak na wszelki wypadek – dodaje, mrugając do mnie okiem.

Bezradnie kiwam głową. Sytuacja, w której się znalazłam, wydaje się tak niedorzeczna, że aż śmieszna.

– Dziękuję – mówię nieśmiało.

Lanx się uśmiecha. Przesuwa ledwie zauważalnie lewą dłoń tak, że końcem palców dotyka mojej. Cofam ją błyskawicznie.

– Wiesz, kto mógł wysłać im donos?

Przecząco kręcę głową.

– Nikomu nie mówiłam – odpowiadam i oczywiście dopiero po fakcie dochodzi do mnie, że właśnie

przyznałam się do „zbrodni”.

– Musisz uważać, Sophie. Podczas wojny nie ma przyjaciół. Wszyscy czegoś chcą.

Patrzę na niego pytająco.

– Wszyscy czegoś chcą, Sophie – powtarza.

Brzmi to jak groźba, ale nie czuję strachu.

– Powinnaś już wracać do pracy. Niech się nie zastanawiają dłużej, co przeszkrobałaś. Spokojnie możesz im wrzucić jakieś kłamstewko. Nie uwierzą, ale zamkniesz im usta.

Czerwiec 1941

Przy akompaniamencie żwawego marsza żołnierze wyłamują graniczne szlabany. Zwartym szeregiem przechodzą przez most. Nikt ich nie powstrzymuje, nikt nie stawia oporu. Kolejne ujęcie. Zgliszcza spalonych samochodów i doszczętnie zniszczone domy, straszące kikutami. Na ulicach tłumy ludzi witają wyzwolicieli.

Głos, który komentuje wszystko, co dzieje się na ekranie, wyjaśnia, że miasto, które oglądamy, to Ryga, stolica Łotwy.

Nagle muzyka, która dotąd wypełniała kinową salę, milknie. W pierwszej chwili nie wiem, na co patrzę, co uchwyciła kamera. Robi mi się gorąco, gdy w końcu obraz staje się dostatecznie wyraźny. Cisza jest porażająca. Kino wstrzymało oddech. Patrzymy na stosy ciał. Potwornie okaleczonych, okrytych strzępami ubrań. Jeden z żołnierzy widocznych na filmie przykładą do ust kraciatą chustkę, podchodzi bliżej i pokazuje na coś ręką. To ciało dziecka. Załedwie kilkuletniego.

Mordercy z NKWD i kolaborujący z nimi Żydzi dokonali tej rzezi – wyjaśnia głos.

Sceny z kopania zbiorowych mogił i widok rozpaczających kobiet dopełniają obrazu.

Nie wiem, czy ktokolwiek z zebranych w sali wie, o czym jest film, który puszczają zaraz po kronice. Zresztą większość przyszła tu właśnie dla niej. Ludzie pragną zobaczyć zwycięstwa lub w duchu liczą na porażki niemieckiej armii. Nikt nie spodziewał się ujrzeć obrazów równie potwornych.

Wychodzimy z kina zupełnie rozbite.

– Idę do Wilhelma – rzuca Gerda i znika za rogiem, nawet na mnie nie patrząc.

Będzie płakała mu w ramię i piła wino z zeszłorocznych jabłek, dopóki widok ciał nie wyparuje z jej głowy. Potem będą się kochali. Raz za razem, aż zapomną, że wokół toczy się wojna.

Zastanawiam się, co zrobi Gerda, gdy Wilhelm wróci na front. Po postrzale w płuco i ciężkiej operacji dostał urlop, ale każdy urlop kiedyś się przecież kończy. Czy moja koleżanka znajdzie sobie inne ramiona, w których będzie czuła się bezpiecznie?

Wlekę się skąpanymi w słońcu uliczkami. Skręcam w zaułki, w których raczej nie spotkam ludzi.

Nie potrafię zakończyć projekcji. Wciąż widzę maleńkie dziecko z obciętymi rączkami. Kto mógł zrobić coś takiego? Nie mam cienia wątpliwości, że tam, za granicznymi słupami, w kraju opanowanym przez bolszewików, wśród ludzi mieszkają bestie.

Mam w sobie mocne przekonanie, że to, co zrobił Hitler, jest słuszne. Wypowiadając wojnę Rosji, zniszczy zło.

Jest zupełnie pusto. Z niedomkniętych okien słychać odgłosy rozmów i brzęk zmywanych po obiedzie naczyń. Idę zatopiona w myślach. Nagle z jednej z bram wypada mały chłopczyk. Przebiega obok mnie dokładnie w chwili, gdy na ulicy pojawia się grupa nieco starszych dzieci. Wszystkie w mundurkach Hitlerjugend.

– Już nie żyjesz! Mały polski wieprzu! – krzyczy jeden z chłopców.

Niewiele myśląc, próbuję zastąpić im drogę.

– *Halt!* – krzyczę. – *Was machst du?*^[39]

Łapię za ramię tego, który biegnie pierwszy. Oczywiście udaje mi się go powstrzymać załedwie na

kilka sekund. Wyrwa mi się bez większego wysiłku. Inni mijają mnie. Nawet nie zwalniają.

Mam nadzieję, że chłopczyk, którego gonią, zyskał choć kilka chwil. Niestety, malec potyka się o jakąś nierówność i wywraca. Teraz nie ma już szans. Widzę, jak dobiegają do niego, otaczają i obrzucają wyzwiskami, które mnie nie przeszłyby przez gardło.

– Przestańcie! – próbuję jeszcze jakoś do nich przemówić.

Zupełnie nie zwracają na mnie uwagi. Boję się, że zaraz któryś z nich kopnie płaczącego malca.

Rozglądam się dookoła, ale teraz nie widzę już pochylanych okien.

– Przestańcie! – wrzeszczę wściekła z bezradności.

Nie rozumiem, dlaczego nikt nie interweniuje, przecież to tylko dzieci. Szarpnię jednego za ramię. Odsuwa się gwałtownie, a mnie zostaje w palcach strzęp opaski ze swastyką.

– Znieważasz mundur! – krzyczy.

Chłopiec patrzy mi prosto w oczy. Ma szczupłą twarz o dziecięcych rysach, co złowieszczo komponuje się z zaciętością jego spojrzenia.

– To ty go znieważasz.

Obok mnie jak spod ziemi wyrasta Lanx.

– Śledzisz mnie? – cedzę przez zęby.

– Ależ skąd. Po prostu mam szczęście wyciągać cię z kłopotów – odpowiada szeptem i robi krok w kierunku chłopców.

– Baczość – rozkazuje twardo.

Nie wiem, czy wiedzą, kim jest, czy go znają, ale bez szemrania wykonują rozkaz.

– Kto uczy was, że należy wykonywać wyroki bez sądu?

– To Polak! – Hardość jednego z chłopców bierze górę nad strachem.

– Czy dopuścił się jakiegś zbrodni przeciwko Rzeszy?

Żaden z chłopców nie odpowiada.

– Uciekajcie stąd! – Lanx odwraca się do mnie, dając do zrozumienia, że skończył rozmowę.

– Tak ich uczycie? – Z niesmakiem patrzę na oddalających się małych żołnierzy.

Lanx lekceważy moje pytanie. Wsuwa rękę do kieszeni marynarki. Wyciąga złożoną kartkę i podaje mi ją.

– Co to jest?

– Reorganizacja.

– Co? – Chaotycznie próbuję przeczytać urzędowy druk.

– W urzędzie następują zmiany. Od jutra pracujesz ze mną. Tu masz wszystko napisane.

Zamiast na kartkę patrzę oniemiała na Lanxa.

– Ty wymyśliłeś te zmiany? – pytam, unosząc głos.

– Oczywiście – Eryk odpowiada ze śmiechem. – A teraz życzę pani miłej niedzieli. – Kłania się i odchodzi, a ja zostaję. Zupełnie wytracona z równowagi. – Sophie. – Odwraca się po kilku krokach. – Ślązaków wcielają do Wehrmachtu. Prawie wszystkich z volkslistą trzy i cztery przerzucają na front wschodni. Przykro mi. – Ostatnie słowa wypowiada ledwie słyszalnym szeptem.

Patrzę, jak odchodzi. Wyprostowany i pewny siebie. Doskonale udaje mu się ukrywać to, że kuleje. Zaciskam powieki. Łzy spływają mi po policzkach. Wiem, że Władek, jako mąż Niemki, dostał co najwyżej trójkę.

Sierpień 1941

– Chodź z nami, Sophie, chociaż ten jeden raz. – Gerda stoi w drzwiach mojego pokoju. – Nie możesz zamykać się tu zawsze, gdy mamy wolny dzień. To niezdrowe.

– Niezdrowe? – pytam, powstrzymując uśmiech.

– Jesteś taka blada. Słońce jest potrzebne.

Wzdycham teatralnie, wstaję z łóżka i podchodzę do szafy. Schylam się do najniższej półki i wyciągam małą paczkę. Rozwijam szary papier.

– Taki może być?

Odwracam się z powrotem do Gerdy. W wyciągniętych rękach trzymam kostium kąpielowy. Jest żółty w drobne czerwone i brązowe kwiaty. Odcinany pod biustem koronkową tasiemką. Ładny, choć wciąż mam wątpliwości, czy odważę się wyjść w nim na plażę. Odsłania za dużo.

– Jedziesz? – W oczach Gerdy zaskoczenie miesza się z autentyczną radością.

Kiwam głową.

– Za dziesięć minut będę gotowa – mówię i wypycham przyjaciółkę z pokoju. Nie potrafię przełamać wstydu, nigdy nie rozebrałabym się przy drugiej osobie, nawet jeśli jest to najlepsza koleżanka. Matka zawsze pilnowała długości naszych sukienek i zapiętych pod szyją guzików. Ciało jest czymś, co należy ukrywać. Dopiero Agnes zlekceważyła jej krzyki i zaczęła nosić wąskie spódnice i połyskiwać pomalowanymi na czerwono paznokciami.

Uśmiecham się na wspomnienie siostry. Tęsknię za jej wiecznym uśmiechem i wciąż nowymi planami na przyszłość. Mam nadzieję, że zrealizuje je wszystkie.

Zamyślona wrzucam do torby ręcznik i wkładam kostium. Nawet nie zerkam w lustro. Wiem, że letnia sukienka nie pasuje do moich zbyt ciężkich butów. Innych nie mam.

Niedzielne wyjazdy nad pobliską rzekę to dla większości jedna z nielicznych rozrywek. Dotąd nie miałam na nią ochoty. Odkąd w piwnicy domu, w którym mieszkamy, znalazłam dwa stare rowery i nikt, łącznie z Fräulein Bicker, nie miał nic przeciwko temu, abyśmy je pożyczały, wołałam jeździć do domu, dziękując w duchu Władcowi za lekcję, którą niegdyś od niego otrzymałam. Ale dziś jest za ciepło. Jadąc rowerem w czterdziestostopniowym upale, nie dowiozłabym masła, które zwykle zabieram. Wszystko by się zmarnowało.

Nawet krótka trasa, którą pokonujemy z Gerdą, daje nam w kość. Z ulgą zsiadamy z rowerów i zostawiamy je przy drodze. Schodzimy ze skarpy wprost na skrawek piaszczystego brzegu. Znam wszystkich, którzy tu przyszli. Plaża nie jest oznaczona, ale nie ma żadnego zakazu wstępu, jednak poza pracownikami urzędu nie ma tu nikogo. Nie jestem zaskoczona widokiem Lanxa. Gerda nie wie, że wczoraj, kończąc pracę, pytał, czy przyjdę nad rzekę. Nie wie, co mu odpowiedziałam.

Stoi oparty o łazik. A teraz, gdy mnie widzi, unosi rękę i się uśmiecha.

Czuję pytający wzrok Gerdy na plecach. I chcę zawrócić.

Zamiast tego zaczynam zbiegać ze skarpy. Mijam Lanxa i zatrzymuję się dopiero przy rzędzie leżaków, na których opalają się moje koleżanki. Zrzucam buty i sukienkę. Szybko, zanim zacznę myśleć.

Siadam na rozłożonym przez Gerdę kocu i usiłuję skupić się na rozmowie z dziewczynami.

– Uśmiechnijcie się ładnie. – Nawet nie zauważam, kiedy pojawia się Wilhelm, celując w nas aparatem. – Dziewczyny, tworzymy własną kronikę. Pokażcie nogi, osłódźcie choć trochę tę wojnę.

Odwracam głowę, ale jest za późno, aby się schować. Pstryknięcie aparatu. Zdjęcie gotowe.

Mam niewiele fotografii. Najładniejsza jest komunijna, którą robiliśmy w atelier. Ojca stać było tylko na jedną, ale i tak czułam się wtedy jak księżniczka. W szufladzie byfyju leży też kilka ślubnych zdjęć, robionych przed kościołem i na placu naszego domu. Jest jedno z Trudi i jedno z Władkiem, gdy siedzimy na progu. A teraz to zdjęcie – w moim nowym kostiumie. Zastanawiam się, co powie Władek, jeśli je kiedyś zobaczy.

– Zagramy w badmintona? – Gerda pochyła się nade mną, zasłaniając słońce.

Kiwam głową, i tak mam już dosyć bezczynnego wylegiwania się.

Choć nigdy nie grałam w tę dziwną grę, przywieziona przez żołnierzy wracających na przepustki z Francji, nie wydaje mi się, aby wymachiwanie raketką było czymś szczególnie trudnym.

Mam rację. Wygrywam z Gerdą. Raz za razem. Czyżbym odkryła w sobie talent?

Nigdy nie lubiłam zajęć sportowych. W szkole dzieci śmiały się z moich chudych nóg i mojej niezdarności. Teraz podskakuję wysoko do lotki, biegam w tył, w przód, wyciągam rękę, odbieram nawet najsilniejsze uderzenia Gerdy. Z każdą minutą gry czuję w sobie więcej energii. Zapominam o zbyt szczupłych nogach, o kostiumie, który matka wyzwałaby od nieprzyzwoitych, i potarganych włosach, które nie przystoją mężatce. Dobrze się bawię.

– Sophie, już nie gramy. – Gerda jęczy i po raz setny schyla się po lotkę.

Chciałabym jeszcze. Czuję w skroniach łomot serca. Ostatnio, jeśli tak szybko uderza, to wyłącznie ze strachu. Przyjemna odmiana.

– A ze mną pani zagra? – Lanx podnosi rzuconą przez Gerdę raketę.

– A panu wypada grać w badmintona? – Nie mam pojęcia, skąd bierze się moja uszczypliwość. Może z pewności, że się za to nie pogniewa.

Lanx nie daje mi taryfy ulgowej, biegam jak szalona, upadam na trawę, ale się nie poddaję. W końcu jednak pozwalam mu wygrać, myślę, że tak wypada.

Jestem zmęczona. Teraz dopiero czuję, jak wyczerpała mnie ta zabawa. Nie mam za grosz kondycji. Oblizuję wargi. Straszliwie chce mi się pić. Patrzę, jak Elza z działu rachunkowego sięga do torby zawieszanej na oparciu leżaka i wyciąga butelkę z wodą. Nalewa do kubeczka i pije. Nie mam śmiałości prosić, aby i mnie dała choć kilka łyków. Dlaczego nie pomyślałam, aby zabrać coś do picia! Rozglądam się za Gerdą, ale ona jak zwykle gdzieś zniknęła.

Pieką mnie ramiona. Wkładam więc sukienkę i odchodzę kawałek. Kucam nad brzegiem rzeki, nabieram wody w dłonie. Jest przyjemnie chłodna. Udając, że przemywam twarz, piję łąpczywie.

– Nie pij tego, brzuch cię rozboli.

Boże, on jest jak cień.

– Niech się pan o mnie nie martwi, mam mocny żołądek.

– Martwię się tylko o to, że nie przyjdiesz jutro do pracy, a mam sporo listów do podyktowania, a poza tym od kiedy mówisz do mnie „pan”?

– Nie przeszkadzało to panu, gdy graliśmy.

Lanx marszczy brwi. Łapie mnie za przedramię.

– Chodź, przejdziemy się kawałek.

Odsuwam się, ale nie odrzucam propozycji spaceru.

Idziemy wzdłuż brzegu. Ponad skarpą, z której zbiegałam, ciągnie się droga. Co jakiś czas przejeżdża nią samochód, fura bądź rowerzysta. Przez to dodatkowe towarzystwo spacer z Lanxem wydaje mi się mniej nieprzyzwoity.

Eryk wchodzi do wody, jest bez butów, a jasne lniane spodnie ma podwinięte do połowy łydek. Schyla się po kamień. Rzuca nim jak najdalej, puszczając kaczki.

– Tam, gdzie mieszkam, woda o tej porze roku jest jeszcze lodowata. Nie da się wejść.

– A gdzie mieszkasz?

– W Bawarii. Wiesz, gdzie to jest?

Potakuję, choć nie mam bladego pojęcia.

– To w Alpach – Lanx ciągnie, patrząc gdzieś przed siebie. – Mieszkam w małym miasteczku u podnóża gór.

Zatrzymuję się. Nie potrafię ukryć podekscytowania.

– Co? – Lanx patrzy na mnie z uśmiechem. – Co cię tak rozgorączkowało?

– Chciałabym zobaczyć kiedyś góry.

– Nie byłaś nigdy w górach?

Kręcę głową.

– Mamy blisko, możemy pojechać.

Eryk się uśmiecha, a ja próbuję zignorować jego propozycję.

– Opowiedz, jak tam jest.

Lanx wychodzi z wody. Zbiera myśli. Znam już te jego ściągnięte brwi. Gdy zastanawia się nad fragmentem tekstu, który ma mi podyktować, robi tak samo.

– Moja mama jest malarką – zaczyna. – Maluje pejzaże. Bawaria kojarzy mi się z jej obrazami. Śnieg schodzący z gór. Oczka jezior. Naprawdę sielankowo. – Śmieje się, a mnie stają przed oczyma moje familoki. Czerwona cegła i schody pobrudzone węglem.

– Trzeba było tam zostać – mówię.

Zapominając, że przez ostatnie lata mamy niewielki wpływ na to, gdzie porwie nas wojna.

– Nie chciałem przez resztę życia pisać o nowych rasach bydła dla lokalnej gazety.

– Pisałeś dla gazety? – pytam zaskoczona tym zbiegiem okoliczności.

– Pisałem doktorat z socjologii, praca w gazecie pozwoliła mi obserwować ludzi.

– Mój mąż jest drukarzem. – Czuję, że w końcu powinnam wspomnieć o Władku.

– Wiem.

– Dlaczego zapisałeś się do NSDAP?

Lanx się zatrzymuje.

– Odważne pytanie. Odpowiedź powinna być oczywista.

Wzruszam ramionami, chce mnie nastraszyć, ale ja czuję się bezpiecznie.

– Ojciec był naczelnikiem w naszym powiecie. Moje członkostwo było więc oczywiste. – Odpowiedź Lanxa jest zaskakująco szczerą.

– Zaszedłeś wysoko.

– Wcale nie. Mało kto chciał jechać do Polski. Wszyscy uważają, że to fatalne miejsce pracy. Wierz mi, wolałbym nadal pisać doktorat i pracować w Berlinie na uniwersytecie.

– Powinieneś się cieszyć, że nie jesteś na froncie.

– Kuternogów na razie nie biorą. Zauważyłaś, prawda?

Zaciska dłoń powyżej kolana lewej nogi.

Odwracam wzrok. Wiem, jak bardzo starał się ukrywać ułomność.

– Jechałem z żoną i synkiem do teściów na przyjęcie imieninowe. Mijał nas wóz z mlekiem. Konie poniosły, wpadły prosto na nas. Straciłem panowanie nad samochodem, stoczyliśmy się ze zbocza. Zginęli oboje. I syn, i żona.

Jestem wstrząśnięta. Nie tyle samą historią, ile otwartością Lanxa.

Nie wiem, dlaczego mi o tym powiedział. Czego oczekuje.

– Przykro mi.

Eryk kiwa głową.

– Widziałaś drukarnię na ryneczku? – zmienia temat.

Przytakuję. Staję przy niej za każdym razem, gdy przechodzę obok. Jest zamknięta. Na szyldzie widnieje żydowskie nazwisko. Pewnie rodzina, do której należała, uciekła z miasta jeszcze przed rozpoczęciem wojny. Odrzucam myśl, że ich los mógł być gorszy. Przez szybę widzę przykryty białą płachtą linotyp. Jestem pewna, że Władek uruchomiłby go w kilka minut.

– Napisz mężowi, że po wojnie dostaniecie tę drukarnię. Jeśli przeżyje – dodaje z ironią w głosie.

Patrzę na niego zaskoczona.

– Prezent od wujka z Bawarii – mówi i rusza w powrotnym kierunku.

– Poczekaj – proszę.

Nie reaguje.

– Lanx! Czego ty chcesz? – krzyczę, nie zważając na obecność innych plażowiczów. W odpowiedzi otrzymuję jedynie wzruszenie ramion.

Kochana Zosiu!

A więc stało się to, czego wszyscy tak bardzo się obawialiśmy.

Od kilku tygodni jestem żołnierzem Wehrmachtu, a raczej będę nim po odbyciu szkolenia.

Przyjechali po nas zupełnie niespodziewanie. Podczas porannego apelu kazano wystąpić wszystkim Ślązakom, a potem po kolei wzywano do jednego z baraków, zamienionego naprędce na punkt poborowy.

Wszystko przebiegło błyskawicznie. Gdy wszedłem, oficer, który siedział za stołem, kazał ściągnąć koszulę, obrócić się bokiem i tyłem, potem przerzucił kilka leżących przed nim kartek. W końcu zapytał po niemiecku, czy nie chorowałem na tyfus i czy nie mam wszy. Odpowiedziałem, że nie, ale że jestem Polakiem, więc nie mogę służyć w niemieckim wojsku.

Oficer spojrzął na mnie i zupełnie spokojnie odpowiedział, że ma w dupie to, kim się czuję. Że urodziłem się na Śląsku i mam żonę Niemkę, więc dla niego jestem rodowitym Niemcem. Dodał, że na froncie francuskim dowodził żołnierzami z Górnego Śląska i jego zdaniem są to najlepsi żołnierze, a takich Rzesza teraz potrzebuje.

To był koniec rozmowy. Wyprowadzono mnie, wezwano kolejnego, a dwa dni później byłem już w naszej (Boże, ich!) jednostce.

Co gorsza, chcąc być uczciwym, muszę Ci powiedzieć, Zosiu, że nie traktują nas tu źle. W naszej kompanii jest 120 żołnierzy, w tym 14 Ślązaków i 5 Czechów. Panuje ostra dyscyplina. W razie jakiegokolwiek nieporządku każą nam biec w masce gazowej całą drogę na pole ćwiczeń, czyli jakieś piętnaście kilometrów, swoim nie dają żadnej taryfy ulgowej.

Niektórzy prawie w ogóle nie mówią po niemiecku. Pomagamy im, bo za polskie słowa najłatwiej dostać po pysku.

Wyobraź sobie, że uczą nas tu nawet, jak pastować buty. Siadamy na dworze na długiej ławie, jeden obok drugiego, i pastujemy. Potem oficer sprawdza, czy może się w nich przejrzeć.

Wczoraj dostałem dwa mundury w zupełnie dobrym stanie. Podobno, gdy je rozdają, zbliża się termin odjazdu. Czekamy i modlimy się, aby nie wysłali nas na Wschód.

Kochanie, przed wyjazdem na front mam dostać przepustkę na podpisanie volkslisty, to okazja, aby się zobaczyć.

Wciąż o tym myślę.

Tęsknię bardzo. Za każdym Twoim piegiem osobno.

Władek

Październik 1941

Marzną, skostniałe ręce z trudem utrzymują ciężar roweru. Wczorajszy deszcz i nocny przymrozek sprawiły, że polna droga zmieniła się w błotnistą maź, w której grzęzną mi buty. Nie sposób jechać. Torba przewieszona przez rączkę kierownicy buja się i uderza mnie po kolanach. Jestem zmęczona. Przede mną jeszcze kilka ładnych kilometrów.

To już ostatni raz przed zimą. Gdy spadnie śnieg, jazda na rowerze do domu nie będzie możliwa. Czasem ktoś jeździ samochodem. Pan Schultz z pokoju 46 proponował już kilka razy, ale ja nie chcę. Nie wiem, o czym miałabym z nim rozmawiać przez prawie dwie godziny przymusowej bliskości.

Mijam panewnicki las i wjeżdżam na znajomą ulicę. Choć do domu jeszcze daleko, zaczynam odczuwać dobrze mi już znany ucisk w żołądku. Zawsze gdy przyjeżdżam po kilku tygodniach nieobecności, czuję strach, dopóki nie przywitam się z matką, nie przytulę ojca i dzieci. Przecież tyle złych rzeczy mogło się zdarzyć.

Próbuję myśleć o tym, ile radości sprawi im wypełniona jedzeniem torba. Na samej górze, opakowana w biały papier, leży bombonierka. Dostałam ją kilka dni temu na urodziny od Lanxa. Oczywiście wiedział, choć przecież nikomu nie mówiłam, kiedy je obchodzę. Zresztą, czego innego mogłam się spodziewać. Rano, gdy weszłam do biura, na biurku leżały czekoladki i kwiaty. Lanxa nie było cały dzień. Usiłowałam być z tego zadowolona. Dopiero wieczorem, gdy wyciągałam bukiet z wazonu, zobaczyłam przypięty do jednej z łodyg karnecek.

Jedź do domu. Podpiszę Ci urlop.

W końcu wjeżdżam na ulicę, przy której mieszkam. Gdy mijam jeden ze sklepów, tuż obok naszego domu, przez wystawowe okno widzę, że w środku tłoczy się sporo ludzi. Może uda mi się coś kupić. Mam kartki, co z tego, jeśli brakuje towaru.

Opieram rower o ścianę, torby, które wiozę rodzicom, biorę ze sobą. Wiem, że jeśli zostaną tutaj, znikną, nim wrócę. Wchodzę do środka. Znam tu prawie wszystkich. Za ladą stoi córka właściciela, Elka. Chodziłam z nią do klasy. Była ulubienicą naszej wychowawczynie. Na każde wakacje wyjeżdżała do krewnych pod Berlin, jej ciotka miała tam ponoć duży sklep z konfekcją damską. Zaraz po rozpoczęciu nowego roku szkolnego nasza wychowawczynie kazała jej opowiadać, jak tam jest. Co podają w kawiarniach, czy latem nosi się parasolki czy kapelusze. Pamiętam, jak chłonęliśmy każde słowo. Te opowieści były dla nas niczym baśnie.

Gdy wojna stawała się nieunikniona, zapytałam ojca Elki, dlaczego nie wyjadą, przecież mają dokąd. Odpowiedział, że nie ma żadnego powodu, aby mieli opuszczać swój dom. On nie jest ani Niemcem, ani Polakiem. Jest Ślązakiem.

Elka unosi rękę na powitanie. Kiwa, żebym podeszła bliżej.

– Czego tu chcesz? Masz pełne torby żarcia – ktoś syczy mi prosto w ucho.

Odwracam się zaskoczona i prawie ocieram o zarośnięty męski policzek.

Wiem, że znam skądś mężczyznę, który teraz patrzy na mnie, ciskając iskry z oczu. Czuję odór przetrawionej wódki. Robię krok w tył. I wtedy poznaję, że to Janek, przyjaciel Władka. Przed wojną grali razem w Reducie. Wesoły chłopak, zawsze rzucał dowcipami jak z rękawa. Wszędzie było go pełno. Chodził z córką szewca. Byli taką ładną parą. Teraz stoi przede mną cień tamtego człowieka. Próbuję nie patrzeć na zawiązaną w węzeł nogawkę spodni, groteskowo zwieńczającą kikut nogi.

– Nie kupuję. Chciałam tylko zobaczyć, co jest – tłumaczę cicho.

Szybko wychodzę ze sklepu. Nie patrzę już na nikogo. W głowie mam tylko jedno pytanie: czyja kula tak go zraniła.

Przez całą drogę, jaka pozostała mi jeszcze do domu, nie potrafię myśleć o niczym innym, wciąż mam przed oczami twarz Janka. Zastanawiam się, czy taki sam los mógłby spotkać też mojego męża? Wiem dobrze, jaka jest odpowiedź. W bramie pachnie wilgocią, jak zwykle. Wciągam nosem zapach dzieciństwa. Uspokaja mnie. Znów jestem u siebie. Zsiadam z roweru. Jest południe, więc dzieci pewnie są w szkole, matka gotuje obiad, a ojciec... Dobrze wiem, gdzie go spotkam. Uważając, aby nie poślizgnąć się na mokrych liściach, których pełno na ścieżce, biegnę do kuźni. Zatrzymuję się w drzwiach. Ojciec stoi tyłem. Nie słyszy mnie.

– Tato – mówię niegłośno, aby go nie wystraszyć.

Odwraca się.

– Sophie! – Coś niepokojącego widzę w jego oczach. – Dziecko... – Podchodzi do mnie powoli. – Dwie godziny temu odprowadziliśmy Władka na pociąg. Pojechał na Wschód.

* * *

– Dlaczego nie napisał! – krzyczę, chodząc po pokoju. – Mógł wysłać telegram, że będzie.

– Mówił, że wysłał. – Ojciec próbuje mnie uspokoić.

Opadam ciężko na krzesło. Nie potrafię uwierzyć, że dwie godziny dzieliły mnie od ramion Władka. Od dotyku, uśmiechu, od słów, za którymi tęsknię. Czuję się wyczerpana. Nie mam już siły ani płakać, ani krzyżeć. Kładę głowę na stole. Błat chłodzi rozpalony policzek.

– To niesprawiedliwe – szepczę.

Wiem, że teraz nikt do mnie nie podejdzie. Matka uważa, że przesadzam, przecież nic takiego się nie stało. Wszyscy żyjemy. Ojciec boi się smutku swoich córek. Nigdy nie radził sobie z naszymi łzami.

Zbieram się więc w sobie, po raz kolejny sklejam nadzieję, roztrzaskaną na kawałki. Przecież muszę.

Biorę kostkę smalcu i kawałek sera.

– Idę do Zaleskiej – oznajmiam.

Jestem już na parterze, gdy słyszę kroki ojca.

– Poczekaj. – Wychyla się przez barierkę.

Schodzi powoli. Od ciągłego schylania się nad kowadłem ma zeszywniały kręgosłup.

– Zapytaj ją o listy od Władka – mówi, gdy zatrzymuje się obok mnie.

– Jakie listy? Nie ma żadnych listów!

Ojciec wzdycha.

– Powiedzcie – nalegam.

– Wczoraj od rana Zaleska latała po placu jak jakaś meluzyna^[40]. Wietrzyła, zamiatała, nawet prała na dworze w ten ziab. A potem przyjechał Władek.

– Ale przecież mówiła, że do niej też wiadomość nie doszła. Żadnego telegramu nie było.

– Mówiła, mówiła – ojciec rzuca zirytowany. – A mało to rzeczy ludzie mówią. Ile z tego jest prawdą?

– Nie zrobiłaby czegoś takiego.

Wzrusza ramionami.

– W świat niby pojechałaś, a mądrzejsza, Sophie, przez to nie jesteś. I jeszcze to masło dla niej niesiesz. Ona dobrego słowa o tobie nie mówi. Nie udała ci się, dziecko, teściowa.

Bezsilnie osuwam się na stopień schodów, ojciec z trudem siada obok. Oddycha niepokojąco ciężko.

Milczymy. Z nikim innym nie milczy mi się tak łatwo.

– On wróci, Sophie.

Kiwam głową. Co mam powiedzieć? Że chciałabym zasnąć i obudzić się po wojnie, aby już się nie bać, aby wiedzieć?

Kiedyś myślałam, że wojna to walka i bohaterowie. Nieprawda. Wojna to czekanie. Na kolejny dzień. Na kogoś, kto ma przeżyć i wrócić.

Zupełnie nie wiem skąd obok mnie pojawia się Szczęściarz, ociera się o moją łydkę, a potem wskakuje na kolana. Mruczy, gdy go głaszczę. Przynajmniej on jest zadowolony.

Marzec 1943

– Czuliście ten smród? Nie można było okna w nocy otworzyć.

Frau Rotenmeier, przełożona Gerdy, mija nas na korytarzu w wyraźnie złym nastroju. Ciemna spódnica do kolan, bluzka zapięta aż pod samą szyję, krótkie włosy i popękane usta. Nowa szefowa działu pomocy społecznej przyjechała dwa tygodnie temu z jakiejś małej wioski w głębi Niemiec. Jeszcze myśli, że awansowała, więc chodzi z dumnie podniesioną brodą. *Niemieckie kobiety w służbie ojczyzny* – głosi plakat, który powiesiła nad biurkiem.

Jest na tyle wcześnie, że możemy pozwolić sobie na kilka chwil plotek, ale Frau Rotenmeier ostentacyjnie trzyma otwarte drzwi, aby Gerda weszła do biura razem z nią.

To będzie ciężki dzień – myślę, wyraźnie widząc rozdrażnienie szefowej. Gerda też to wie. Odwraca twarz w moją stronę i przewraca oczami.

– To z Auschwitz – mówi, wciąż stojąc tyłem do szefowej. – Pałą zwłoki.

– Nie pleć bzdur. – Frau Rotenmeier podnosi głos. – Niby czyje zwłoki?

– Żydów. – Gerda odwraca się do niej i mówi hardo. Zdaje się nie zauważać, że wchodzi na śliski grunt. – Nie wie tego pani?

– Fräulein Witt! Zakazuję powtarzać takie kłamstwa. – Frau Rotenmeier czerwienieje, a broda zaczyna jej drgać nerwowo.

– W Auschwitz produkują nawozy, to z zakładów chemicznych tak cuchnie. Rozumiesz. Żydów przywożą tam do pracy.

Gerda kiwa głową, ale dobrze wiem, że robi to tylko po to, aby nie mieć kłopotów.

* * *

Plotki o obozie w Auschwitz i o jadących tam transportach są codziennością. Goniec z działu podatków mieszka tuż przy torach, które prowadzą z Mysłowic. Ostatnio podczas przerwy opowiadał nam o pociągu, który przez wiele godzin stał w szczerym polu bardzo blisko jego domu. Z pozamykanych, bydłących wagonów dochodziły głosy ludzi. Prosilili o wodę bądź coś do zjedzenia. SS nikomu nie pozwalało podchodzić, ale pod wieczór zażądali od dzieci kręcących się w pobliżu, aby przyniosły im wódki ze wsi. Gdy już byli solidnie wstawieni, kilku chłopców podkradło się pod pociąg.

Uwięzieni wewnątrz ludzie, Żydzi, pochodzili głównie z Francji, większość z nich mówiła dobrze po niemiecku. Pytali, dokąd jadą.

Gdy chłopcy odpowiadali, że do Auschwitz, najpierw nie chcieli uwierzyć. Krzyczeli, że to niemożliwe, że pociągi miały ich zabrać na Wschód. Że ich starszyzna pomagała w załatwieniu najlepszych warunków. Że dużo za to płacili.

Histeria była straszna.

Ponoć były tam też całkiem małe dzieci, niektóre już martwe. Ludzie miażdżyli się i dusili, stłoczeni po kilkadziesiąt osób w jednym wagonie. Brudne palce przeciskały się przez szczeliny, a w nich złote łańcuszki, obrączki, kolczyki. Nim chłopcy zdążyli cokolwiek wziąć, rzuciły się na nich wilczury spuszczone przez SS-manów. Uciekli, choć jednemu psy boleśnie pogryzły łydkę.

– Musieli wiedzieć, że to już ich ostatnia podróż – skończył opowiadanie goniec.

Wtedy ja też chciałam na niego krzyknąć, żeby przestał, że to kłamstwa. Nikt nie zabijałby cywilów tylko dlatego, że są Żydami.

Zaraz po przerwie poszłam do Eryka.

– Co robisz w Auschwitz? – zapytałam, wchodząc do jego gabinetu.

Przez chwilę patrzył na mnie zdziwiony.

– Co robisz z tymi z transportów? Pociągi wyjeżdżają pełne, a wracają puste. Po co im aż tylu?

– Do pracy – odpowiedział. A ja wiedziałam, że kłamie.

– Dzieci i starcy nie mogą pracować!

– A co oni cię obchodzą? – podniósł głos.

– To ludzie.

– To Żydzi. Nie ludzie – poprawił mnie.

Musiałam wyglądać na oburzoną jego słowami, bo wstał z krzesła i wskazał ręką na portret Hitlera wiszący za jego biurkiem.

– Chcesz z nim dyskutować?

Obszedł biurko dookoła i stanął tak blisko, że poczułam jego zapach. Mieszanek kamfory i mięty.

– Sprzeciwiłaś się, gdy w twoim mieście burzono synagogę? Czy wtedy też się tak buntowałaś? – zapytał. – Ojciec pozwoliłby ci pracować u Żyda?

Milczałam.

– Więc przestań zajmować sobie nimi główkę. Żydzi to przeszłość. – Uderzył ręką w blat biurka, jakby właśnie trafił natrętną muchę. – A teraz usiądź, Sophie, i zajmij się czymś istotnym. Trzeba rozdysonować racje żywności dla szpitala.

Rozmowa skończona. Zawsze ucinamy wszystko, co niewygodne.

Teraz też.

* * *

Gerda wchodzi do pokoju. A ja idę do biura. Pocieram dłońmi ramiona, próbuję zetrzeć z siebie smród, którym przesiąkłam nocą. Zapach śmierci jest słodki.

Maj 1943

I znów wiosna. Już od trzech lat jestem mężatką. Od trzech lat nie widziałam swojego męża. Dziś niedziela. Siedzimy z Gerdą na stacji i próbujemy spędzić jakoś wolny czas. Pijemy wino i na zmianę wznosimy toast za moją trzecią rocznicę ślubu. I za szczęście Wilhelma, który wczoraj pojechał na front. Nie tylko on. Na pszczyńskim dworcu żegnano wielu żołnierzy. Nawet orkiestra grała. Czy ktoś ją słyszał? Wszystko zagłuszała myśl krążąca nad głowami zgromadzonych. Ilu z tych chłopców jeszcze tu wróci?

Gerda jest przygnębiona, chyba jeszcze nigdy nie widziałam jej w tak złym nastroju. Nie potrafię znaleźć słów pocieszenia, zresztą nie byłyby szczere. Sama coraz częściej tracę nadzieję, że Władek wróci, że go jeszcze zobaczę. Czas wszystko zmienia. Wszystko zaciera. Już nie potrafię przypomnieć sobie jego twarzy. Nawet w domu, gdy wchodzę do naszego mieszkania, nie czuję zapachu drukarskiej farby, a myślałam, że nigdy się nie ulotni. Wywietrzałam, choć starałam się go zachować, szczelnie zamykając okna.

– Myślisz, że to jeszcze długo potrwa? – pyta Gerda i nalewa nam kolejny kieliszek.

W ciągu tych ostatnich lat nauczyłam się pić. Ściany już nie wirują po drugiej lampce. Nauczyłam się też palić – palę długie brązowe papierosy, które czasem można dostać w urzędowym bufecie, a częściej śmieci zawijane w gazetę. Alkohol pozwala nie myśleć, dym łagodzi głód. Czysto praktyczne zastosowanie.

– Myślę, że już nie ma znaczenia, jak długo – odpowiadam Gerdzie. – Dla nas to żadna różnica, czy rok czy pięć lat. I tak nic nie będzie takie, jak przed wojną.

Gerda gwałtownie zaprzecza. Chwyta mnie za rękę.

– Nie mów tak. Przecież nic takiego się nie stało. Szybko zapomnimy.

Od czasu rozmowy z Erykiem o Żydach wiem, że nie zapomnimy nigdy, ale postanawiam nie dzielić się już z nią tą wiedzą. Po co.

Gerda podchodzi do okna.

– Gdyby Władek nie wrócił, zostałabyś z Erykiem?

Milczę zupełnie zaskoczona. Czuję, jakby właśnie oskarżyła mnie o zdradę.

Uśmiecha się.

– Przecież widać jak na ciebie patrzy. Wiem, że próbujesz go ignorować, ale gdyby...

– Nie ma „gdyby” – przerywam. – Władek wróci!

Udaję stanowczość.

– A gdybyś nie była mężatką? – Gerda w irytujący sposób nie daje za wygraną.

– Jestem! I przestań już. Proszę!

– Czyli jednak. – Moja koleżanka uśmiecha się tryumfująco.

– Żadne „jednak”! – rozdrażniona prawie krzyczę. – Eryk to kolega z pracy. Tylko tyle.

Gerda przestaje się uśmiechać.

– Sophie, jest wojna. Możemy nie dożyć następnej wiosny. Nie wiem, czy warto wierzyć w jakies

ideały. Czy twój mąż w nie wierzy? Ja chcę żyć. Poznać jak najwięcej. Poczuć.

Podnosi do ust szklankę z winem, wypija prawie do dna i zaczyna tańczyć. Kręci się po pokoju, wychlapując to, co zostało na dnie.

– Przestań – wołam do niej, ale ona nie słucha. Wiruje coraz szybciej, a wraz z nią błękitna sukienka, która unosi się i ukazuje koronkę pończoch. – Ja przysięgałam przed Bogiem!

– A gdzie masz teraz tego Boga?

Gerda się zatrzymuje. Przez chwilę patrzy na mnie, ale jej oczy niczego nie widzą. Szklanka wina, którą nadal trzyma, pęka.

– Oni są w Rosji, Sophie. Ty wiesz, co sowieci robią z jeńcami? Słyszałaś?

Podchodzę do niej wbrew protestom. Obejmuję skulone ciało. Głaszczę i tulę tak długo, aż przestaje drżeć. Nieruchomiejemy. Straszne obrazy jak klatki filmu przesuwiają się nam przed oczami.

* * *

– Boli? – pytam, owijając kawałkiem bawełnianej szmatki skaleczoną dłoń Gerdy.

Wzrusza ramionami i nadal patrzy pustym wzrokiem przed siebie.

– Oni nie wrócą – powtarza chyba po raz setny, a mnie na dźwięk tych słów zaczyna boleć żołądek.

Nie wiem, jak długo może potrwać ta dziwna melancholia. Denerwuje mnie, przecież nie ona jedna została sama. Musi być dzielna, nie może pozwolić sobie na luksus poddania się. Zresztą, kim tak ważnym był dla niej Wilhelm? Przelotnym romansem w pracy. Kilkunastoma nocami. To ja jestem samotną mężatką, to ja mam prawo płakać, nie ona. Czuję złość. Mam żal do Gerdy za jej łzy, za to, że pozwala sobie na okazywanie uczuć. Ja nie mogę.

– Auć!

Gerda gwałtownie cofa rękę.

– Przepraszam – jąkam.

Patrzę, jak Gerda zębami próbuje odwiązać węzeł w przesiąkniętym krwią opatrunku.

– Zamyśliłam się – wyjaśniam spłoszona.

– Chyba nie chcę wiedzieć, o czym myślałaś. – Wyciąga dłoń w moją stronę. – Zrób to jeszcze raz, tylko teraz spokojnie, kochana. Ze zmiądzoną ręką trudno będzie mi pracować. Jak skończysz, gdzieś cię zabiorę.

Uśmiecha się, a ja oddycham z ulgą. Wróciła.

* * *

Jedziemy rowerami do lasu. Od ponad dwóch lat mieszkam w Pszczynie, a jeszcze nigdy nie zwiedzałam okolic. Zostawiamy za sobą rzekę i polanę, na której odbywał się kiedyś piknik. Przechodzą mnie dreszcze, gdy mijamy starą szopę. Wąska dróżka prowadzi nas w głąb lasu. Martwię się o rękę Gerdy. Chciałam przełożyć wycieczkę, ale ona się uparła, a ja nie byłam pewna, czy odmowa nie wywoła u niej kolejnego wybuchu.

Nie rozmawiamy wiele. Próbuję poukładać sobie jakoś to, co wydarzyło się na stacji. Dlaczego poczułam złość? Byłam zazdrosna o jej płacz? Przecież to niepoważne.

– Daleko jeszcze? – krzyczę do Gerdy, która jedzie kilka metrów przede mną, ale ona właśnie zatrzymuje się i zsiada z roweru.

– Musimy rowery schować w krzakach, żeby nikt nie znalazł – mówi, schodząc ze ścieżki.

Idę za nią. Las z każdym krokiem staje się gęstszy. Trudno jest prowadzić rower po miękkiej ściółce. Mnóstwo tu niskich krzewów, gałązek pełnych maleńkich kolców. Trzeba uważać, żeby coś nie przebiło opony.

– No już, tu zawsze chowaliśmy. – Gerda staje, ociera dłonią czoło, a potem wpycha rower w gęste zarośla.

– Chowaliście?

– Z Wilhelmem – odpowiada. – Twój wsuń obok i zasłoń tak, żeby nie było widać z drogi – wydaje komendy.

Postanawiam o nic już nie pytać. Siłuję się z moim pojazdem, próbując go przy okazji nie uszkodzić. Nie jest to proste. W pedały wplątują się gałązki. Co chwila muszę wyciągać je również spomiędzy szprych. Denerwuję się coraz bardziej, wszystko zaczyna mnie swędzieć, kłują wplątane w ubranie listki. Gerda patrzy litościwie. Mądrała. Ciekawe, po co mnie tu przyprowadziła.

Wreszcie kończę maskowanie roweru. Robię kilka kroków w tył.

– Jest dobrze? – pytam, postanawiając, że i tak nic już nie będę poprawiała.

Na szczęście przyjaciółka kiwa głową z uznaniem i bierze mnie za rękę.

– Chodź, musimy się pospieszyć, to jeszcze kawałek, a po ciemku trudno będzie znaleźć drogę powrotną.

Sama myśl o konieczności przedzierania się tędy w nocy napawa mnie strachem.

– Przecież tu mogą być partyzanci – szepczę.

Wzdycham, bo moje obawy i tak nie zmieniają faktu, że wchodzę coraz głębiej w las. I mogę liczyć jedynie na to, że Gerda nie postradała zmysłów.

Teraz, w świetle dnia, las jest piękny. Nawet ja muszę to przyznać. Wpatruję się w promienie słońca przenikające przez liście. Oddycham pełną piersią. Pachnie żywicą.

– To dzięcioł. – Gerda co chwila zaskakuje mnie znajomością ptasich głosów. Skąd je zna?

W końcu ściana drzew przed nami się przerzedza.

– Poczekaj tu na mnie. – Gerda przykłada palec do ust i lekko skulona zaczyna podchodzić bliżej ostatnich drzew. Widzę, jak staje za jednym z nich, a potem przez dłuższą chwilę się czemuś przygląda. Po chwili macha ręką, abym do niej podeszła. Uśmiecha się, czyli obserwacje wypadły pozytywnie.

Przebiegam kilka metrów i staję jak zamurowana. Przed sobą mam niewielką leśną polanę. Po jej przeciwnej stronie, tuż za granicą cienia rzucanego przez drzewa, stoi domek. Drewniana chatynka z gontowym dachem.

– Co to jest? – pytam zaskoczona. – Kto tu mieszka?

– Nikt. – Gerda śmiało wchodzi na polanę. – Chodź.

Zbliżamy się do drzwi. Są zamknięte na dużą kłódkę, ale Gerda uprzedza moje pytanie, wyciągając z kieszeni spódnicy kluczyk.

Leśna chatka to tylko jedna niewielka izba. Łóżko, stół, kilka półek. Na nich kubki, talerzyki. Pod

ścianą wiadro i miska. Na haku zawieszona mała ściereczka. To wszystko.

– Skąd taki dziwny zapach? – zadaję jedno z pytań, które błędzą mi teraz po głowie. Właściwie to najmniej istotne.

– To zioła – odpowiada Gerda, podchodząc do żeliwnego piecyka. Nie widziałam go wcześniej, był za moimi plecami. – Napijemy się kawy – stwierdza i z emaliowanym garnuszkiem wychodzi przed dom. Idę za nią.

Dopiero teraz widzę, że tuż obok płynie strumyk. Zastanawiam się, czy podczas deszczu nie podmywa domku. Może dlatego stoi pusty. Gerda nachyla się i zaczerpuje wody.

– Kiedyś mieszkała tutaj zielarka. Gdy Wilhelm mnie tu przyprowadził, wszędzie wisiały zioła, mówię ci, pachniało tak, że wewnątrz nie dało się wytrzymać. Oszalamiająco. Czuliśmy się wciąż pijani, więc spaliliśmy wszystko.

Wracam do chatki.

– Od jak dawna tu przyjeżdżacie?

Gerda zatrzymuje się w progu.

– Zabrał mnie tu kilka dni po naszym pierwszym spotkaniu – odpowiada. – Sophie, to było nasze miejsce bez wojny.

Światło zza jej pleców wpada do izby, wyostrajając linię sylwetki. W zarumienionych ciepłym policzkach i włosach splecionych w luźny warkocz wygląda pięknie. Patrzy na mnie przenikliwie, wiem, że zastanawia się, jak ją oceniam. Czy powiem, że nie powinna była przyjeżdżać tutaj z mężczyzną, którego znała zaledwie kilka dni. Nie mam prawa jej oceniać. Wciąż próbuję nie oceniać siebie.

Gerda najwidoczniej uspokojona moim milczeniem podchodzi do kozy, wkłada podpaloną gazetę w otwarte drzwiczki.

– Wilhelm znał tę kobietę jeszcze sprzed wojny. Ponoć pewnego dnia po prostu zniknęła. Szukali jej w lesie przez kilka dni. Bezskutecznie. Ludzie zaczęli opowiadać sobie historie o czarownicach, o uroku, który rzuciła na swój dom. Dlatego mało kto tu zaglądał, zresztą nie było tu czego szukać.

Siadam na krześle, które cicho skrzypi pod moim ciężarem. Chcę zapytać Gerdę, czy nie boi się, że ktoś zobaczy dym. Ale, szczerze mówiąc, zupełnie się tym nie martwię.

Przez kolejne kilkadziesiąt minut niewiele rozmawiamy. Obejmuję dłońmi emaliowany garnuszek z kawą. Patrzę, jak słońce dotyka czubków drzew, a potem znika, zostawiając za sobą czerwoną poświatę. Pozornie nieruchomy krajobraz zmienia się z każdą minutą.

Gerda krząta się po izbie. Dotyka przedmiotów, głaszcze je, niektóre wkłada do torby, którą zabrała z domu. Nie muszę pytać, dlaczego to robi.

Jest już prawie ciemno, gdy decydujemy się wracać. Przyświecam Gerdzie zapalką, aby mogła zamknąć kłódkę. Bez słowa podaje mi klucz. Wkładam go do kieszeni. Byłam pewna, że to zrobi, po to mnie tu dziś przyprowadziła. Nie protestuję.

Zosiu!

Tak dawno nie pisałem. Mógłbym wytłumaczyć się brakiem czasu i tym, że i tak większość listów nie dochodzi. To jednak nie do końca byłaby prawda. Zosiu, czy tylko ja czuję, że MY to już inny świat? I pisanie do siebie listów to tylko niepotrzebne naruszanie granicy między tym, co było, a tym, co jest teraz.

To wszystko za długo już trwa. Przystajemy być ludźmi zdolnymi do uczuć.

Czasem, gdy w nocy długo nie mogę zasnąć, myślę, jak będzie po wojnie. Czy dłońmi, które trzymały broń, które zabijały, będę mógł dotknąć Ciebie?

Kochana, nie jestem już w Rosji. Szczęśliwym trafem albo dzięki boskiej opatrności odesłano mnie do Francji.

Jestem w jej południowej części, zaraz nad morzem. Woda jest za zimna, aby się kąpać, ale prawie codziennie przychodzimy na plażę. Jak tylko zrobi się cieplej, poproszę o kilka dni urlopu. Rozłożę się na kocu i prześpię cały dzień. Tylko tego teraz bym chciał.

Wielu chłopców, którzy są tu ze mną, pochodzi ze Śląska. Między sobą mówimy po polsku. Przykro nam tylko, że ludzie patrzą na nas wciąż jak na okupantów. Nie rozumieją, że my, tak samo jak oni, jesteśmy w niewoli.

Wczoraj wysłano nas na zwiad do maleńkiej wsi, prawie zupełnie opustoszałej. Mieliśmy znaleźć broń ukrytą po domach.

Nie znaleźliśmy jej, ale za to natknęliśmy się na kilka piwnic po brzegi wypełnionych winem. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego. Kamienne ściany zamknięte łukami sklepienia. Drewniane półki, a na nich setki, tysiące butelek wina. Większość lepiła się od kurzu. Myślałem, że są zbyt stare, aby po nie sięgać, ale Niemcy właśnie te zaczęli otwierać.

Wino przy pierwszym łyku wydawało się zepsute, kwaśne i cierpkie. Ale potem w jakiś niezwykle sposób nabierało słodczy. W ustach czułem smak malin i śliwek. Zosiu, schowałem dla ciebie jedną butelkę, gdy wrócę, napijemy się francuskiego wina.

Mimo spokoju, jaki tu panuje, wciąż męczą mnie koszmary. Nie potrafię zapomnieć o tym, co widziałem w Rosji. Czego byłem świadkiem nad brzegami jeziora Ładoga w wielkim mieście, które kazano poświęcić dla idei ważniejszych niż życie człowieka.

Zosiu, teraz już wiem, że ludzie zdolni są do wszystkiego.

Krążą słuchy, że lada dzień mają nas przerzucić do Włoch. Może uda mi się pojechać do Watykanu, zobaczyć Kaplicę Sykstyńską.

Bóg z Tobą, moja Maleńka. Pamiętaj, wrócę!

Władek

Listopad 1943

– Jadłaś coś dzisiaj?

Eryk przestaje mi dyktować list, ale wciąż chodzi po pokoju. Od okna do szafy i z powrotem.

– Tak burczy ci w brzuchu, że nie potrafię się skupić – mówi ostro, stając w końcu tuż za mną. Wiem, że gdybym teraz się odwróciła, zobaczyłabym roześmiane oczy.

Jest mi głupio, przecież sama słyszę, jak kiszki grają mi marsza prawie bez ustanku.

– Jadłam – kłamię.

Eryk obchodzi biurko dookoła.

– Co ty wyprawiasz? Skóra i kości. Przystaniesz mi się podobać – mówi i pochyla się nad blatem.

Przyzwyczaiałam się już do takich słów. Nie oburzają mnie ani nie płoszą. Postawiliśmy sobie granicę i choć Eryk wciąż kręci się niebezpiecznie blisko, wiem, że jej nie przekroczy.

Wzruszam ramionami. Ma rację, ostatnio jeszcze bardziej ograniczyłam moją dzienną rację jedzenia. Czarna kawa i papieros na śniadanie. Zupa z chleba po powrocie z pracy, wieczorem ziemniak pocięty w talarki i usmażony na margarynie.

Całą resztę pakuję do paczek i zawożę do domu lub wysyłam, gdy nadarza się ku temu okazja. Mam kogo karmić. Gazety niemieckie uczą, jak zastępować produkty, których brakuje. Zalecają wykorzystywanie koniny i obierek z ziemniaków. W innych krajach to rarytas, a my głodujemy, bo jesteśmy wybredni.

– Nie jestem głodna – mówię, bezmyślnie skubiąc szlufkę przy spódnicy.

Eryk kiwa głową i odchodzi do swojego pokoju. Dobrze, że nie drażył tematu, nie ma pojęcia, jak trudno rozmawiać o jedzeniu, gdy w żołądku pusto.

Kończę list standardowym:

Mit vorzüglicher Hochachtung

Eryk Lanx

i wykręcam papier z wałka maszyny.

Zegar na ścianie wybija pierwszą. Dopiero. Jeszcze trzy godziny. Jestem zmęczona. Obiecuję sobie, że gdy tylko wrócę, pójdę spać. Nawet nie ściągnę sukienki. Po prostu rzucę się na łóżko i obudzę jutro.

Wszyscy mówią, że wojna niedługo się skończy. Obojętnie, do kogo będzie należało zwycięstwo, będę zadowolona, bo w końcu najem się do syta.

– Skończymy dziś wcześniej, będziesz mogła pójść coś zjeść. – Eryk zagląda przez uchylone drzwi. – Ale przyjdiesz do mnie wieczorem. Musimy posprawdzać statystyki za grudzień. Są jakieś błędy w obliczeniach.

Zamyka drzwi do swojego gabinetu, a ja wzdycham ciężko. Wstaję i próbując nie poddać się zawrotom głowy, ściągam z wieszaka płaszcz. A więc mój plan na dzisiejszy wieczór legł w gruzach. Teraz też się nie położę, bo jeśli zasnę, obudzę się nieprzytomna i nie będę w stanie należycie wykonywać poleceń, a błędy to jedyna rzecz, która jest w stanie doprowadzić Eryka do pasji. Jeśli chodzi o pracę, jest niezwykle zasadniczy.

Ostatnio wieczory u Eryka powtarzają się coraz częściej. Sprawdzam, czy dokumenty są kompletne, poprawiam wyliczenia według jego wskazówek, a potem wszystko pakujemy w czarne pudła.

Pierwszego wieczoru spytałam, co robi i dlaczego nie możemy zająć się tym w biurze, ale on tylko burknął coś nerwowo. Nie zadaję już więcej pytań.

Za każdym razem, gdy wracam na stację, Gerda patrzy na mnie podejrzliwie. Wiem, o czym myśli. I jestem pewna, że Erykowi właśnie o to chodzi.

* * *

Biegnę. Pochylną głowę schowałam w ramionach. Leje jak z cebra, a ja nie mam parasola.

Jeszcze latem sprzedawałam go dziewczynie z bufetu. W zamian dostałam trochę kawy i mleko. Czarny rynek kwitnie także u nas. Ten parasol kupiłam sobie przed wojną. Teraz wszystko tak jest liczone – albo coś działa się przed wojną, albo już podczas wojny, nikt nie używa innej miary czasu. Parasol leżał na wystawie sklepu tekstylnego naprzeciwko jadłodajni, w której pracowałam z Trudą. Wiele tygodni codziennie oglądałam go przez szybę. Gdyby nie Trudi, nie zdecydowałabym się na takie marnotrawstwo pieniędzy. To ona wręcz wymusiła na mnie ten zakup. Oczywiście najpierw żałowałam, a potem chodziłam z nim codziennie, nawet gdy na niebie nie było ani jednej chmury. Był ze mną tyle lat, a teraz okazał się wart paczkę kawy. Nawet nie czułam żalu, gdy go oddawałam. Wojna wszystko przewartościowuje.

Gdy dobiegam do kamienicy, w której mieszka Eryk, jestem przemoknięta do suchej nitki. W sieni nie świeci się światło. Wyłącznik nie reaguje, wchodzę więc po ciemku. Na szczęście bez problemu trafiam pod właściwe drzwi. Pukam.

Słyszę kroki, a potem jakiś hałas i cicho rzucone przekleństwo. Uśmiecham się pod nosem.

– Znów nie ma prądu. – Lanx otwiera mi drzwi. Ma w ręce lampę naftową. Tuż za nim dostrzegam przewrócony taboret.

– To może przyjdę innym razem? – pytam. Wciąż stoję na korytarzu. – Po ciemku nic nie zrobimy.

Lanx łapie mnie za nadgarstek i wciąga do środka.

– Zrobimy – mówi. – Musimy, jest mało czasu.

Znów mam ochotę zapytać, gdzie się spieszy, ale w końcu – co mnie to obchodzi.

Mieszkanie Lanxa różni się od naszego jednym szczegółem – stąd nie wynieśli sprzętów, które świadczą o zamożności byłych właścicieli. W salonie, do którego wchodzimy, stoi okrągły dębowy stół, a przy nim krzesła o pięknie wygiętych nogach. Przy ścianie komoda z kompletem porcelanowych filiżanek i spodeczków, a tuż pod oknem biurko, przy którym zawsze siadam.

Lanx wyciąga na stół kolejne teczki z dokumentami, coś czyta, wylicza, niektóre odkłada z powrotem, inne gniecie i rzuca na podłogę. Trafia do pieca. Co jakiś czas kładzie mi na biurko stosik z poleceniem *przepisz* lub *naniś poprawki*. Staram się nie czytać tego, nad czym pracuję. Wcale nie jest dobrze wiedzieć zbyt dużo. Zresztą nie sądzę, aby Lanx robił coś wbrew prawu. Mimo wszystko jest wierny swojej ojczyźnie. Moim zdaniem on już wie, jaki będzie wynik wojny, i przygotowuje się do tego.

Po godzinie stukania w maszynę przy słabym świetle lampy zaczynają mnie boleć oczy. Trę je, przerywając co chwila pisanie, ale literki i tak się rozmazują. Im bardziej próbuję skupić się na tekście, tym częściej robię błędy. Poza tym z zimna drętwieją mi palce. Wiem, że mam sine paznokcie, choć w półmroku trudno to dostrzec.

Przerywam, odwracam się z zamiarem poproszenia o chwilę przerwy i z zaskoczeniem stwierdzam, że Eryka nie ma w pokoju. Nie wiem, kiedy wyszedł.

Mimo że byłam tu już wiele razy, czuję się dziwnie w pustym pokoju. Okna zaciągnięte grubymi kotarami, migające światło naftowej lampy i chłód, który wręcz bije od wygasłego pieca. Lanx nigdy nie miał gospodyni, sam pilnował ognia w piecu i porządku w domu, ale o opał coraz trudniej. Piękny kaflowy piec w salonie coraz częściej stoi bezużyteczny.

Podchodzę do stołu, na którym piętrzą się stosy dokumentów.

Niedługo skończy się ten bałagan – myślę, przyglądając się papierom leżącym na stole. Niedługo będę wstawiała o szóstej, aby zrobić Władkowi śniadanie do pracy, będę wybierała jarzyny na targu, gotowała eintopf na obiad, taki z młodą kalarepą i kawałkami mięsa. Niedługo...

– Eryk – wołam cicho, bo nagle ogarnia mnie dziwny, zupełnie irracjonalny strach.

Wbiegam do przedpokoju i wpadam wprost na Lanxa.

– Poszedłem tylko po ręcznik, masz nadal włosy mokre od deszczu. Co się stało? – pyta zdezorientowany, musiał dostrzec mój niepokój.

Jakby na usprawiedliwienie wyciąga przed siebie rękę.

– Nie wiedziałam, gdzie jesteś – odpowiadam i odwracam się, żeby ukryć zmieszanie. Chcę wrócić do biurka, zacząć pisać i wymazać z głowy to, co przed chwilą się w niej pojawiło.

– Sophie! – Eryk obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie. – Czego się boisz?

Drętwieję. Przez dłuższą chwilę żadne z nas nie wykonuje najmniejszego ruchu. Czuję jego dłonie na mojej talii. Tyle razy ratowały mnie od upadku, podawały wodę, płaszcz, listy, otwierały przede mną drzwi. Czuję się bezpieczna, mimo że jest zimno, że jestem głodna, że nie wiem, co wydarzy się jutro. Dziś, teraz jest mi dobrze. Czuję strach przed tym, co będzie dalej. Bo przecież już ułożyłam sobie życie. Tutaj. Obojętnie jak nienormalne, jak dalekie od zasad, które we mnie wpojono. Przyzwyczyłam się, znam je. Zmiany napawają mnie przerażeniem.

– Boję się, że wojna się skończy – wyrzucam z siebie.

Eryk, jak gdyby obudzony wypowiedzianymi słowami, chwyta moje dłonie.

– Skończy się, a my ją przegramy – prawie krzyczy. Jego oczy płoną jak w gorączce. – Wyjedź ze mną, Sophie.

– Eryku, ja... – Z trudem łapię oddech.

– Jeszcze jest czas.

– Nie mogę.

Lanx kręci głową, wiem, że mnie nie słyszy.

– Wszystko zorganizuję. Uciekniemy gdzieś, gdzie nie będę niemieckim oficerem, a ty żoną Polaka. Sophie, nikomu nie zrobiliśmy nic złego. To tylko przypadek, że tu jesteśmy, że tak się stało. Mamy czyste sumienie. Będziemy spokojnie żyli.

Jedna myśl. Chwila, z którą ja będę żyła, która zmieniła wszystko.

– Nie mogę! – Wyrывam się z objęć Eryka i uciekam.

Marzec 1944

Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami. Dużo w tym prawdy. Byłam pewna, że wcześniej czy później Bóg pokarze mnie za to, co się wydarzyło u Eryka. Nie musiałam czekać długo.

Jadę do domu. Siedzę w pociągu po brzegi wypełnionym ludźmi. Dziś wyjątkowo pozwoliłam sobie na luksus podróżowania koleją. Trudno jednak odczuwać jakąkolwiek radość z podróży, wioząc ze sobą list z gestapo – wezwanie do natychmiastowego stawienia się.

Wczoraj rano, gdy tylko przyszedłam do biura, Eryk otworzył drzwi i poprosił, abym do niego weszła.

– Usiądź – jego głos brzmiał surowo, ale kryło się w nim coś jeszcze.

Posłuchałam, a on przesunął w moją stronę list.

– Dostałaś wezwanie na gestapo, musisz jechać do Katowic.

Zakręciło mi się w głowie i pewnie zbladłam, bo Lanx podsunął mi szklanę wody.

Począł, aż wypiję i trochę ochłonę.

– Nie wiem, o co chodzi – przyznał. – Przykro mi, ale tym razem nie będę mógł ci pomóc.

Z kopertą w ręku wyszłam z pokoju Lanxa, a potem z urzędu.

Zupełnie nie pamiętam, jak doszłam do dworca, kupiłam bilet i wróciłam na stację, aby się spakować.

Pociąg strasznie się wlecze. Z każdym przejechanym kilometrem robię się coraz bardziej nerwowa. Teraz już nie boję się tego, co czeka mnie na gestapo. Co będzie, jeśli w ogóle tam nie dotrę?

Zerkam na zegarek, wskazówki pędzą jak oszalałe, a my stoimy. Albo w szczerym polu, albo na małych stacyjkach, na których nikt nie wsiada ani nie wysiada.

– Niech się pani nie denerwuje, i tak nic nie można poradzić.

Starsza kobieta w kraciastej chustce na głowie próbuje mnie zagadywać.

Nie mam ochoty na rozmowy.

Znów spoglądam na zegarek. Wiem, że będę musiała wysiąść w Katowicach i pójść prosto z dworca. Nie dowiem się nawet, co w domu. Czy wiedzą, dlaczego mnie wezwali?

– Jadę do syna. Pracuje w zakładach chemicznych. Jest tam potrzebny, dlatego nie wzięli go na front.

Kobieta ma przeoraną zmarszczkami twarz i głęboko osadzone oczy. Zapadnięte głodem, chorobą albo zmartwieniem.

– Wojna niedługo się skończy – ciągnie. – Wrócę na wieś. Męża rozstrzelali w czterdziestym pierwszym. Nie chciał młockarni oddać i żaren. Głupi baran z niego był. Niemcom się sprzeciwiać. Dobrze, że Alojza już wcześniej zabrali, bobym teraz sama jak ten palec została.

Kiwam głową, ale nie czuję współczucia. Ona dobrze to wie. Spowszedniały takie historie.

Nie chcę ciągnąć rozmowy, więc zamykam oczy i udaję, że śpię. Po chwili jednak nie wytrzymuję i znów spoglądam na zegarek. Jezu, jak długo jeszcze.

Im bliżej Katowice, tym w pociągu większy tłok. Ktoś wepchnął mi walizkę na kolana. Przynajmniej mogę siedzieć bez wyrzutów sumienia, że nie ustępuję miejsca starszym.

Do Katowic przyjeżdżamy z trzygodzinnym opóźnieniem. Dwadzieścia minut. Tyle zostało mi do

wyznaczonej na wezwaniu godziny, a ja nie wiem, jak daleko od dworca jest ulica, na którą mam pójść. Przepycham się do drzwi. Tłok. Nie potrafię zrobić kroku. Ktoś krzyczy, że Niemcy blokują wyjścia. Szukają kogoś. Depczę po stopach, rozpycham się łokciami. Muszę jakoś wysiąść. Dobrze, że za cały mój bagaż służy jedynie przerzucona przez ramię torba. Inaczej nie miałabym szans się przepchnąć.

– Jezu, zadusicie mnie! – jęczy kobiecina, z którą rozmawiałam. – Wszystko potłukę. Dla synka wiozę.

Oglądam się za siebie. Widzę, jak próbuje unieść wyżej wiklinowy koszyk, ale traci równowagę i już jajka i powidła brudzą buty i pończochy. Połykając łyzy i wzywając wszystkich świętych, próbuje się schylić, zebrać choć część, ale nie daje rady, więc prostuje się bezradna. Wyciąga ku mnie rękę z niemą prośbą o pomoc.

Ale przecież ja nie mogę. Nie mam czasu. Zresztą, jak mam jej pomóc?

Odwracam głowę i płynę do wyjścia. Poddaję się naporowi tłumu.

Pociąg rzeczywiście obstawiony jest przez policję. Kontrolują przepustki i dokumenty.

Sama bez problemu przechodzę przez kontrolę. SS--man, który przegląda moje papiery, dłużej zatrzymuje się przy wezwaniu. Uśmiech, którym mnie obdarza, mrozi serce.

Uczucie zimna już mnie nie opuszcza. A dziś taki ładny dzień. Słoneczny i skrzący śniegiem. Zima w najpiękniejszej postaci. Mimo wojny ulice wciąż tętnią życiem.

* * *

Powinam być już oswojona z pokojem przesłuchań i pozorną uprzejmością śledczego. Powinam czuć choć odrobinę mniejszy strach. W końcu mam już jakieś doświadczenie.

Jest odwrotnie. Gdy na rozkaz siadam na drewnianym krześle, nie potrafię opanować drżenia rąk. Boli mnie brzuch, mam mdłości. A prozaiczna świadomość, że nie mogę poprosić o możliwość skorzystania z toalety, sprawia, że jest jeszcze gorzej.

Siedzę z pochyloną nisko głową. Kulę się w sobie. Czeka na wyrok.

Tak jak w Pszczyńcu, przesłuchujący mnie oficer przez dłuższą chwilę przegląda moje akta. Już wiem, że to celowe działanie. Oczekiwanie i cisza są nie do zniesienia.

– *Wo ist Ihr Mann*[41]?

Głos przeszywa powietrze tak niespodziewanie, że aż podskakuję na krześle.

– *Ich weiß nicht*[42] – odpowiadam. – *Ich weiß nicht*.

– Twój mąż zaginął we Włoszech.

– Zaginął? – Po raz pierwszy podnoszę wzrok na przesłuchującego.

– *Dumme Schlampe*[43]! To oczywiste, że zdezerterował. Jesteś żoną zdrajcy. Sama zdradziłaś własny naród. Gdzie on jest?! Wiesz?

Potrząsam przecząco głową.

– Mów!

Oficer pochyła się i krzyczy mi prosto w twarz. Czuję na policzkach krople jego śliny. Wdycham smród potu ukryty pod intensywnym zapachem wody toaletowej. Przez zaciśnięte gardło nie chcą przedostać się żadne dźwięki, za to w głowie pulsują tysiące myśli. Gdzie jest Władek? Czy żyje? Co zrobią ze mną? Wsadzą do aresztu, wywiozą do obozu? Zapadam się w obrazach, które pędzą mi przed

oczami. Nie słyszę krzyków i kolejnych pytań.

– Rozwiedziesz się z nim! Inaczej oboje będziecie wisieć!

To śmieszne, ale zamiast mdleć z przerażenia, czuję, że nagle niknie gdzieś cały strach. Jak śmie mówić coś takiego! Jak śmie podwahać przysięgę wypowiedaną przed Bogiem!

– To mój mąż – mówię i prostuję się na krześle. – Nie ma pan prawa!

Policzek, który otrzymuję, nie boli. To dziwne, bo uderzenie zrzuca mnie z krzesła. Podnoszę się szybko i czekam na kolejny cios.

– Gdy go znajdziemy, a ty nadal będziesz jego żoną, osobiście powieszę was oboje na rynku.

Twarz oficera nie wyraża już żadnych emocji. Błękitne oczy pozostają skute lodem.

– *Raus!* – wrzeszczy.

Wychodzę i wymiotuję do kosza na śmieci.

* * *

Ojciec czeka na przystanku. Musiał tkwić tu od wielu godzin, przecież nie miał pojęcia, o której przyjadę. Nie mógł nawet wiedzieć, czy w ogóle dziś się pojawię, czy zobaczy jeszcze swoją córkę.

Rzucam mu się w ramiona. Czuję, jak bardzo zeszywniał z zimna. Obejmuje mnie i gładzi po włosach, tak jak jeszcze nigdy.

– Wszystko będzie dobrze, Sophie. To się skończy, zobaczysz. Nie znajdą go.

A więc już wiedzą.

Odsuwam się na krok. Ojciec kiwa głową.

– Wczoraj przyszli do Zaleskiej. Przeszukali mieszkanie, byli na strychu i w chlewikach. Ale jej nie zabrali.

– Nie ma go tutaj? – pytam szeptem, żegnając się z resztkami nadziei.

– Nie. Ale to dobrze. Tu zaraz by go mieli.

* * *

Pierwsze, co uderza mnie po wejściu do kuchni, to cisza. Zupełnie nienaturalna. Matka, teściowa, Helenka i Antek. Wszyscy siedzą na ławie pod oknem. Ojciec bierze ode mnie torbę, a ja stoję i wpatruję się w rozszerzone strachem i ciekawością oczy moich najbliższych.

Dwie stare kobiety. Z rękami spoczywającymi na bitych fartuchach. Splecionymi jak do modlitwy. Helenka, która w ciągu tych kilku lat z dziecka zdążyła zmienić się w dorosłą kobietę. Której nikt, żadne „po”, żadne „już niedługo”, nie odda skradzionego dzieciństwa.

I Antek, mój Antoś. W którego błękitne oczy nie potrafię dziś spojrzeć.

Nie podchodzę do nich. Pokrótce opowiadam, co wydarzyło się na gestapo.

Teściowa pierwsza wstaje i podchodzi do mnie. Zmusza innych do wyrwania się z tej krótkotrwałej przerwy w toczącej się wojnie, a może w życiu. Czuję ciężar dłoni opierających się o moje ramiona. Mimo głodu i setek trosk Zaleska nie zgubiła kilkudziesięciu kilogramów, które zawsze miała w zapasie.

– On żyje. Musisz to czuć. Jesteś dobrą żoną – mówi, a ja na jej słowa, tak niespodziewane, te, których nigdy nie miałam usłyszeć z ust teściowej, wybucham płaczem. Choć przecież obiecałam sobie,

że już nigdy, nigdy więcej.

Zaleska klepie mnie po ramieniu.

– Nie rycz, nie ma o co – mówi grubym głosem, pozbawionym jakiegokolwiek nuty współczucia i tkliwości. Głosem, w którym w końcu odnajduję coś znajomego.

* * *

Prosto z dworca biegnę do mieszkania Lanxa; jest niedziela, wiem, że będzie w domu. Po dwóch dniach, spędzonych wśród przedmiotów i miejsc. Nasycona wspomnieniem Władka, biegnę do mężczyzny, z którym nic nie powinno mnie łączyć, i nie potrafię zawrócić. Wmawiam sobie, że jest moją jedyną szansą. Tylko on może pomóc mi odnaleźć męża i dowiedzieć się, czy żyje.

Eryk otwiera drzwi, zanim zaczynam w nie pukać. Nie zastanawiam się, skąd wie. Bez słowa obejmuję go. W jego ramionach szukam zagubionej równowagi. Bliskiego mi świata, do którego wróciłam.

– Musisz mi pomóc – mówię, gdy czuję, jak otacza mnie kojącym ciepłem ramion.

Odsuwa się natychmiast. Tak jakby wiedział już, po co przyszłam.

– W czym? – pyta.

Próbuję nie słyszeć oschłości w jego głosie.

– Pomóż mi odnaleźć Władka – mówię szybko, zanim wyrzuty sumienia odbiorą mi głos. Przyszłam tu z misją i jedynym moim dążeniem musi być jej wypełnienie.

– Myślałem, że w innym celu wpadasz do mnie taka rozgrzana.

Puszczam aluzję mimo uszu, wiem, co kryje się za drwiną w głosie.

– Eryku, pomóż mi – proszę najłagodniej, jak potrafię.

Wydaje mi się, że burza, na którą się przygotowywałam, przeszła obok. Zaraz usiądziemy za stołem, zrobi mi gorącą herbatę i każe sobie wszystko opowiedzieć. Przecież, mimo tych kilku chwil, kilku zdarzeń, których być nie powinno, wciąż jesteśmy przyjaciółmi.

Czekam, aż złapie moją dłoń. Robi to, ale nie tak, jak tego oczekuję. Niespodziewanie uderzam plecami o ścianę, przygnieciona jego ciężarem. Mam na sobie gruby płaszcz, a mimo to czuję, jak ręce Eryka zaczynają wślizgiwać się pod sweter, bluzkę, zakończenia pończoch.

– Co ty robisz? Przestań! – Jestem tak zaskoczona, że nawet nie próbuję się wyrwać.

– Przecież też tego chcesz – szepcze niecierpliwie. – Tak naprawdę tylko po to tu przyszłaś.

Zaczynam się wyrywać.

– On się nie dowie – dyszy i próbuje przełamać mój opór.

Oczy zaczynają mi łzawić, więc zaciskam powieki, nie mogę się przy nim rozplakać.

– Ale ja będę wiedziała. – Głos drży mi niepokojąco.

Zastyga. Przez chwilę wpatruje się we mnie. Boję się tego spojrzenia, dzikiego, nieokiełznanego. A potem uderza dłonią tuż obok mojej twarzy.

– Nie muszę cię prosić – krzyczy, jego twarz ściąga gniew. – Mogę cię mieć tu i teraz, a ty nie będziesz mogła nikomu się poskarżyć. Mam dosyć twoich zabaw, Sophie.

Zagryzam wargi i obracam w bok głowę. Nie chcę na niego patrzeć.

Bezruch się przedłuża.

– Kim on jest? Kim? Polaczkiem przebranym w niemiecki mundur – cedzi przez zęby Eryk, gwałtownie odsuwając się ode mnie.

Robi mi się słabo. Nadal pamiętam, po co właściwie tu przyszłam.

– Wystarczy, że kiwnę palcem. Wystarczy jeden mój rozkaz i nie będzie po nim śladu. Jesteś zdana na moją łaskę i śmiesz mówić mi „nie”?

Wiem doskonale, że słowa Eryka nie są na wyrost.

Obracam głowę i patrzę mu prosto w oczy.

– Chcesz, żebym była z tobą ze strachu?

Czekam, aż z jego spojrzenia zniknie mgła. Chwile między kolejnymi uderzeniami serca są przerażająco ciche.

– Gdybyśmy spotkali się przed wojną, gdybyś nie była jego żoną...

– Byłabym z tobą.

Widzę, jak zaciśnięte w gniewie pięści się rozluźniają.

– Ale jestem jego żoną. Nie spotkaliśmy się wcześniej i nic już tego nie zmieni.

Nie czekam na reakcję Eryka. Odrywam się od ściany i zaczynam iść w stronę drzwi.

– Sophie.

Nie zatrzymuję się.

– Stój.

Wykonuję polecenie, ale się nie odwracam.

– Sprawdzę listy zabitych, ale możesz być pewna, że uciekł. Nie odnajdą go.

Wychodzę bez słowa.

Czasem słowo „dziękuję” jest ostatnim, które ktoś chciałby usłyszeć.

Zosiu, boję się o Was!

Codziennie modłę się, aby nic złego Was nie spotkało.

Niedługo po moim ostatnim liście do Ciebie przerzucono nas do Włoch. Alianci ostro atakowali. Niewiele pamiętam z dnia, w którym miało się skończyć moje życie.

Ogromny huk. Ziemia, która mnie przysypuje, a potem cisza i ciemność. Kompletna. Gdy się ocknąłem, z poranka zrobił się wieczór. Obok leżał przyjaciel przecięty na pół przez drzewo. Nie mogłem się ruszyć, więc leżałem spokojnie i czekałem na to, co wtedy wydawało mi się nieuniknione. Nawet nie bolało, Zosiu. Jak przez mgłę widzę literę P na ramieniu pochylających się nade mną żołnierzy. Polacy. Krzyczę do nich szczęśliwy, zapominając zupełnie, że mam na sobie niemiecki mundur. Omal mnie nie zastrzelili.

Dostałem się do niewoli. Było tam już wielu naszych. Straszne warunki. Głód. Gdy coś rzucili, ludzie tratowali się nawzajem, łamali sobie żebra, ręce.

Pewnego dnia przyjechał samochód. Oficer, który z niego wysiadł, zaczął do nas wołać, że możemy zgłaszać się do armii Andersa. Najpierw cisza. Baliśmy się. W końcu wokół nas Niemcy. Ale potem jeden po drugim żołnierze zaczęli podnosić ręce. Ja też.

Przewieźli nas do innego obozu. Stał tam barak, ogromnie długi. Musieliśmy się rozebrać do naga. Wykąpali nas, odwszawili, a po drugiej stronie czekały już mundury polskiej armii. Tak, Kochanie, przechodząc dwieście metrów, z Niemca znów stałem się Polakiem.

Nie wiem, Zosieńko, co jeszcze nas czeka. Jak długo potrwa rozłąka. Ale wraca we mnie nadzieja. Czekał na mnie. Proszę.

Władek

Lipiec 1944

Wiem, że spędzamy w Pszczynie ostatnie lato. Wojna się kończy. Teraz to nie pogłoski ani szerzenie defetyzmu. Nikt już nie boi się okazywać strachu przed niepewnym jutrem. Oczywiście kroniki wciąż dwoją się i troją, aby zagrać Niemców do walki, aby wmówić im rychłe zwycięstwo. Słowa zaprzeczają faktom tak bardzo, że stają się śmieszne.

Dziś zapędzili nas do kopania rowów. Nastroje są ponure, choć oczywiście dzień wolny od pracy dla niektórych wciąż wiąże się z możliwością zabawy. A więc pojawiają się poukrywane na taczkach z łopatami butelki wódki, słoik marynowanych grzybów. Dziewczyny podwijają bluzki, wystawiają twarze do słońca. Ktoś opowiada dowcip. Ktoś nuci piosenkę. Młodość ma swoje prawa, nawet teraz.

Eryk pojawia się co jakiś czas. Wchodzi do okopu, przerzuca kilka łopat dla podniesienia ogólnego morale i znów znika.

Nie potrafię przyzwycząić się do chłodu między nami. Choć przecież właśnie tego chciałam. Kilka dni po naszej ostatniej rozmowie przyniósł wiadomość, że mojego męża nie ma na listach zabitych, nie ma go też wśród jeńców wojennych.

Gdy zapytałam, co się z nami stanie, gdy go znajdą, zaśmiał się.

– Gestapo ma teraz poważniejsze problemy niż szukanie twojego Polaczka.

Więcej nie wracaliśmy do sprawy mojego męża, staram się wierzyć, że żyje, że wszystko z nim dobrze.

Ale jakaś część mnie wciąż wypatruje twarzy Lanxa i szuka choć cienia dawnego uśmiechu.

– Sophie, Sophie! – Odwracam się w kierunku nawołującego mnie głosu.

Zakrywam ręką oczy, aby nie oślepiało mnie słońce. Christopher, kolega z działu transportu, stoi na skraju okopu i pstryka zdjęcia.

– Jeszcze jedno! – woła. – Dziewczyny, zróbcie ładne minki, będzie pamiątka.

Uśmiecham się zupełnie bezmyślnie, w jednej ręce trzymam łopate, drugą obejmuję Gerdę. Jak musimy wyglądać? Para przyjaciółek, beztrąsko wierzących w III Rzeszę? Być może właśnie tak jest. Gdy absurd przekracza wszelkie granice, pozostaje już tylko spokój. Przecież i tak nic gorszego wydarzyć się nie może.

– Poczekaj, Chris, z tym aparatem, będzie jeszcze jedno zdjęcie.

Obracam się. Lanx kuca na skraju dziury, w której stoję. Wyciąga do mnie rękę. Nie waham się ani chwili, nie pozwalam sobie na ani jedną niebezpieczną myśl. Chwytam jego dłoń, a on pomaga mi wyjść.

– Tutaj, tutaj będzie dobrze.

Christopher biega wokół nas, a ja próbuję otrzepać spódnicę z ziemi. W końcu Eryk łapie mnie za łokieć, a gdy się prostuję, obejmuje w talii. Nie protestuję.

Ledwie słyszalny trzask migawki. Kolejne zdjęcie do albumu, który na zawsze pozostanie tylko w moich wspomnieniach.

– Dziękuję – mówię cicho, choć tak właściwie nie wiem komu i za co. Christopherowi za zdjęcie, Lanxowi za to, że chciał je zrobić? A może jednak za ten niezachmurzony blask w oczach, który ogrzewa bardziej niż lipcowe słońce.

Eryk zamienia kilka słów z Chrisem. Stoję obok. Czekam. Sama nie wiem na co, a potem wskakuję z powrotem do okopu, zamykam spojrzeniem usta dziewcząt, biorę łopatę i zaczynam przerwana pracę.

Widzę, jak Eryk odchodzi. Znów próbuje ukryć niesprawność nogi. Wiem, że Gerda zastanawia się teraz, dlaczego za nim nie pobiegnę, dlaczego po raz kolejny wszystko psuję.

A ja dobrze wiem, że po raz pierwszy niczego nie niszczę.

Z radia zaczynają płynąć skoczne rytmy wojskowego marsza. Śpiewam mimo woli razem z moimi przyjaciółmi o świecie, który niedługo przestanie istnieć.

Ein Heller und ein Batzen,

Die waren beide mein, ja mein

Der Heller ward zu Wasser,

Der Batzen ward zu Wein, ja Wein,

Der Heller ward zu Wasser,

Der Batzen ward zu Wein.

Gdy myślę o maszerujących żołnierzach, widzę Władka. Być może wraca do mnie – z podobną piosenką na ustach, choć śpiewaną w innym języku.

Wszystko stanęło na głowie. Poddaję się temu. Już nie walczę.

Styczeń 1945

Budzi mnie szczekanie psów. Jest jeszcze wcześnie, więc wiercę się na łóżku, próbując ponownie zasnąć, dopóki nie uświadamiam sobie, że to, co słyszę, to nie piskliwy jazgot bezpańskich kundli, ale wycie i ujadanie wilczurów.

Wstaję i podchodzę do okna. Przez zamrożone szyby trudno cokolwiek dostrzec. Chucham więc, żeby stopić lód.

Nim okrąg staje się dostatecznie duży, aby przyłożyć do niego oko, do pokoju wpada Gerda.

– Żydzi idą – krzyczy z progu.

Przez chwilę wyobrażam sobie po prostu kilku „szczęśliwców”, którym udało się uciec z obozu. Zaczynam się nawet zastanawiać, jak duża grupa tego dokonała, skoro spowodowała w Gerdzie takie emocje.

Przywykliśmy już do ucieczek. Choć mało którym udaje się dotrzeć do Pszczyny. A ci, którym Bóg łaskawie ofiarował tyle szczęścia, raczej nie wchodzi do centrum miasta.

– Ewakuują obóz. Pędzą ich do miasta.

Dopiero teraz staje się dla mnie jasne, skąd to szczekanie. Już kilka razy miałam okazję widzieć wilczury SS. Psy, których sam widok wywołuje paniczny strach. Psy, które ponoć karmi się ludzkim mięsem.

– Ubierz się. Zejdziemy i popatrzymy.

Gerda nie czeka na mnie. Wybiega, a ja stoję przy oknie i walczę z chęcią natychmiastowego podążenia za nią.

Kiedyś w szkole na lekcji religii ksiądz opowiadał nam o widowisku toczącym się na wielkiej arenie. Bogate damy i panowie przychodzili na spektakl, podczas którego lwy rozszarpywały chrześcijan. Cieszyli się z widowiska, bili brawo, krzyczeli rozentuzjasmowani widokiem krwi.

Wydawało mi się, że ksiądz, chcąc nas wystraszyć, przesadza. Przecież nikt nie mógłby z przyjemnością przyglądać się tak strasznej śmierci. Teraz już wiem, że wszystko, co wtedy słyszałam, było prawdą. Ludzkie tragedie są bardzo widowiskowe.

Postanawiam, że nie zejdę, dopóki jak co dzień nie wyszykuję się do pracy. Ubieram się i czeszę. Powoli. A potem w kuchni, w samotności piję kawę i wypalam porannego papierosa.

Dziś nie towarzyszy mi Fräulein Bicker. Nie krząta się nerwowo, nie zagląda do szuflady, czy aby nie wzięłam jej porcji cukru, bo choć nasze wzajemne relacje poprawiły się przez te ostatnie lata, nigdy nie zaakceptowała konieczności posiadania współlokatorek.

Zastanawiam się, dokąd wyszła. Czy jest razem z Gerdą? A może stoi przy drzwiach od podwórza, w których brakuje zamka, i pilnuje, aby „któryś z Żydków”, jak mówi, nie próbował ukryć się w jej schludnym domu.

Wskazówki zegara przesuwają się szybko. W końcu muszę wyjść. Na zewnątrz nie dzieje się nic, co mogłoby wzbudzić mój niepokój. Widzę jedynie ślady kół i psych łap odbite w śniegu.

Może już przeszli, może jednak nie było ich tak wielu.

Na wszelki wypadek odcinek między stacją a ratuszem przemierzam, prawie biegnąc.

Auschwitz nie opuszcza mnie nawet w pracy. Nim trafiam do swojego pokoju, muszę przebrnąć przez kilka dyskutujących grup.

Ku mojemu zaniepokojeniu dowiaduję się, że to nie skończy się szybko. Właściwie jeszcze wcale się nie zaczęło. Wbrew temu, co mówiła Gerda, poranne hałasy wywołane były jedynie patrolami, które pilotują przemarsz. Więźniowie są jeszcze daleko. Ktoś mieszkający bliżej obozu mówił o kilku tysiącach ludzi pędzonych polami i bocznymi drogami. Inni podawali jeszcze większe liczby.

Zamykam za sobą drzwi biura i jestem w końcu sama. Eryka jak zwykle nie ma. Tak jest lepiej.

Próbuję skupić się na pracy. Ale stosik dokumentów do przepisania nie maleje. Wciąż myślę o panującym na dworze mrozie i o kolumnie ludzi, gdzieś na rogatkach miasta. Eryk przychodzi dopiero około południa. Jest w podłym nastroju. Bez słowa wchodzi do siebie, ale po chwili znów staje w drzwiach.

– Pewnie już wiesz? – pyta.

Na moje potwierdzenie jego twarz przybiera jeszcze posępniejszy wyraz.

– Niedługo my też będziemy szli w takich kolumnach – mówi. Chyba nie jest świadomy, że wypowiada na głos swoje myśli.

– Musi być gorzej, niż mówią, niż ja wiem, jeśli zdecydowali się na ewakuację.

Tym razem ostrożnie kiwam głową. Mam wrażenie, że to go uspokoi. Ale on potrząsa ręką, jakby chciał wymazać to, co przed chwilą powiedział.

– Idź już do domu. Ja też muszę wyjść. Trzeba wskazać im jakieś miejsce. Przecież nie mogą wejść do miasta.

Cofa się do siebie. Dzwoni gdzieś, ale chyba nie potrafi nawiązać połączenia, bo słyszę tylko pełen irytacji głos i hałas rzuconej na widełki słuchawki.

Ignoruję jego polecenie i próbuję wrócić do pracy. Udaje mi się napisać zaledwie kilka zdań, kiedy Eryk ponownie pojawia się w drzwiach. Podchodzi do biurka, przy którym siedzę.

– Nie wychodź nigdzie wieczorem. To nie twoje problemy, ty i tak masz ich sporo.

Kiwam głową, mimo że nie do końca wiem, o czym mówi.

Opuszcza biuro. Już bez ociągania.

Popołudnie wydaje się spokojne. Pusty rynek pokrywa delikatna pierzynka świeżego śniegu. Mroźne powietrze szczypie w nos, ale jednocześnie orzeźwia i pobudza. Oddycham głęboko.

Nie mam rękawiczek, więc chowam ręce w rękawach płaszcza. Idę powoli, wsłuchując się we własne kroki. Śnieg skrzypi pod stopami. Nie potrafię sobie wyobrazić, że cokolwiek może zburzyć ten spokój i prawie świąteczną wzniosłość styczniowego dnia.

Jestem już prawie przy stacji, gdy słyszę strzały. Zamiast uciec do bramy, zatrzymuję się i rozglądam wokół. Na tyle zdały się szkolenia przeprowadzane w urzędzie – w razie nalotów do piwnic, w razie strzałów do bram. Nasłuchuję chwilę, ale nic nie mąci już spokoju, więc wchodzę na stopień i wyciągam z kieszeni płaszcza klucz. Wtedy się pojawia. Zupełnie znikąd. Wczepia palce w rant mojego płaszcza.

Pierwsze, co przykuwa mój wzrok, to bosa stopy w ciężkich drewniakach. Skóra pokryta jest strupami i pęcherzami. Mężczyzna, który klęczy przede mną, jest ranny. Widzę, jak przez rękaw pasiaka sączy się krew. Patrzy błagalnie. Mówi coś. Nie potrafię zrozumieć ani słowa. Cofam się przerażona, ale jego ręce wciąż zaciskają się na moim płaszczu.

– Puść mnie – proszę, szarpiąc się. Wiem, że powinnam mu pomóc. Powinnam myśleć. Nie potrafię.

– Halt!

SS-man stoi kilka metrów od nas. Unosi broń. W tej samej chwili mężczyzna podnosi się z ziemi. Strzały padają, gdy tylko robi pierwszy krok.

Zasłaniam usta, aby nie krzyczeć.

Niemiec podchodzi do więźnia i kopie martwe już ciało. A potem kolbą karabinu roztrzaskuje mu głowę i odchodzi. Nie potrafię ruszyć się z miejsca. Patrzę, jak krew rozlewa się, tworząc coraz większą plamę. Czerwień kontrastuje z bielą śniegu.

A więc tak wygląda śmierć. To ten ułamek chwili pomiędzy biegiem a znieruchomieniem.

Gerda znajduje mnie skuloną przed drzwiami. Widzi ciało, więc nie musi o nic pytać. Pomaga mi się podnieść i wejść do domu. Jestem przemarznięta do szpiku kości. Bezmyślnie patrzę, jak stawia garnek z wodą na piecu, a potem schodzi do mieszkania Fräulein Bicker. Wali w przeszklone drzwi i mówi coś wzburzonym głosem. Słyszę numer wykrecany na wiszącym w przedpokoju telefonie. Żąda, aby ktoś zabrał leżące przed drzwiami zwłoki. Nie wiem, czy jest skuteczna, bo wraca wzburzona.

Kolejne odgłosy strażaków zastają nas przy kolacji. Wbiegamy do pokoju Gerdy, stąd jest lepszy widok na ulicę.

Setki przygarbionych postaci w pasiakach, bez nakryć głowy, w pozawijanych na nogach szmatach, wlecze się w kierunku rynku.

Mimo ciemności śnieg zalegający na drodze rozświetla twarze. Krańcowe wyniszczenie sprawiło, że idący w ponurym pochodzie ludzie wyglądają jak pozbawiona płci i wieku masa. Do tego doprowadziła wojna.

Wymykam się do pokoju, kładę do łóżka i naciągam poduszkę na głowę. Próbuję zasnąć. Im bardziej staram się nie słyszeć, tym wyraźniej docierają do mnie dźwięki z zewnątrz. Krzyki, płacz, strzały. Ludzie. Po jednej i po drugiej stronie.

* * *

Z ulgą przyjmuję spokój, który budzi mnie następnego ranka. Ból głowy również mnie cieszy, to on, a nie strach, będzie powodem, dla którego nie pójdę dziś do pracy.

Przez cały dzień nie wstaję z łóżka. Czuję się chora. Nie chcę myśleć, wiedzieć i czuć. Gdybym tylko mogła teraz zasnąć, a potem wmówić sobie, że przyśnił mi się sen o zabijaniu.

Wieczorem przychodzi Gerda. Siada na łóżku i obejmuje podkurczone nogi. Zastygamy tak na kilka godzin. Na wpół śpiąc, na wpół czuwając. Jutro trzeba będzie się obudzić. Boję się tego.

* * *

– Nie słyszałaś, co oni robią z kobietami? – Gerda nerwowo wrzuca rzeczy do walizki. Z otwartej szafy wyfruwają kwieciste sukienki, szare spódnice i białe bluzki. – To nie są ludzie, Sophie. Dla nich to wszystko jedno, czy dziewczynka, czy babka, jak dasz im się złapać, będzie po tobie. Zamęczą cię. Zabiją.

Rzadko zdarzało mi się oglądać taką Gerdę. Na skraju paniki, obłędu. Siedzę na dywanie i przyglądam się jej rozszerzonym przez strach oczom, i nie wiem, co powinnam zrobić. Nie wiem, jaką podjąć

decyzję.

– Sophie! – Gerda krzyczy, podbiegając do mnie. – Jeśli zaraz nie zaczniesz się pakować, nie zdążymy na pociąg. Nie wiadomo, kiedy będzie kolejny. Czy w ogóle jeszcze będzie.

Zamykam na chwilę oczy. Ostatni raz próbuję przemyśleć podjętą już właściwie decyzję.

– Nie pojedę z tobą – mówię powoli, tak aby przekonać Gerdę, że się nie waham.

– Oszalałaś! – Gerda wstaje gwałtownie, szarpie mnie za rękę i próbuje zmusić, abym zrobiła to samo. – Oszalałaś? Co ty chcesz zrobić?

– Nie mogę ich wszystkich zostawić, rozumiesz? – Próbuję patrzeć jej prosto w oczy. – Niemcy to nie mój kraj. Ani Berlin, ani Hamburg. Ja mieszkam tutaj, stąd pochodzę.

– Przecież ja też. Nie pleć bzdur.

– Ty będziesz czekała w Berlinie na Wilhelma. A ja na kogo będę tam czekała?

Gerda otwiera usta, ale kładę jej na wargi swoje palce.

– Nie mów tego – proszę. – Mój mąż wróci do domu, a wtedy ja tam będę. Rozumiesz?

Gerda kręci głową. Robi krok w tył.

– Jesteś głupia! Wierzysz w rzeczy, których już nie ma. Ale może właśnie za to cię kocham.

Rzucamy się sobie w ramiona. Żadna z nas nie powstrzymuje łez. Brak nadziei, że jeszcze się zobaczymy, jest nie do zniesienia.

– Jak możesz mi to robić! Jak możesz mnie zostawiać? – Gerda szłocha mi w ramię. – Uważaj na siebie, nie daj się im. Słyszysz! Można się wykupić za złoto. Oddaj obrączkę, obie, jego też. Będę pisała. Zobaczą, znajdziemy się, przyjedziecie do nas z dziećmi. – Gerda mówi coraz szybciej, uśmiecha się przez łzy. Przytakuję jej, ale czuję, że nie dam rady dłużej opanowywać emocji. Boję się, że lada moment zmienię decyzję, więc wrywam się, chwytam walizkę i obie wypycham za próg. Moją przyjaciółkę i całe życie, spakowane w starym kuferku.

– Żegnaj – szepczę przez zamknięte drzwi.

Osuwam się na podłogę. Zagryzam wargi do krwi. Liczę, że tym bólem uśmierzę inny.

* * *

W nocy śnię straszny sen.

Wracam do domu. Poznają ulicę, przy której mieszkam, bramę, drzwi, czerwone schody w sieni. W izbie siedzi ojciec. Przeraża mnie jego wygląd. Jest chudy i blady jak śmierć. Oczy zasłonięte są bielmem. Chcę do niego podbiec, przywitać się, zapytać, gdzie matka i rodzeństwo, ale odsuwa mnie od siebie. Powoli unosi w górę rękę, wskazuje na coś, co znajduje się na suficie. Pełna niepokoju unoszę głowę. Widzę otwór, dziurę, przez którą z trudem przecisnęłoby się dziecko.

– One już tam są – mówi i spokojnie przesuwa na środek pokoju krzesło. – Tylko na ciebie czekamy.

Kręci mi się w głowie. Wiem, czego ode mnie chce.

– Tam was nie znajdą, nie zhańbią.

Wchodzę na krzesło. Zupełnie bezwolna. Nie mam wpływu na to, co robi moje ciało. Podciągam się na rękach i wsuwam do szczeliny. Pokój pode mną zaczyna znikać. Zamazują się meble, ściany, okno przysłonięte gazetami. W końcu znika również ojciec. Coraz mniej światła. Coraz mniej powietrza. *To*

tylko kilka miesięcy, córeczko. Duszę się. Krzyczę. Nikt nie słyszy.

Budzę się zrana potem. Przerazona. Myślę o Gerdzie. Gdzie już jest? Próbuję wyobrazić sobie stukot kół pociągu. Wiezie ją coraz dalej od Rosjan rozcinających nożem brzuchy kobiet, od zwierząt, barbarzyńców, których oddech czuję już na plecach.

Zasypiam ponownie, zwinięta w kłębek. Czuję, że w tej pozycji obronię samą siebie.

Rano nie wiem, co ze sobą zrobić. Pusta stacja wydaje się zbyt przygnębiająca, aby w niej pozostać. Ludność cywilna została ewakuowana kilka dni temu. Nie ma już Fräulein Bicker ani pana Lijewskiego, który potajemnie słuchał radia BBC. Nie ma większości ludzi, których znałam, z którymi się spotykałam bądź tylko mijałam. Pociągi wywiozły ich w głąb Niemiec. Od wczoraj wyjeżdżają pracownicy urzędów. Ci, których przysłano tu kilka lat temu.

Wychodzę z domu, idę przez wymarłe miasto. Na śniegu leżą fragmenty ludzkiego życia. Nocna lampka, która jeszcze wczoraj oświetlała pokój dziecka, odganiała złe sny. Zegar, który przestał odmierzać już czas. Buty nie do pary. Książki za ciężkie, aby je ze sobą zabrać. Nawet zdjęcia, wspomnienia przeszłości, do której nie będzie się chciało wracać.

Za kilka dni ktoś inny posprząta ten bałagan. Poodrywa deski, złudnie chroniące wnętrza sklepów. Ktoś inny rozpocznie tutaj panowanie.

W urzędzie krząta się jeszcze kilka osób. Nikt mnie nie zatrzymuje na pogawędkę, nikt nie wita. Po co, jeśli za chwilę trzeba będzie się żegnać.

Wchodzę do pokoju. Nie zaskakuje mnie widok Eryka. Stoi przed oknem. Pali.

– Co ty tu jeszcze robisz?

Wzruszam ramionami. Co mam mu powiedzieć? Że nie wiem, w którą stronę pójść? Że wciąż szukam trzeciej drogi? Wyboru, którego nie mam?

– Wracam do domu. Pociąg do Katowic odchodzi dziś wieczorem.

– Przecież tam lada dzień wejdą Rosjanie.

– Tam są moi bliscy.

Eryk nie odpowiada, nie próbuje mnie odwieść od samobójczej misji. Wiem, że właśnie tak ją postrzega. Patrzy za okno. Zaciąga się głęboko.

– To śmieszne – mówi, wypuszczając dym – ale dopiero dziś spostrzegłem, jak tu pięknie. Chodź. – Ruchem ręki przywołuje mnie do siebie.

Podchodzę. Staję obok i patrzę na krajobraz widoczny przez oszronioną szybę. Znam go dobrze. Z tej strony okna wychodzą na park zamkowy. Gdy spojrzeć w lewo, można dostrzec grzywę jednego z lwów broniących wejścia do zamku. Gdzieś za drzewami majaczy jezioro. Wiele razy chodziłam tam z Gerdą. Karmiłyśmy łabędzie. Teraz nawet one odleciały. Wszystko jest takie nieruchome, zastygłe, białoczarne, jak na fotografii.

– A ty? Dlaczego nie pojechałeś wczoraj?

Eryk znów się zaciąga i wypuszcza dym. Mrużę oczy, bo zaczynają łzawić.

– Zostaję tutaj – odpowiada spokojnie, ale mnie nie potrafi oszukać. W każdym jego ruchu widzę napięcie.

– Jak to „tutaj”? – zadaję pytanie i natychmiast zaczynam się bać odpowiedzi.

– Idę walczyć.

W pierwszej chwili myślę, że to głupi żart. Teraz, gdy wojna jest już przegrana? Z kim jeszcze można walczyć?

– A twoja noga?

Eryk odwraca się do mnie.

– Co tam noga – próbuje żartować. – Liczy się Rzesza.

– Możecie jeszcze wygrać?

– Nie – Eryk obdziera mnie z reszty złudzeń.

Nic nie czuję. Nic oprócz lodu, który skuwa serce.

– Jak tu cicho – mówię, a może jedynie myślę, bo słowa nie są w stanie wydostać się przez zaciśnięte gardło.

– Pożegnamy się teraz, Sophie.

I znów przez jedną chwilę, zbyt krótką, aby mogła zakiełkować, myślę o domku w lesie, o kluczach, które wrzuciłam do najrzadziej otwieranej szuflady. Tam wciąż stoją dwa blaszane kubki, czeka wystygły piecyk. Odległy, nierealny świat. Bajka. Ale to nie pora, aby wierzyć w bajki.

Stoję koło Eryka, bezmyślnie wpatrując się w pszczyński park. Co mam zrobić? Podać mu rękę, przytulić? Powiedzieć *trzymaj się, na pewno wszystko skończy się dobrze*? Niedorzeczne!

Ale właśnie to robię. Przytulamy się, skrępowani sztucznością chwili, której musimy być uczestnikami.

– Cieszę się, że cię poznałem, Sophie.

Wyślizguję się z jego objęć, dłoni, palców i ruszam w stronę drzwi. Jeśli to koniec pożegnań, teraz powinny zacząć się powitania.

– Weź to. – Eryk ponownie dotyka mojego ramienia.

Odwracam się, a on wciska mi w rękę kostkę masła.

– A teraz już idź. Idź już sobie.

Schodzę po schodkach. Zupełnie oszołomiona. Tak jakbym to nie ja teraz opuszczała budynek, jakbym to nie ja stopień po stopniu przechodziła na tę „normalną stronę”. Dłoń ślizga się po poręczu wypolerowanej tysiącami dłoni, kolana się zginają. Odchodzę? Wracam? Utkwiona *pomiędzy*, wszędzie mam daleko.

* * *

Jest mi zimno. Pamiętam, że tak samo mówiłam mamie, gdy rankiem zrzuciła ze mnie kołdrę.

Chciałabym teraz czuć tamte ukłucia. Tysiące szpileczek przenikało przez skórę. Łatwo było ich się pozbyć. Wystarczyło przebiec przez izbę i stanąć przy rozgrzanej płycie pieca.

Siedzę pod ścianą na stacji kolejowej, nie wiem, kiedy będzie pociąg, na który czeka cały ten tłum.

Znam wielu spośród kłębiących się tu ludzi. Dziewczyny takie jak ja; jeszcze wczoraj w spódnicach i białych bluzkach stukaliśmy w klawisze maszyny. Pełne wiary, że ominie nas to, co złe. Dziś w przybrudzonych paltach, skulone, przemarznięte, próbujemy przemykać podcieniami dworca, tak aby nikt nie dostrzegł, że jeszcze wczoraj wierzyliśmy w zwycięstwo.

Od pożegnania z Erykiem minęły cztery dni. Cztery dni chaosu i piekła paniki. Pociąg do Katowic,

którym miałam odjechać, nie przyjechał ani tamtego wieczoru, ani następnego dnia. Nie przyjechał w ogóle. Z megafonów rzucano jedynie zdawkowe komunikaty o opóźnieniach, o zerwanych liniach. A jednocześnie wciąż nawoływano do natychmiastowej ewakuacji. Gdzie? Dokąd?

Na niebie widać samoloty. Krążą coraz niżej. Ludzie kryją się w bardziej osłoniętych kątach. Jak gdyby miało to pomóc. *Achtung, Achtung.* Już sam głos nadającego kolejne komunikaty powoduje ból brzucha.

Z ust do ust popłynęła wiadomość, że wojsko rosyjskie jest już o kilka kilometrów od Pszczyny, że wkroczy lada chwila, że zginiemy wszyscy, że otoczone są Breslau i Opole. Wiem, że Eryk wyjechał z miasta, nie ma tu już praktycznie żadnych mężczyzn. Kobiety i dzieci tłoczą się na dworcu, ściśnięte jak w klatce, z której być może nie będzie już wyjścia.

Mijają godziny, robi się ciemno. Nikt już nie zapowiada przez megafon opóźnień pociągów.

Burczy mi w brzuchu. Kiedy jadłam coś ostatni raz? Dwa dni temu? Matka zawsze nam mówiła, że jeśli jest zimno, mamy myśleć o słońcu, jeśli jesteśmy głodni, powinniśmy sobie wyobrażać ogromny talerz gorącego rosółu. Jeśli zobaczę jeszcze matkę, powiem, że czasem nawet to nie działa.

Przypominam sobie o kostce masła, którą wcisnął mi Eryk. Czy to już czas, aby ją wyciągnąć? Czy to jest ta najgorsza chwila?

Ściągam plecak. Próbuję odpiąć sprzączki, odwiązać sznurek. Na siłę zginam skostniałe palce. Matka włożyłaby mi je powoli do chłodnej wody, a potem stopniowo wlewała ciepłą. Dziś cały czas przypominam sobie jej słowa. Czuję, jakby stała obok, a przecież nigdy nie byliśmy sobie bardzo bliskie. Staram się nie myśleć, co to może oznaczać.

W końcu wyciągam masło. Jest zamrożone, ale to nic. Jakimś cudem udaje mi się zedrzeć papier, którym jest owinięte. Podnoszę kostkę do ust. Gdy zaczynam czuć smak, ktoś potyka się o moją walizkę i wpada na mnie. Masło wyslizguje się z palców. Na czworakach, po omacku zaczynam szukać wśród mrowia ludzkich nóg. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Nie takie rzeczy można tu teraz zobaczyć. W końcu trafiam dłonią na zupełnie rozdeptaną maź. Zanurzam w niej palce i liżę to, co zostało. Pluję piaskiem.

Klękam i biję rękami o kolana. Krzyczę. Ze złości i bezsilności. Nikt się nie zatrzymuje.

W końcu, zmęczona i zrezygnowana, siadam pod ścianą dworca. Ciężkie powieki opadają. Nie mogę zasnąć, jest za zimno. Zamykam oczy. Tylko na chwilę, zaraz wstanę, zacznę chodzić, żeby się rozgrzać. Wiem przecież, że śpiąc, zamarznę.

Budzi mnie uderzenie w policzek.

– *Frau Trauter, was machst du?*

Otwieram oczy. Nade mną pochyła się mężczyzna w niemieckim mundurze.

Znam go, to Konrad, przyjaciel Eryka. Chodzili razem na wódkę.

– Zamarzniesz, nie możesz tu spać.

Właściwie chcę mu powiedzieć, żeby dał mi spokój, ale nie mam siły otworzyć ust. Podnosi mnie i przytrzymuje, gdy nogi uginają się pode mną, a potem prowadzi wzdłuż torów. Trzyma mnie za ramię, nie wiem, czy dla bezpieczeństwa, czy abym mu nie uciekła. Jest mi to obojętne.

W końcu dostrzegam przed sobą zarys pociągu. Podchodzimy do niego, Konrad otwiera ostatni wagon, prawie wsadza mnie do środka.

– Rano podjedzie na stację. Musisz wtedy wysiąść, bo te wagony będą jechały na front. Teraz śpij. W kącie leżą koce – mówi pospiesznie i zasuwa wrota wagonu.

Zupełnie po omacku próbuję znaleźć pledy. Zamiast miękkiej wełny dotykam w końcu czegoś szorstkiego i lodowatego. Czuję, jakbym kładła na siebie tafle lodu. A mimo to rzucam na siebie jeden za drugim i trzęsąc się jak osika, czekam, aż resztki mojego ciepła ogrzeją materiał.

W końcu zasypiam.

Budzi mnie szarpnięcie. Podrywam się na równe nogi.

W wagonie jest pełno ludzi. Słyszę stukot kół.

– Dokąd jedziemy? – krzyczę, choć wokół panuje prawie idealna cisza.

– Czechy – odpowiada kilka głosów.

Ogarnia mnie panika.

– Nie! Ten pociąg jedzie na wojnę, na front.

Podbiegam do drzwi. Szarpię za uchwyt.

– Co robisz? Wpuścisz zimno.

Czyjeś ręce odciągają mnie i sadzają na podłodze.

– Wszyscy uciekamy w tym samym kierunku – gruby mężczyzna, w okularach spadających na nos, mówi uspokajająco. – Nie ma już innego – dodaje smętnie.

– Ale ja muszę do Katowic – mamrocze zrezygnowana, choć wiem, że już nikt mnie nie słucha.

Siadam w kącie wagonu, podkulam nogi, podciągam wyżej kołnierz płaszcza i czekam.

Próbuję myśleć o Władku. Próbuję przypomnieć sobie jego twarz. Pamiętam tyle szczegółów, a mimo to nie potrafię namalować obrazu. Czy wciąż jestem jego żoną, a on moim mężem? Po tylu dniach, miesiącach, latach – czy jeszcze do siebie należymy? Znów wracają pytania. Znów nie wiem, gdzie powinnam być. Przecież nikt nie będzie miał do mnie pretensji, przecież chciałam wrócić.

Mijające minuty są odmierzane jedynie przez stukot metalowych kół. Gdy stoimy, a zdarza się to bardzo często, w pociągu panuje przenikliwa cisza. Nikt ze sobą nie rozmawia. Czasem słyhać tylko suchy, gruźliczy kaszel albo płacz jednego z małych dzieci.

Obok mnie siedzi młoda kobieta z niemowlęciem owiniętym w kocyk. Dziecko śpi. Bardzo spokojnie.

– Śliczne – mówię do matki, bo wydaje mi się taka smutna, chcę ją pocieszyć, uspokoić.

Dotykam twarzy niemowlęcia. Pogłaskanie tak niewinnej istotki ma jakimś cudem zetrzeć ze mnie brud ostatnich dni.

Cofam dłoń przerażona. Buzia dziecka jest lodowata, zastygła.

– Ono... – zaczynam. I dopiero teraz patrzę w oczy kobiety. Ona wie. Przyciska do siebie zawiniątko. Dziecko, które jeszcze niedawno gaworzyło, płakało, śmiało się na widok matkinej twarzy. Ona wie.

Odsuwam się. Choć może powinnam z nią porozmawiać, objąć, pocieszyć. Ale czy można pocieszyć matkę po śmierci dziecka? Czy istnieją słowa łagodzące ból?

Prawie pół dnia stoimy w szczerym polu. Mimo zimna zaduch w wagonie robi się coraz większy. Podejrzewam, że niektórzy ze zgromadzonych tu ludzi są w podróży od wielu dni. Śmierdzi niemytymi ciałami, potem i jeszcze czymś. Coraz wyraźniej czuję słodkawy, mdły zapach.

W końcu pociąg rusza. Nabiera tempa. Wydaje się, że wszyscy przysypiają, ułożeni w jak najwygodniejszych pozycjach. Zbici w grupki, aby było cieplej.

Co chwila zerkam na matkę zmarłego niemowlęcia. Nie potrafię oderwać wzroku od jej oczu. Pustych

i ciemnych, jak oczy lalki.

W końcu i ona je zamyka. Czuję ulgę. Sen sprawi, że choć na chwilę zapomni.

Ja również przysypiam. Budzi mnie przeraźliwy krzyk.

Wszyscy zrywają się z miejsc. Robi się zamieszanie. Próbujemy znaleźć źródło lamentu, jego przyczynę. W wagonie jest ciemno, ale ktoś zapala latarkę.

Przy rozsuniętych drzwiach stoi mężczyzna. W jednej ręce trzyma zawinięte w koczek niemowlę, drugą odgania się od kobiety, która przeraźliwie płacząc, próbuje mu je odebrać.

– To moje dziecko! Mój Franuś! Oddaj mi go!

– Śmierdzi! – wrzeszczy mężczyzna i silnym pchnięciem przewraca kobietę. Zanim ta ponownie się podnosi, wyrzuca zawiniątko.

Matka podbiega do drzwi. Są jeszcze rozwarte, gdyby nie kobiety stojące obok, wyskoczyłaby za dzieckiem. Miota się, szarpie. W końcu wszystkie, które spieszą z pociechą, odступują od niej. Bezsilnie patrzymy, jak wije się zrozpaczona po podłodze. Na przemian obejmuje się pustymi rękami i wyciąga je do nas z błaganiem o pomoc.

Światło gaśnie.

Po zamkniętym wagonie niesie się rozdzierający szept. Wciąż i wciąż. Od nowa.

Już świta, gdy niezatrzymywana przez nikogo podchodzę do drzwi, rozchyłam je i bez chwili wahania wyskakuję. Nie, nie był to szalony impuls ani próba samobójcza. Pociąg wlecze się teraz tak wolno, że można z niego wsiadać i wysiadać bez najmniejszych obaw o wypadek.

Stoję pośrodku szczerego pola. Nie wiem, gdzie jestem, ale czuję ulgę. Jeśli mam zginąć, to zginę wśród bliskich mi osób albo przynajmniej w drodze do nich.

* * *

Zwątpienie w słuszność podjętej decyzji przychodzi szybko. Grzęznę w śniegu, dygoczę z zimna i z każdym kolejnym potknięciem zaczynam zdawać sobie sprawę, że mój powrót do domu może skończyć się na tym pustkowiu. W bezimiennym, bezludnym miejscu. Zastanawiam się, co będzie czuł ojciec. Jeszcze z Pszczyny wysłałam im telegram, że wracam, że będę lada dzień. Ile dni będzie mnie wyglądał, ile razy będzie wychodził przed bramę, aby spojrzeć na ulicę, z nadzieją, że mnie na niej zobaczy?

W końcu pierwsze promienie słońca zaczynają delikatnie muskać zziębnięte ramiona. Są miłe, krzepiące. Staję, aby się rozejrzeć. Mrużę oczy, nadmiar bieli oślepia. Las na horyzoncie jest jedynym punktem, do którego mogę zmierzać. Wymyślam sobie liczbę kroków, które muszę przejść bez odpoczynku. Dwadzieścia. Trzydzieści. Liczę na głos i idę. Jestem wyczerpana, kiedy pokonuję ostatni. Klękam na kolana, nabieram do rąk śniegu, próbuję choć zwilżyć usta.

Boże, co mnie podkusiło? Strach, że kobieta, która straciła synka, po krótkim śnie znów zacznie płakać, czy obawa, że w dziennym świetle będę mogła popatrzeć w twarz mężczyzny, który wyrzucił dziecko, i zamiast potwora, którego sobie wyobrażam, zobaczę człowieka? Podnoszę się i z trudem idę dalej. Wmawiam sobie, że już blisko, że las jest na wyciągnięcie ręki.

Hałas nadlatującego samolotu, którego nie można z niczym pomylić, w pierwszej chwili zupełnie mnie zaskakuje. Przecież idealnej ciszy, która panuje wokół, nie powinno się, ot tak, przerywać. Dopiero potem dociera do mnie, że jestem czarnym punktem na zupełnie białym polu. Pilot bez najmniejszego wysiłku zestrzelił mnie pierwszym strzałem. Pytanie, po co miałby strzelać do kobiety cywila, jest

retoryczne. W głowie pilota istnieje co najmniej kilkanaście racjonalnych wyjaśnień.

Warkot silnika staje się coraz głośniejszy. Jedyne, na co mnie jeszcze stać, to przykucnięcie, pochylenie głowy i objęcie jej rękoma. Dziwaczna pozycja z jakiegoś powodu wydaje mi się najbezpieczniejsza.

Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Pan z Tobą,

Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Pan z Tobą.

Próbuję słowami przekrzyczeć ryk silnika.

Gegrüsset seist Du Maria, voll der Gnade.

Błogosławionaś Ty między niewiastami.

Krzyczę. Czuję pieczenie nadwerężonego gardła, a mimo to w hałasie, który mnie otacza, nie słyszę własnego głosu. Nie mam odwagi spojrzeć w górę. Ale wiem, że samolot jest nisko. Tak niski lot ma tylko jeden cel.

Świst spadającej bomby, a potem wycie rozrywanej ziemi. Podmuch wiatru i ostre igiełki zmrożonego śniegu uderzają w twarz. Przewracają. Zasłaniam dłońmi uszy. A więc wciąż żyję?

Dopiero po kilku minutach zbieram w sobie siły, aby się podnieść. Wokół panuje niczym niezmacony spokój, tak jakby samolot był tylko przywidzeniem. Rozglądam się. Widzę dym, gdzieś zza horyzontu, z miejsca, z którego przyszłam. Ale przecież tam nic nie ma, nic oprócz... Tory. Och, przecież to oczywiste. Bomby mają odciąć kolejną, być może ostatnią, drogę ucieczki.

Boję się ruszyć. Przecież kolejny samolot może się pojawić w każdej chwili. Nie chcę tutaj zginąć. Gołymi rękami spycham śnieg w jedno miejsce. Próbuję zrobić coś na kształt okopu. Zmrożone kryształki ranią mi palce. Na szczęście już po chwili przestaję odczuwać ból. Lęk o własne życie jest silniejszy niżeli wszystko inne. Przed chwilą ledwie powłóczyłam nogami, teraz w kilka chwil udaje mi się zbudować śnieżny schron. Wślizguję się w otwór. Pogoda mi sprzyja. Słońce nie pozwoli zamarznąć. Wsuwam w rękawy zmarznięte dłonie i czekam... czekam.

Wyczołguję się, gdy zaczyna zmierzchać. Wiem, że jeśli zostanę, nie przeżyję nocy. Muszę się ruszać, iść szybko, powinnam znaleźć w sobie siłę. Jak? Gdy każdy kolejny krok łączy się z coraz większym bólem, a płuca rozrywane są przez lodowaty oddech. Już prawie po omacku wchodzę między drzewa. Nagle umysł zaczyna przywoływać wszystkie historie, które niegdyś opowiadała nam matka. Diabły, strzygonie wysysające z człowieka siłę, wszystko to krąży wokół mnie, pohukuje, strzela gałęziami, jęczy. Cienie ześlizgują się po pniach drzew. Zagradzają drogę.

Znów powtarzam w kółko słowa modlitwy.

Panno Jasna, nie opuszczaj mnie.

Panno Chwalebna, nie pozwól mi tu zginąć.

Blade światło, gdzieś daleko między drzewami. To pewnie zmęczony umysł płata figle. Nie chcę wierzyć, łudzić się nadzieją, że tam jest coś żywego, coś bezpiecznego. Dom albo choć szałas leśnych robotników. Ognisko i gorąca woda.

Nie chcę wierzyć, ale właśnie ta wiara nagle dodaje mi skrzydeł. Prawie biegnę, a punkcik światła już

nie jest błędnym ognikiem. Widzę wyraźnie okno domu, gdzieś obok kolejny punkt, dalej kolejny. A więc to wioska. A las to zaledwie kilka rzędów drzew.

Znów wychodzę na pole. Księżyc i biel śniegu sprawiają, że jest całkiem jasno. Już wyraźnie widzę zarys domów. Płoty, owocowe drzewa. Wita mnie szczekanie psów. Mały kundelek podbiega do mnie i ujada głośno. Odganiem go, jest uparty, ale w końcu coś innego zaprzęta jego uwagę. Odbiega, robiąc śmieszne susy w śniegu.

Podchodzę pod drzwi pierwszego z domostw, stojącego nieco na uboczu. Bliżej lasu. Nie ma płotu, tylko kilka jabłonek tworzy jakby ścieżkę prowadzącą do drzwi. Pukam. Szybko, zanim zacznę się wahać, nim w pełni uświadomię sobie, że być może właśnie odbieram sobie życie. W tej chwili chęć ogrzania się i odpoczynku przewyższa wszystko.

Nie muszę długo czekać. Już po chwili słyszę kroki.

– Kto tam? Stasiu, to ty? – delikatny kobiecy głos uspokaja mnie.

– Nazywam się Zofia Trauter, wczoraj wyjechałam z Pszczyny. Miasto ewakuują. Czy mogę się ogrzać u pani choć przez chwilę? – Próbuję właściwie dobierać słowa, mówić wolno i spokojnie. Jeśli wystraszę kobietę, nie wpuści mnie, a ja nie mam już siły szukać kolejnego miejsca.

– Niech pani sobie stąd idzie.

Mimo moich starań w głosie kobiety słychać strach. Słyszę coś jeszcze, język niemiecki, w którym mówi, łamie się i zacina. Wyczuwam, że jest jej obcy.

– Proszę, zamarznię, jeśli pani mnie nie wpuści, wracam do męża – mówię po polsku, choć być może dla niej brzmi to tak samo koślawo.

Dotykam drzwi.

– Proszę – szepczę. – Proszę.

Mija dłuższa chwila. Pełna niepokoju po obu stronach progu.

Szczęk przekręcanego zamka. Fala ulgi.

Drzwi otwierają się, skrzypiąc delikatnie. Przede mną stoi młoda kobieta, dziewczyna jeszcze. Rozpuszczone włosy spadają na chustę, którą okrywa ramiona. Czarne oczy przyglądają mi się uważnie. Strach, który w nich widzę, jest odbiciem mojego.

Na środku izby stoi stół, a przy nim kilka krzeseł. Opadam na jedno z nich. Dopiero teraz czuję, jak bardzo jestem zmęczona. Obejmuję dłońmi szklankę z gorącym płynem, którą podsuwa mi moja wybawicielka. Boże, jak przyjemna może być odrobina ciepła. Nagle wszystko inne nie ma znaczenia. Dziękuję. Słyszę, że dziewczyna coś mówi, pyta o coś, ale mgła spowija już i ją, i pokój. Odpływam.

* * *

– Proszę pani, proszę pani... na miłość boską, niech pani się obudzi.

Niewyraźny głos przedziera się jakby zza ściany. Drażni i zupełnie tu nie pasuje. Próbuję go ignorować i nadal skupić się na tekście, który właśnie przepisuję.

– Rosjanie idą, musimy uciekać.

Moje biuro rozpływa się, znika biurko, okna, drzwi prowadzące do pokoju Eryka. Otwieram oczy. Siadam tak gwałtownie, że wszystko wokół zaczyna wirować.

– Gdzie jestem? – pytam przerażona. Nie potrafię przypomnieć sobie niczego z ostatnich dni. Uczucie

zupełnego zagubienia jest przytłaczające. W panice rozglądam się wokół.

– Przyszła pani do nas wczoraj wieczorem i zasnęła prawie natychmiast – mówi dziewczyna, która pochyła się nade mną. – Nawet mleka pani nie wypiała. Matka pomogła mi panią tu zanieść. Spała pani prawie całą dobę. Już się bałyśmy, że może chora.

Słowa uspokajają mnie, już wiem. Pamiętam o pociągu, drodze przez pola, nadlatującym samolocie. Gdy wszystko układa się w jasną całość, ciało, dotychczas lekceważone, daje o sobie znać. Czuję, jak bardzo jestem obolała, głodna i spragniona. Odrzucam kołdrę, ktoś ściągnął ze mnie ubranie, włożył mi czystą koszulę. Niczego nie czułam, niczego nie pamiętam. Patrzę na stopy, są potwornie opuchnięte. Jakim sposobem mam na nich znów stanąć?

– Musimy się pospieszyć. Godzinę temu przybiegli chłopcy z sąsiedniej wsi, mówili, że Rosjanie już blisko. Musimy uciekać.

– Gdzie ja jestem? – pytam.

Odpowiedź zagłusza huk wstrząsający okiennymi szybami. Znów samoloty, znów bomby. Do pokoju wbiega starsza kobieta. Pewnie matka.

– Wy jeszcze niegotowe? – mówi i załamuje ręce. – Wóz czeka, jedziemy.

Przez chwilę rozgląda się po izbie, mam wrażenie, że chce ją zapamiętać. Potem kreśli w powietrzu znak krzyża. Wzdycha i wychodzi. Pewnie po to, aby podobny rytuał odprawić w sąsiednim pomieszczeniu. Dziewczyna ciągnie mnie za rękę, chce pomóc wstać.

A więc czekają mnie kolejne dni drogi nie wiadomo dokąd. Znów mam uciekać? Znów oddalać się od domu? I pewnie zginąć gdzieś po drodze. Z zimna, głodu albo od kuli, która zmyli cel.

– Zostanę tutaj.

Dziewczyna patrzy na mnie oniemiała.

– Jak to tutaj?

Składam ręce jak do modlitwy.

– Pozwólcie mi, proszę, przypilnuję domu, ja już nie chcę nigdzie uciekać. Chcę wrócić do siebie. Mój mąż, cała rodzina na mnie czeka. Pozwólcie mi tu zostać.

Dziewczyna kręci głową. Szeroko otwarte oczy wyrażają zdziwienie.

– Proszę – powtarzam cicho.

– Schowaj się w piwnicy. Wchodzi się do niej przez ganek z tyłu domu. I niech Bóg ma cię w opiece.

Wybiega.

Jeszcze przez chwilę słyszę głosy dochodzące z izby obok. A potem cisza. Kompletna. Złowroga.

Zupełnie otepiała, głucha na huk samolotów, krążę po domu. W kuchni, przewieszona przez krzesło, znajduję swoje ubranie. Na stole portfelik z dokumentami.

Ubieram się szybko. Dowód i volkslistę palę. Od tej chwili jestem Ślązaczką, nie Niemką. Mam męża, który walczy w polskim wojsku. Ot, cała moja ochrona.

Szukam czegoś do zjedzenia. Na szczęście w garnku na piecu znajduję kilka suchych ziemniaków, w dzbanku parę łyków kwaśnego mleka. Jem i piję łapczywie. Po kilku kęsach robi mi się niedobrze, zatykam ręką usta, powstrzymując wymioty. Nie mogę pozwolić na takie marnotrawstwo.

Gdy kończę, wcale nie czuję się najedzona. Wręcz przeciwnie. Żołądek dopiero teraz szaleje. Ssanie

jest niemiłosierne. Nie mam nawet starej skórki chleba, aby go oszukać.

Siadam na krześle i czekam, znów czekam. Do piwnicy zawsze zdążę uciec, zresztą przecież to i tak pierwsze miejsce, które przeszukają.

Na wiele sposobów próbuję wyobrazić sobie moment, w którym tu wejdą.

Im nie można patrzeć w oczy.

Usłyszałam to od jednej z kobiet. Jechała ze mną w pociągu.

To dzikie zwierzęta, jeśli sprowokujesz, zaatakują.

Wyobraźnia podsuwa okropne obrazy. Boję się. Wszystko we mnie krzyczy, aby uciekać.

Co chwila podchodzę do okna, dyskretnie rozchyłam lniane zasłonki. Patrzę na pola, na lasy, przez który wczoraj przechodziłam, za rosnącymi z rzadka drzewami majaczy biała pustka. Czy stamtąd nadejdą?

W domu nie ma zegarów, ten, który mam na rękę, od dawna nie chodzi. Szybko tracę rachubę czasu, jedynie po wędrówce słońca, po zapadającym z wolna zmierzchu mogę przypuszczać, ile godzin minęło. Z każdą dudniącą strachem serce wycisza się coraz bardziej, w głowie obok strasznych scen pojawiają się obrazy innej baśni.

Władek stoi obok mnie. Boże, jak dawno nie widziałam go tak wyraźnie. Nie ma na sobie munduru, nie ma brudnych onucy, przesiąkniętych krwią. Oparte o parapet ręce są ubrudzone drukarską farbą, którą tak trudno się zmywa. Prawie czuję jej zapach, ciężki, metaliczny, ale tak miły, bo ciepły jak dom.

– Już niedługo – szepczę, opierając czoło o szybę. – Już niedługo.

Walenie w drzwi jest nagłe. Zaskakuje mnie.

Obracam się w ich stronę i zastygam w bezruchu. Wstrzymuję nawet oddech. Ale wiem, że nie ma szans na to, że odejdą, zostawiając pusty dom w spokoju.

Czekam, aż otworzą je z hukiem. Wyłamią zamek zupełnie bezsilny wobec takiej agresji. Mogłabym jeszcze spróbować uciec, dostać się na ganek, a stamtąd schodami do piwnicy. Jeśli są w niej ziemniaki, przysypałabym się nimi.

Co z tego, jeśli nogi nie chcą się poruszyć. Nie mam odwagi nawet mrugnąć.

– Niech się pani nie boi, ja nie Rus. Niech pani otworzy.

Ani drgnę.

– Pani chce do Katowic? Jadę tam. Zabiorę.

Słowa, które słyszę, wydają mi się jedynie wytworem wymęczonego umysłu. Czyżbym postradała zmysły?

– Słyszysz mnie pani? Proszę się nie bać. Proszę otworzyć.

A jeżeli to podstęp? Ale kto zadawałby sobie tyle trudu. Zresztą, czy Rosjanie mówią po niemiecku?

Ostrożnie, bezszelestnie robię pierwszy krok. Skradam się do drzwi jak kot, którego ciekawość jest większa niż lęk.

– Kim pan jest?

– Mieszkam obok. Niechże pani w końcu otworzy. Nie ma czasu.

Otwieram.

Kołnierz kozucha i wielka baranica praktycznie zasłaniają twarz mężczyzny, który stoi przede mną.

Wchodzi bez pytania.

– Jeśli chce pani jechać, proszę się ubrać – mówi, rozglądając się po kuchni. – Nie mamy wiele czasu.

– A Rosjanie? – pytam cicho.

– Zatrzymali się na noc w sąsiedniej wsi. Oczywiście pełno ich wszędzie, ale większość jest zbyt pijana, aby celnie strzelać. Powinniśmy się jakoś przebić. Znam drogi.

– Po co pan jedzie?

– Muszę. – Mój rozmówca, który przypomina mi wielkiego niedźwiedzia, najwidoczniej nie ma ochoty na rozmowę.

Kiwam głową. Pospiesznie wkładam ubranie. Myśl, że w końcu pojedę w odpowiednim kierunku, że będę się zbliżać do domu, a nie od niego oddalać, sprawia, że mam ochotę się śmiać. Nie chcę kalkulować, jaka jest szansa, że uda nam się dotrzeć cało.

* * *

Mam na sobie kozuch i koc, a mimo to cała się trzęsę, nie wiem, czy z zimna, strachu czy z emocji. Wokół jest tak ciemno, że ledwie mogę dostrzec konary najbliższych drzew. Nie wiem, czy mężczyzna, który siedzi obok, widzi więcej, czy też zna leśną ścieżkę na pamięć i równie dobrze mógłby prowadzić konie z zamkniętymi oczami.

W zalewającej nas zewsząd czerni co jakiś czas rozbłyska jasne światło. Słychać też głosy. Obce słowa, które wydają się rozbrzmiewać tuż obok.

Wzdrygam się za każdym razem, gdy przecinają ciszę.

– Spokojnie, to daleko, to tylko las tak niesie – uspokaja mnie szeptem Niedźwiedź.

Jak mogę być spokojna, gdy wojska rosyjskie są na wyciągnięcie ręki, gdy nie potrafię się opanować i szczękam zębami tak głośno, że chyba cała okolica to słyszy.

Tak naprawdę nocne lęki są jednak niczym z tymi, które przychodzą wraz z pierwszymi promieniami słońca. Teraz jesteśmy widoczni dla wszystkich, którzy zbłądzą w okolice polnej ścieżki. Pogodny poranek wydaje się zwiastunem spokojnego dnia. Wiem, że to tylko pozory.

– Jak długo będziemy jechać? – zadaję pierwsze od wielu godzin pytanie.

Niedźwiedź prostuje się i śmiga konie lejcami, aby przyspieszyły.

Zastanawiam się, czy go nie obudziłam.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka godzin powinniśmy być na rogatek miasta. Tam będziesz sobie musiała poradzić sama.

Kiwam głową.

– A co będzie, jeśli ich spotkamy? – pytam jeszcze ciszej.

Mój towarzysz odwraca głowę i przez chwilę przygląda mi się uważnie. Potem, znów spoglądając przed siebie, wzrusza ramionami.

– Wyglądasz na Niemkę, pochodzenie masz wypisane w rysach – mówi.

Po jakiejś godzinie jazdy, podczas której żadne z nas się nie odezwało, wjeżdżamy do wsi. Przeraza mnie to miejsce. Zupełnie opustoszałe. Jedni już uciekli, inni jeszcze nie przyszli. Tylko zwierzęta – koty i psy, których ludzie nie zabrali ze sobą – błąkają się po opłotkach. Nie potrafię wyobrazić sobie

codziennego gwaru, obecnego tu zaledwie kilka dni temu, ale przecież wróci niebawem. Krzyki rozbawionych dzieci, głosy kobiet wracających z targu. To wszystko jest teraz tak dalekie, tak niemożliwe. Cisza niepokoi bardziej niż huk spadających bomb. Koszmary wojny rozgrywają się w milczeniu.

Opuszczamy wieś. Znow wyboista droga, znow las. Jednostajność prawie mnie usypia. Pochyłam głowę, bezmyślnie wpatruję się w biel przesuwającą się między deskami podłogi wozu. Liczę chwasty, które przebijają śnieg. Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć.

– Prr!

Niedźwiedź ciągnie za lejce tak gwałtownie, że zsuwam się z ławeczki i omal nie ląduję pod kołami. Zbieram się szybko.

– Co, co się stało? – pytam wystraszona.

Mój towarzysz wskazuje głową na coś przed nami. Jakieś dwieście, trzysta metrów dalej zza zakrętu zasłoniętego lasem wyłania się grupa ludzi.

– Ruscy? – pytam drżącym głosem i czuję, jak strużki lodowatego potu zaczynają mi spływać po skroniach.

– Chyba nie... ale żołnierze.

W bezruchu czekamy, aż się do nas zbliżą. Już nie trzeba się bać, już nic nie można zrobić.

– To Niemcy. – Głos mężczyzny jest jeszcze niepewny, ale już śmielszy, głośniejszy.

Tak, teraz to dostrzegam. To... nasi?

Są już blisko, już widać strzępy mundurów, brudne bandaże na nogach i głowach. Już można usłyszeć jęki rannych prowadzonych przez swoich towarzyszy. Ostatkiem sił. Tak ucieka wojsko, dumne i butne, które witaliśmy kilka lat temu na schodach teatru. Tak idą chłopcy, którzy żegnając się z matką, myśleli, że będą bawić się w wojnę, podbijać świat.

– *Trinken, bitte.*

Młody żołnierz wyciąga rękę. Patrzy na mnie. Ma wystraszone oczy.

Bezradnie unoszę ręce, ale mój towarzysz obraca się i sięga po coś, co ma w plecaku ukrytym pod kocem.

Wyciąga butelkę wódki.

– *Nur dieses.*

Żołnierz chwytą butelkę, ale zanim ją otwiera, wrywa mu ją inny. Pije łapczywie do połowy, jak gdyby był to kompot z jabłek.

Oddaje następnemu.

– Rosjanie są we wsi po drugiej stronie lasu – mówi Niedźwiedź.

Ta wiadomość uspokaja chłopców walczących o łyk wódki.

– *Wieviel?*[44]

Woźnica wzrusza tylko ramionami.

Odjeżdżamy. Niedobitki z wielkiej armii idą dalej. Na kolejnym rozdrożu spotka ich niewola albo śmierć.

Wiercę się na koźle, próbuję rozruszać obolałe mięśnie. Dopiero po dłuższej chwili zdaję sobie

sprawę, że moja niewygodna ma zupełnie inną przyczynę. Pragnę zdławić w sobie palącą potrzebę, tym bardziej że okolica robi się znajoma. Choć nie poznaję miejsca, czuję, że dom jest coraz bliżej. W końcu muszę pokonać wstyd.

– Czy może się pan zatrzymać na chwilę? Muszę... muszę... do lasu.

Niedźwiedź ściąga lejce. Konie stają, a ja, nie zważając na odrętwienie, biegnę między drzewa.

Wracam po chwili w zdecydowanie lepszym nastroju. Dom przecież już blisko. Za kilka godzin...

Potykam się o jakiś wystający korzeń. Upadam na kolana, podnoszę się, otrzepuję płaszcz ze śniegu. Jeszcze pochylona odwracam głowę w stronę drogi. Kucam błyskawicznie. Zasłaniam sobie usta dłonią, aby nie krzyczeć.

Wystraszone konie rżą nerwowo. Strzygą uszami. Niedźwiedź stoi z rękoma uniesionymi do góry. Mówi coś szybko, głową wskazuje na wóz. Krok przed nim dwóch żołnierzy z karabinami przystawionymi do jego potężnej piersi.

– Boże, nie! – błagam w duchu i jeszcze bardziej kurczę się w sobie.

Strach dusi. Chciałabym otworzyć szerzej usta, nabrać powietrza, ale wtedy na pewno mnie usłyszą. Strach paraliżuje. Kolejny raz doświadczam uczucia odrętwienia.

Niedźwiedź wciąż coś tłumaczy. Może i tym żołnierzom proponuje wódkę. Może właśnie to wiezie do Katowic. Weźcie, weźcie wszystko. Przecież lubicie.

Wraca nadzieja. Jeden z żołnierzy kolbą karabinu rozgarnia rzucone na wozie koce. Śmieje się głośno.

Szukam potwierdzenia wracającej nadziei w twarzy Niedźwiedzia. Widzę nieruchome oczy utkwione w las. We mnie.

Strzał. Jeden. I te oczy są już martwe.

Prawie odgryzam sobie język, aby nie krzyczeć.

Patrzę na leżącego w śniegu Niedźwiedzia, na żołnierzy wkładających butelki za pazuchę.

Nie potrafię stłumić jęku, który wydobywa się ze mnie niczym powietrze uchodzące z dętki. Tracę chęć dalszej walki i chęć przeżycia. Zwijam się w kłębek, już nie patrzę na to, co robią żołnierze, nie obchodzi mnie, czy zauważą na śniegu ślady moich butów, czy pójdą za nimi.

Zaczynam liczyć. Nie wiem po co. *Eins, zwei, drei*. Raz, dwa, trzy. Powoli, jakbym odmierzała mijające sekundy. *Tausend*. Tysiąc.

Podnoszę się i idę w głąb lasu. Nie oglądam się za siebie. Jeśli żołnierze jeszcze są na drodze, natychmiast mnie zobaczą. Czekam, aż usłyszę krzyki, świstu przeznaczonego dla mnie pocisku chyba już nie zdążę. Wokół panuje cisza. A ja jestem coraz dalej i dalej. Od wozu, od kolejnej śmierci.

Opamiętanie przychodzi dopiero po kilku godzinach. Nie wiem skąd. Widocznie instynkt przetrwania jest jeszcze silny. Pierwszym sygnałem, że wracam, jest przenikliwe zimno. Trzęsę się cała, choć czoło mam rozpalone gorączką. Przemoczony płaszcz zeszywniał i teraz każdy krok jest trudny. Twarda wełna ociera się o nogi i mimo grubych spodni czuję, jak rani skórę.

Z trudem łapię oddech. Kaszlę.

Jest jeszcze jasno, ale wiem, że noc nadejdzie szybko. Jeśli chcę przeżyć, muszę wydostać się z lasu, muszę znaleźć drogę do domu.

Na oślep wybieram kierunek. Za trzecim drzewem skręć w prawo, potem prosto, bo gdzieś daleko widzę jaśniejszy punkt, być może oznaczający wyjście z lasu. Błądzą. Nie jestem nawet pewna, czy nie

chodzę w kółko.

Wiem, że mam coraz mniej sił, że nawet jeśli nie chcę się poddać, w końcu moje ciało zrobi to za mnie. Ścieram z twarzy zamarznęte łyzy albo kropelki potu. Nie wiem. Już nie czuję. Próbuje poruszać palcami, aby nie zamarzły. To wszystko ma niewielki sens. Chwilowy skutek. Przystanki są coraz częstsze i coraz dłuższe. Przykładam czoło do pni drzew i dyszę jak pies.

I po co ten wysiłek? Po co męka? Władek pewnie też już nie żyje. A jeśli nie zginął, nigdy nie wróci do Polski. Nie lepiej tu zostać, usiąść na miękkim śniegu i patrzeć na oszronione drzewa, na znieruchomiałe lodem liście, aż wszystko zniknie, zajdzie mgłą? Ciepłą i kojącą.

A jednak zbieram w sobie siły. Ostatni raz. Wlekę ociężałe nogi, walczę z rwącym płucą kaszlem. Już nie myślę nawet, jaką drogę wybrać, w którą pójść stronę, po prostu idę.

I nagle coś każe mi się obrócić, spojrzeć za siebie. Widzę je od razu. Drzewo o konarach wygiętych w kształt motyli skrzydeł. To musi być to drzewo. Nie ma drugiego takiego. Biegnę. Obejmuję rękoma pień, a potem rozglądam się wokół. I nagle wszystko jest bliskie, wszystko znajome. Jak mogłam wcześniej nie zauważyć? Boże, przecież tu widać nawet ślady ścieżki, a tam daleko las przecina droga. Wchodzę na szeroką przecinkę. Po jej lewej stronie biegną tory. Wiem, że wystarczy nimi iść, aby dotrzeć do centrum Katowic. Potem tramwajem aż pod sam dom. Przez moment wszystko wydaje się takie proste. Jeszcze godzina, może dwie i stanę na progu swojego domu, rzucę się w ramiona rodzeństwa, przywitam z ojcem i matką.

Chwila radości trwa jednak krótko. Zatrzymuję się. Patrzę na swoje buty. Są przemoknięte i mają doszczętnie zdarte zelówki. Oszroniony płaszcz nie przedstawia się lepiej. A dłonie, twarz, włosy pokryte skorupą lodu? Nie uda mi się ukryć, zniknąć między ludźmi. A przecież nie wiem nawet, czy moje miasto jeszcze istnieje.

Wątpliwości rozwiewa pierwszy wybuch. Daleko, gdzieś z centrum Katowic. Zbiegam z traktu i zza drzew patrzę na bladą lunę. Dopiero teraz ją zauważam. Katowice płoną? Już wiem, że tam pójść nie mogę. Lasami przemknę prosto do nas, ale to będzie ze dwie godziny. Czy dam radę? Czy po zmroku znów nie stracę orientacji, nie zgubię drogi? Próbuje nie poddać się panice. Zaczynam biec. Dopóki starczy mi sił. Za plecami odzywa się kanonada z karabinów.

W głowie cały czas powtarzam sobie polskie słowa. Boże, tak dawno ich nie używałam. Ile pamiętam? Czy zdołam nie zdradzić swojego pochodzenia? W uszach brzmia mi słowa Niedźwiedzia. Wyglądasz na Niemkę.

Miasto jest zaciemnione i zupełnie ciche. Ledwie przytomna ze strachu idę przez pola, które oddzielają las od pierwszych zabudowań. Kręci mi się w głowie, nie wiem, czy z gorączki, czy ze zmęczenia. Co chwila upadam, potykam się o grudy zmrożonej ziemi.

W końcu dotykam dłońmi cegieł. Boże, a więc wróciłam, jestem u siebie.

Ale to nie koniec, jeszcze wiele ulic do pokonania. Sunę zaraz przy ścianach. Przywieram do muru za każdym razem, gdy słyszę najmniejszy szelest, najcichszy dźwięk. Gdybym chociaż wiedziała, czy mój strach jest uzasadniony. Czy Rosjanie już tu są? To, że nie słyszę wystrzałów, uspokaja mnie. Idę śmieiej. Szybciej. Za każdym razem, gdy ktoś nadchodzi, serce zatrzymuje się na chwilę. Nikt jednak nie zwraca na mnie uwagi. Wszyscy spieszą do bezpiecznych domów. Ja też.

* * *

Matka zasłania dłońmi twarz. Wpada w głośny lament. Jestem zaskoczona takim powitaniem. Stoję

osłupiała i nie wiem, co powinnam zrobić. Za plecami matki pojawia się Antoś. Chwyta mnie za rękę i wciąga do środka. Zamyka drzwi na skobel. Matka nadal stoi zapłakana.

– Gdzie ojciec? – pytam, widząc, że w izbie nie ma nikogo więcej.

– Jak ty wyglądasz? Jesteś chora? Jakim cudem udało ci się wrócić? – z ust Antosia płyną pytania. Nie odpowiadam na żadne. Patrzę na matkę zalaną łzami.

– *Mutter? Was passiert?* Co się stało?

Brat sadza mnie na zeclu[45].

Ściąga ze mnie płaszcz. Buty. Znika gdzieś na chwilę. Jestem oszołomiona. Matka wpatruje się we mnie i przerażona kiwa głową.

– Co się dzieje? – pytam szeptem. – Co się dzieje?

Antek pojawia się z miską pełną wody.

Kłęka przy mnie i powoli wsadza do niej moje stopy. Krzyczę z bólu. Chcę je wyciągnąć, ale on je przytrzymuje.

– To wrzątek – płaczę. – Poparzysz mi nogi.

Matka chyba już doszła do siebie, bo bierze w dłonie moje ręce i zaczyna jej rozcierać.

– Godzinę temu przyjechała Agnes – odzywa się w końcu.

– Agnes? Po co wróciła? Przecież była w Zlinie, tam jechały nasze pociągi. Tam było bezpiecznie.

Matka wzrusza ramionami.

– Obie jesteście głupie. Po coście wróciły, trzeba było uciekać do Niemiec.

– Tu przyjedzie Władek – mówię cicho.

– Ale ty możesz tego nie doczekać. Ruscy zajęli Katowice, jutro będą tutaj. Nie wiesz, co robią z takimi dziewczynami jak wy?

Chcę coś odpowiedzieć, ale w tej chwili ktoś szarpie za klamkę przy wejściowych drzwiach.

– Kto tam?

– To ja, otwórz. – Poznają głos ojca.

Antek podchodzi do drzwi, odblokowuje skobel.

I znów to samo. Cisza i pełne niedowierzania spojrzenie.

W twarzy ojca widzę przegraną. Na szczęście nie muszę patrzeć na niego długo, bo obraz starca pogodzonego z tragicznym losem zasłaniają mi ramiona moich sióstr.

Płaczę z radości i smutku jednocześnie.

– Nie przyjęła ich? Dlaczego? Przecież tyle dla niej robiliśmy. Całą wojnę. Jak mogła nam odmówić, jak mogła nie wziąć naszych dziołów?

Gdzieś między paplaniną sióstr słyszę słowa matki. Pełne złości, przesycone goryczą.

Wstaję z krzesła. Nieudolnie kuśtykam na opuchniętych nogach.

– Co się stało? – pytam ojca.

Stoi oparty o drzwi i bez słowa przygląda się pomstującej matce. Delikatnie dotykam jego ramienia.

– Wszystko będzie dobrze – mówię, bo nie przychodzą mi do głowy żadne inne słowa pocieszenia, a przecież muszę jakoś zetrzeć z jego twarzy bezsilność.

Spogląda na mnie, uśmiecha się ledwie zauważalnie. A może to tylko ja tak bardzo chcę ten uśmiech zobaczyć. Mam wrażenie, że upłynęło całe życie, odkąd odprowadzał mnie na pociąg jadący do Pszczyny. Życie moje i jego.

– Matka kazała mi iść do Nowakowej. Pamiętasz ją? Wrócili. Kazała prosić, żeby schowała Helenkę i Agnes.

– Po co?

– Bo u Polaków może nie będą tak szukać, może polskie dziewczęta oszczędzą.

Wzruszam ramionami.

– Jaka ona Polka. To nic nie da. My dla nich wszyscy Niemcy. Ślężacy to Niemcy. Lepiej być razem – mówię z przekonaniem, choć sama nie wiem, skąd ono we mnie.

Przytulam się do ojca i czuję nagły, zupełnie niepasujący do okoliczności spokój. A chwilę później senność. Ogromną, taką, nad którą nie można zapanować.

28 stycznia 1945

– Są!

Helenka szarpie mnie za ramiona, otwieram oczy i widzę panikę na wciąż dziecięcej buzi.

Chcę jej powiedzieć, że nic mnie to nie obchodzi, żeby pozwoliła mi spać dalej. Ale do Heli dołącza Agnes.

– Ojciec każe zejść do piwnicy. Natychmiast! – krzyczy i trzaska drzwiami. Chyba chce w ten sposób rozładować napięcie.

– Ubiorę się – mówię, wstając z łóżka, ale siostry nie pozwalają mi na to. Więc tylko narzucam na siebie koc, a na nogi zakładam trepy.

Wychodzimy do zimnej sieni. Zaraz zaczyna mną trząść, a atak kaszlu wydaje się nie mieć końca.

W piwnicy, zawilgłej i śmierdzącej, są już nasi sąsiedzi. Zaleska stoi z innymi kobietami. Podchodzę do niej, witam się, ale chłód, który widać w jej oczach, nie pozwala mi zadać żadnego pytania. A więc przyjazna atmosfera, w jakiej się ostatnio rozstawaliśmy, była jedynie chwilą słabości, która szybko minęła. Nawet plaga Rosjan nie może nas do siebie zbliżyć.

Siadam przy matce. Na szczęście wzięła mi płaszcz, pończochy i buty, więc teraz ubieram się szybko, wciąż nie potrafię opanować dreszczy. Opieram plecy o wilgotną ścianę. Oddycham przez otwarte usta, brakuje mi powietrza. Jezu, umrę w tej norze.

Innym też nie jest wesoło. Ktoś szlocha cicho, ktoś się modli. Wręcz czuję wzajemne wyrzuty, wzajemne obwiniania się. O początek wojny, o Niemców, o Rosjan, o to, że siedzimy teraz w nędznej piwnicy, i o strach w oczach, którego nikt już nie chce ukrywać.

Próbuję myśleć o Władku, o dniach sprzed wojny. Ale po głowie błakają się też myśli o tych, którzy byli mi bliscy. Chciałabym wiedzieć, co z Gerdą i Wilhelmem, co z Erykiem. Jaka jest szansa, że któreś z nich wciąż żyje?

Siedzimy i siedzimy. Nie wiem, czy minęła godzina, czy cały dzień. Helenka położyła głowę na moich kolanach i teraz nuci cicho jakąś piosenkę. Po polsku.

Mama śpi ze zwieszoną niewygodnie głową. Od czasu do czasu z jej brzucha wydobywa się głośnie burczenie. Zastanawiam się, kiedy jadła coś ostatni raz. A ja? Nic tak nie zagłusza głodu jak strach o życie. Rozglądam się za Agnes. Przeszła na drugi koniec naszego schronienia i teraz rozmawia z jakimś chłopakiem. Nie wiem kto to, ma zabandażowane prawie pół twarzy. Ciekawe, czy uciekł, czy został zwolniony. Jest jednym z nielicznych mężczyzn, którzy siedzą tu z nami. Miasto kobiet, dzieci i starców. I jak mamy się bronić przed wyzwolicielami?

Odważniejsi (Antek również się do nich zalicza) co jakiś czas wychodzą na zewnątrz. Przeżywam wtedy chwile grozy. Tym bardziej że odgłosy wystrzałów słychać coraz wyraźniej. Gdy dochodzą do nich głośnie rozmowy i krzyki w obco brzmiącej mowie, a potem głuchy odgłos kroków na schodach, siedzenie w tej klatce zdaje się nie do zniesienia.

Wstaję i nerwowo chodzę od ściany do ściany.

– Jak długo jeszcze? – prawie krzyczę. Wiem, że mój podniesiony głos budzi Helenkę. Wystraszona tuli się do matki.

Coś głucho uderza o drzwi piwnicy. Raz, drugi, trzeci. Gdy lęk staje się niewyobrażalny, wszystko

cichnie.

Czekamy. Próbuję się uspokoić, ale napięcie zgromadzone w sercu nie chce się rozwiać.

– Wychodzę! – mówię do matki. – Niech to się już skończy. Chcę wyjść!

Kilka osób mnie popiera. Jaki sens ma siedzenie tutaj? Przecież, jeśli będę chcieli, i tak nas wywleka siłą. Przed kim się ukrywamy? Przed obrońcami? Sojuszniczą armią wyzwolicieli?

Protesty są mniejsze, niż przypuszczałam. Właściwie najgłośniejszą sprzeciwia się Antek. Ojciec milczy.

Podchodzę do drzwi. Za mną stoi Agnes i jeszcze dwie dziewczyny z parteru. Odsuwamy ławę i dwa taborety – nasze zasieki. Przekręcam klucz.

W sieni jest teraz zupełnie cicho. Ostrożnie podchodzę do drzwi wejściowych. Wyglądam na podwórze. Tu również panuje pozorny spokój. Jedyne w bramie widzę małe ognisko. Próbuję dostrzec, czy są przy nim jacyś ludzie. Nie widzę nikogo, więc macham dziewczynom, aby za moimi plecami biegły do góry. Wiem, że próbują wchodzić jak najciszej, ale mimo to skrzywienie schodów jest nieznośne.

Stoję jak żołnierz na czatach, a sąsiedzi przemykają do swoich mieszkań.

Nagły pisk dziewczyn i czyjeś palce zaciskające się na szyi zaskakują mnie.

Czuję obrzydliwy smród wódki i niemytego przez wiele tygodni ciała, nieogolona twarz przybliżyła się do mojego policzka.

Przez chwilę wszystko dzieje się jakby w zwolnionym tempie, jakby gdzieś obok.

Kolejny krzyk.

– Agnes!

Wrywam się. Kopię zawzięcie. Teraz chyba Mongoł, który mnie trzyma, jest zaskoczony, bo czuję, jak jego uścisk łagodnieje.

– *Narucnyje*^[46] – krzyczę. To jedyne słowo, jakie znam w ich języku. – Mam zegarek. – I nadzieję, że to tak skuteczne, jak mówią.

Wielkie czerwone dłonie dotykają moich ust, szyi, wdzierają się pod płaszcz. Robi mi się niedobrze.

Znów krzyk Agnes i znów moja szamotanina.

– *Narucnyje!* – drę się na całe gardło. – Dam ci go.

Mężczyzna odwraca mnie przodem do siebie. Nie chcę na niego patrzeć. Drżącymi rękoma unoszę mankiet płaszcza.

– Zobacz, złoty. – Próbuję się uśmiechnąć.

Chwyta mnie za ramię. Zrywa zegarek z nadgarstka. Pasek, zanim puszcza pod naporem jego siły, kaleczy mi rękę. To nic. Żołnierz mruczy coś pod nosem, jest ciemno, więc unosi rękę i przypatruje się z bliska zdobyczy. Wiem, że to moja jedyna szansa. Z całej siły kopię go między nogami. Puszcza mnie, łapie się za brzuch.

Wykorzystuję tę chwilę. Rzucam się do ucieczki. Po dwa, trzy schody na raz. Nie wiem, czy mnie goni, boję się obejrzeć. W końcu dopadam do drzwi. Jeśli będą zamknięte, jest po mnie. Na szczęście otwierają się, nim dotykam klamki. Wpadam do środka. Antek zatrząskuje za mną drzwi i przywiera do nich ciałem, a ja zaczynam przeciągać stół ze środka izby. Przekleństwa i uderzenia po drugiej stronie są coraz silniejsze.

– Uciekaj! – krzyczy do mnie Antek.

Dokąd?

Miotam się po izbie. Znów przypomina mi się sen, sufit, w którym zamyka mnie ojciec. Boże, dlaczego to tylko sen.

– Uciekaj!– Antek wrzeszczy.

Zerkam na drzwi i już wiem, że lada chwila wylecą razem z futryną.

Bez namysłu podbiegam do okna, otwieram je, wchodzę na parapet.

Zdrowaś Mario. Łaskiś pełna.

Skaczę.

* * *

Otwieram oczy i natychmiast żałuję, że to zrobiłam. Wokół mnie jest zupełnie ciemno, a ja nie potrafię się ruszyć. Ostatnie, co pamiętam, to przerażona mina Antka i ja stojąca na parapecie okna.

Nie wiem, gdzie jestem, nie wiem, co mam zrobić, aby się wydostać, aby znów cokolwiek zobaczyć. Oddycham z trudem. Chyba mam gorączkę, bo policzki płoną mi ogniem. Najgorszy jest jednak ból nogi. Rwący, przeszywający. A może już umarłam? Może to czyściec, bo na piekło chyba nie zasłużyłam, na niebo też nie.

Tracę kontakt ze sobą, wpadam w jakiś dziwny półsen, widzę obrazy, słyszę głosy, jakieś głucho, odległe, a potem już nic, tylko ta czerni wokół mnie.

Gdy na moment odzyskuję świadomość, próbuję zmusić się do myślenia. Niepewnie unoszę w górę rękę. Dotykam jakiejś szorstkiej, zimnej powierzchni. Boże, co to jest, klatka? Cela więzienna?

I nagle uświadamiam sobie, że to grób. Myśleli, że umarłam, i pochowali mnie. Ale przecież ja żyję. Jestem. Czuję to teraz.

Próbuję krzyczeć, ale nie potrafię wydobyć z siebie głosu. Zamiast tego dopada mnie kaszel. Nie potrafię go pohamować, zaczyna brakować mi powietrza. Łapię się za gardło, ale to nic nie pomaga. Jezu, nie chcę umrzeć, nie chcę.

– Tu jest! Mam ją, panie Trauter. Znalazłem Sophie!

Nagła jasność zupełnie mnie oślepia. Ale w końcu mogę zaczerpnąć powietrza, wciągam je łapczywie przez szeroko otwarte usta. Nie rozpoznaję cieni wokół. Czuję, jak ktoś mnie podnosi, coś mówi, ale słyszę tylko własny piskliwy oddech i uderzenia serca, coraz wolniejsze.

A potem znów ciemność.

Kwiecień 1945

– Wstań, Sophie, trzeba nam już jechać.

Otwieram oczy, w izbie panuje półmrok, musi być bardzo wcześnie. Jeszcze słońce nie wdarło się przez zazdrostki, jeszcze nie ogrzewa. Przez chwilę wsłuchuję się w równomierne oddechy sióstr śpiących obok. Czuję ciepło przytulonych do mnie ciał.

Wstaję cichutko. Staram się nie obudzić rodzeństwa. Niech wyśnią do końca swoje sny. Niech odpoczywają, nim na powrót wessie ich ponura codzienność.

Ojciec siedzi przy stole. Trzyma oburącz kubek z czarną kawą. Ściągam z pieca garnek i nalewam swoją porcję. Łyk gorącego napoju nie syci, ale rozgrzewa. Dobrze, że już wkrótce lato. Przynajmniej o ciągłym chłodzie będzie można zapomnieć. Chociaż na jakiś czas.

– Ojciec jest pewny, że nam dają? – pytam szeptem.

Nie uśmiecha mi się wędrownka do Pawłowic, gdyby miała być daremna.

Ojciec kiwa głową.

– Worek ziemniaków i worek cebuli. Może dorzucą coś jeszcze. Nie pamiętasz Witka? Przyjeżdżał do nas przed wojną. Tyle dla nich robiłem za pół ceny. Teraz mają wielkie gospodarstwo. Powodzi im się. Zobaczysz. Dużo dostaniemy.

Przytakuję, choć nie wierzę już w żadne przyjaźnie i znajomości. Nie wierzę, że ofiarowana niegdyś pomoc wraca. Za ten marny worek ziemniaków zapłacimy majątek. Ale co zrobić. Można jeszcze umrzeć z głodu. Patrząc na zapadłe policzki Antka i Helenki i wiem, że niewiele już brakuje.

Odebrano nam wszystko. Ani domy, ani kuźnia nie są już własnością ojca. Nie trafiliśmy do baraków tylko dlatego, że obie z matką codziennie lejemy na ściany wodę, a nikt nie chce śmierdzącego mieszkania z grzybem. Na razie. Wciąż żyjemy w strachu przed obozem albo wywózką. Czy po to wracałam? Czasem myślę, że matka miała rację, krzycząc, że trzeba było jechać do Niemiec. Uciekać. Tak jak Gerda i Trudi.

– Idziemy.

Ojciec podnosi się z krzesła i ściąga zawieszony na haku płaszcz. Więcej w nim łąt niż materiału, ale przynajmniej ogrzeje.

Gdy schylam się, aby zawiązać sznurowadła butów, podłoga zaczyna wirować. Tracę równowagę. Łąduję na kolanach. Zbieram się szybko, mając nadzieję, że ojciec nie zauważył. Nie powinien mieć wyrzutów sumienia. Nikt inny z nim nie pójdzie. Agnes pracuje w kopalni w Bytomiu... Sprząta kible po chłopach. Jako Niemka dostaje zaledwie kilka procent normalnego wynagrodzenia. Ojca nawet za te kilka groszy nigdzie nie chcą. On i matka nie dostają nic. Helenka po szkole biega na biedaszyby. Antek już praktycznie na nich zamieszkał, rzadko się tu pojawia. Tak, nas też w końcu dopadły. Ale teraz jest trudniej. Wciąż kontrolują, zabraniają zbierać, biją. Przy mniejszym szczęściu można nawet trafić do obozu.

Nadal czuję się osłabiona. Gdy wyciągnęli mnie spod wanny, przez tydzień leżałam nieprzytomna. To właśnie stara wanna rdzewiejąca na podwórku uratowała mi życie. Gdy skoczyłam, zawadziłam nogą o jej kant w taki sposób, że przewróciła się na mnie, tworząc schronienie. Żaden z żołnierzy nie pomyślał, aby tam mnie szukać. Długo walczyłam z gorączką i zapaleniem płuc, które zdiagnozowała „babka”, wezwana przez matkę. Stara Kulikowa, jedyna, która odważyła się przyjść.

Cudem przeżyłam. Agnes czasem wypomina mi żartem, że przespałam to, co najgorsze.

Ona nie miała tyle szczęścia. Tak jak Kaśka z drugiego i dwunastoletnia Martusia z sąsiedniego domu. Ale o tym wszyscy milczą. Nikt nie wspomina, nikt nie opowiada. Tamtych dni nie było. Ważne, że żyją. Nie żyje natomiast Szczęściarz. Rozwalili mu głowę kolbą karabinu. Dla zabawy, dla żartu. Tak nas wyzwalano.

Podobno żołnierze dostali trzy dni na odreagowanie wojennych stresów. Potem miał zapanować porządek. Kto nie posłuchał, został zastrzelony. Dwóch Mongołów zakończyło zabawę na naszym podwórku. Ponoć oficer, który ich zastrzelił, uwiązał ich potem do siodła swojego konia i włókł po całym mieście, jako ostrzeżenie dla innych.

* * *

Jest już ciemno, gdy przekraczamy roгатki miasta. Pcham przed sobą wózek wyładowany kartoflami i z każdym krokiem boję się, że następnego już nie zrobię, że przewrócę się i narobię ojcu kłopotu.

Nie wiem, co gorsze, zmęczenie czy głód.

– Zobaczysz – mówił, gdy dochodziliśmy do Pawłowic. – Nie pozwolą nam wracać z pustym żołądkiem. Dadzą nam ziemniaków i kwaśnego mleka, a przy odrobinie szczęścia nawet boczkę nie poskapią. To dobra rodzina.

Dali po skibce suchego chleba i wodę do popicia. Kazali iść sobie jak najszybciej i nie wracać już po nic. Bo nie dadzą więcej ani jednego kartofla.

Ojciec przez całą powrotną drogę nie odzywał się do mnie ani słowem. Idzie ze spuszczoną głową. Odarty ze złudzeń. Mnie tylko wstyd, że muszę zebrać, że muszę prosić o resztki ze stołów, że w ogóle muszę jeść.

Przed wejściem do domu grupa chłopców kula felgi[47]. Nie znam ich, to nowi mieszkańcy. Przesiedleńcy.

Gdy przejeżdżamy obok, przerywają zabawę. Już wiem, co się za chwilę wydarzy. Chłopcy ustawiają się w rzędzie. Wyciągają przed siebie ręce i krzyczą:

– Heil Hitler!

Po czym uciekają za śmiechem. Jak gdyby ktoś chciał ich gonić. Początkowo ojciec wpadał w furję. Teraz nawet nie spojrzy. Nawet nie zmarszczy brwi. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Na wszystko można zobojętnieć.

Ważne, że dziś mamy kolację. Że położymy się spać z pełnym żołądkiem.

A jutro?

Jutro może wróci Władek.

Październik 1945

Kolejka zawija się aż za winkiel[48] Beskidzkiej. Mają przywieźć mięso z masarni. Pewnie same ochłapy, których zabraknie, nim nadejdzie moja kolej. Mimo to stoję. Od dwóch miesięcy pracuję jako służąca jednego z nowych dyrektorów kopalni. Cała moja pensja to miska zupy i garść codziennie rzuconych obelg. Nie chciałam tej pracy. Nikt mnie nie pytał o zdanie. Do czasu gdy nie uznają, czy jestem bardziej-Polką czy bardziej-Niemką, nie mam praktycznie żadnych praw. O mężu walczącym w polskim wojsku już nie wspomina. Mam wrażenie, że to dodatkowo pogarsza sytuację, w której się znalazłam.

Gdyby nie Agnes, wszyscy pomarliibyśmy z głodu.

Kolejki, które pamiętam sprzed wojny, zawsze były pełne klachów i śmiechów. Czas szybko mijał. Ta, w której stoję teraz, milczy. Kobiety czekają ze wzrokiem utkwionym w plecach sąsiadek lub zażawionymi oczami wpatrują się w dal. Wciąż na kogoś czekają. Większość mężczyzn albo jeszcze nie wróciła z wojny, albo już została wysłana do pracy gdzieś w głąb Rosji.

Tak jak Kazio, za którym wypłakuje oczy Agnes. Nawet nie wygoiły się na nim wojenne rany. Zgarnęli go, gdy wraz z grupą innych mężczyzn wracał z nocnej zmiany.

Znam jeszcze jeden powód milczenia kobiet. Mało która umie mówić po polsku na tyle dobrze, aby nie złamać zakazu używania niemieckiej mowy. Za nieposłuszeństwo grozi obóz. Żadna z nas nie chce dostać się na Zgodę. Plotki o torturach i zabójstwach docierają do nas każdego dnia.

W końcu kolejka rusza. Robi się zamieszanie, które rzeźnik tłumi groźbą zamknięcia sklepowych drzwi. Teraz będzie już spokój. Każda z nas odbiera swój przydział. Bez przebierania, grymaszenia. I tak nie ma nic lepszego.

Przede mną stoi Marika Hoffman. Znam ją, to babka Trudi. I właśnie gdy ma kupować, do sklepu wchodzi milicjant. Cisza jak makiem zasiał. Teraz naprawdę można usłyszeć brzęczenie kilku latających po sklepie much, którym nie udało się jeszcze wpaść na rozwieszony lepy.

W końcu jednak ktoś musi ciszę przerwać.

– Czego wam dać? – pyta sprzedawczyni.

Hoffmanowa milczy.

– No, kolejka jest, decydujcie się – ponagła.

Hoffmanowa czerwienieje na twarzy. Mruga szybko, głośno przełyka ślinę.

– Dajcie mi tego... tego... – głos jej się łamie.

Kątem oka zerkam na milicjanta. Podparty pod boki, wpatruje się w plecy kobieciny.

Widzę, jak tuż pod linią rzęs Hoffmanowej pojawia się łza. Jak bezradnie patrzy na sprzedającą. Nie wiem, czy dziewczyna za ladą jest taka niedomyślna, czy celowo udaje głupią.

– Dajcie jej pasztetowej – mówię głośno. Czystą polszczyzną.

Sprzedająca patrzy na mnie z wyraźnym niezadowoleniem. Potem przerzuca wzrok na Hoffmanową. Ale ona, już trochę spokojniejsza, potwierdza kiwnięciem głowy.

Dziewczyna pakuje jej w gazetę pasztetową. Przez chwilę przygląda się uważnie kartce na żywność, tak jakby chciała sprawdzić, skąd Hoffmanowa ją ma. Przecież nie pracuje, więc się jej nie należy. To

nic, że jej mąż walczył w powstaniach, że syn zginął w kopalni, to nic.

Nagle wszystko we mnie zaczyna wrzeć. Biorę z lady paczuszkę z pasztetem. Chwytam pod rękę Hoffmanową i wyprowadzam ze sklepu. Odważnie patrzę milicjantowi prosto w oczy. Przez kilka sekund, kiedy nasze spojrzenia się stykają, nie obchodzi mnie nic. Jeśli się odezwie, jeśli zapyta o cokolwiek, odpowiem mu po niemiecku, kim jestem, kim się czuję i gdzie są korzenie, z których wyrosłam. Są tutaj. I nic, żadna władza tego nie zmieni.

Ale teraz, teraz nie chcę tu już żyć.

Hoffmanowa całuje mnie po rękach. Płacze. Odsuwam od siebie jej poranione świerzdem dłonie i uciekam.

* * *

Gromadka chłopców, którzy siedzą w rzędzie na murku przy magistracie, dodaje mi pewności, że postępuję słusznie.

Wiem doskonale, że nie zajmują się jedynie czyszczeniem butów. Nie dla pasty i szczotki podchodzą do nich eleganccy z pozoru mężczyźni. Ci mali chłopcy, niejednokrotnie młodsi od Antka, to naganiacze. Za kilka złotych proponują mężczyznom usługi dziewcząt. Czasem niewiele starszych.

Ściska mnie w dołku, gdy słyszę grubiański męski śmiech. Przed oczami stają mi moje siostry. Czy i one mogłyby?

Oczywiście, że tak. Pusty brzuch jest ponad wszelkie moralne zasady.

Dziś nie są mi oszczędzone również inne przykrości, tak jakby wszystko pragnęło upewnić mnie w postanowieniu, które podjęłam.

Gdy skręcam w naszą ulicę, niemal zderzam się z matką Władka.

– Złożyłam wniosek o wyjazd do Niemiec. Dobrowolnie – mówię.

Zaskakuję samą siebie, bo przecież jeszcze chwilę temu obiecywałam sobie, że nie powiem nikomu, zanim nie dostanę zgody.

Na twarzy Zaleskiej widzę zmieniające się emocje. Czekam na ostre słowa, na lawinę wyrzutów. Zaciskam pięści.

– Bardzo dobrze, moje dziecko, tam będzie ci lepiej.

Jestem tak poruszona ciepłym tonem mojej teściowej, że nagła pustka w głowie nie pozwala mi odpowiedzieć.

– Władek nie wróci. Matka to czuje – mówi dalej. – Straciłam drugiego syna. Ale ty jesteś młoda. Ułóżysz sobie życie. – Pełnym współczucia gestem dotyka mojego ramienia.

Kiwam głową i odchodzę. Świadomość, że nie zobaczę już męża, cały czas krąży wokół mnie. Jeszcze się bronię, jeszcze chwytam się nadziei, ale jestem coraz słabsza. Wiem, że w końcu się poddam.

Nie idę na górę. Agnes jeszcze w pracy, młodszych też nie ma. Nie chcę patrzeć na podenerwowaną matkę, która próbuje dokonać rzeczy niemożliwej. Rozmnożyć jedzenie i ugotować obiad z niczego. Nie chcę też rozmawiać z ojcem, bo wciąż mam przed oczami barczystego mężczyznę, który nosił nas na barana. Dumnego i nieugiętego. Różnica jest zbyt duża, zbyt drastyczna. Idę za dom, niegdyś był tu ogród, za nim – kuźnia ojca. Teraz po przejściu zaledwie kilku metrów i ominięciu owocowych drzew trafiam na płot wzmocniony kolczastym drutem. Za nim rozciąga się teren państwowy. Wstęp zakazany. Po prostu

pewnego dnia przyszli do nas i wręczyli stosowny dokument. Jakikolwiek protest mógł skutkować tylko jednym. Jeszcze poważniejszymi sankcjami.

Siadam więc pod tym płótem. I próbuję wyobrazić sobie swoje przyszłe życie. Staram się sobie wmówić, że przecież wszystkich ich tam ściągnę. Władka, gdy wróci, rodziców, rodzeństwo. Tylko się urządzę, odnajdę Trudi, Gerde. One na pewno mi pomogą. Będzie nam lepiej, spokojniej. Władek też się odnajdzie w nowym świecie. Poszukamy drukarni, takiej jak ta w Pszczynie. Zaoszczędzimy i kupimy ją. Potem urodzą się dzieci i zapomnimy o wojnie, o wszystkim, co było złe. Opowiadam sobie historię i próbuję w nią uwierzyć.

– Zosiu.

Niespodziewany głos wybija mnie z zadumy. Podnoszę głowę i widzę Kolskiego, dawnego kierownika Władka.

Wstaję i odruchowo wygładzam sukienkę.

– Dzień dobry – mówię, zdobywając się na uśmiech. – Jak dobrze pana widzieć.

– Ciebie też. Jak się miewasz?

– Dobrze – mówię, bo przecież nie będę opowiadała o głodzie, biedzie, grzybie w izbie. Przecież wszyscy o tym wiedzą.

Kolski poważnie kiwa głową, a potem podchodzi tak blisko, że aż odsuwam się o krok zmieszana.

– Władek żyje – szepcze mi w ucho. – Wraca.

Musi minąć kilka sekund, zanim dociera do mnie znaczenie usłyszanych słów.

– Jak to wraca? – pytam, próbuję nie poddać się obezwładniającemu drżeniu. Panice, która rozplywa się gdzieś od środka.

– Jest w obozie przejściowym gdzieś nad morzem... Nie powinni go trzymać długo.

– Skąd pan to wie? – pytam i z zaskoczeniem wyczuwam pretensję w tonie swojego głosu. Nie radość, nie szczęście, ale dziwną wrogość. A przecież za takie wiadomości powinnam rzucić mu się na szyję.

– Nieistotne – odpowiada tajemniczo, nie zwracając uwagi na moje dziwne zachowanie – ale to pewne wiadomości. Twój mąż wraca, Zosiu. Cały i zdrowy.

– Dziękuję – mówię szeptem. Przeszuję z nogi na nogę i nerwowo pocieram ramiona rękami. – Dziękuję panu.

Kolski łapie mnie za dłonie. Ścisną je niezręcznie, trochę zbyt mocno.

– Wszystko będzie dobrze, Zosiu. Nie od razu. Nie tak, jak sobie wyobrażasz. Ale uda się, zobaczysz.

Obraca się i odchodzi.

A ja chcę krzyknąć za nim, że już nic sobie nie wyobrażam. Że już nic nie czuję.

Kwiecień 1946

Siadamy przy drewnianym stole, tym samym, który nie raz dźwigał ciężar mojej głowy i załamanych ramion. Tym, który bronił mnie przed naporem bandy rozszalałych Rosjan. Dwie szklanki, butelka taniej wiśniowej nalewki, nakaz eksmisji i Władek siedzący po drugiej stronie. Patrę na bliznę przecinającą cały jego lewy policzek. Nie wiem, skąd ją ma. Jeszcze nie potrafi opowiadać o ranach. Tych na ciele i w duszy. To nieważne, kiedyś być może się zagoją. Dla mnie liczy się, że jest.

Słyszę, jak w sąsiedniej izbie matka wylewa na ścianę wiadro wody. To już nic nie da, dobrze o tym wiem, ale ona do końca będzie broniła swojej twierdzy.

– Napij się? – pytam i sięgam po butelkę. Jak gdyby eksmisja była czymś wartym wzniesienia toastu.

Władek przechyla się przez stół i chwyta mnie za nadgarstek.

– Nie!

Podnoszę głowę.

– Nic innego nie mam – mówię, trochę zawstydzona faktem, że nie potrafiłam zdobyć nawet ćwiartki wódki.

– W tej butelce jest bieda.

Marszczę brwi. Nie wiem, co ma na myśli. Boże, tyle się nasłuchałam o „dolegliwościach”, które gnębią żołnierzy powracających z wojny, że teraz chyba podświadomie szukam we Władku objawów, które mnie zaniepokoją. Oczywiście wie, o czym myślę, uśmiecha się figlarnie. Mimo tych wszystkich okropieństw on wciąż potrafi być chłopcem.

– Zosiu, mam jej już dość i jeśli sama tam weszła, niech siedzi. Rozumiesz?

Potrząsam głową.

Wzdycha, udając zniecierpliwienie.

– *Büchse der Pandora*^[49] – mówi przesadnie wyraźnie. – Czy w waszych szkołach nie uczono mitologii?

Wrywam dłoń z jego uścisku. Wstaję tak gwałtownie, że krzesło się przewraca i z hukiem uderza o surowe deski podłogi. Na pewno nie spodziewał się takiej reakcji, przecież chciał mnie tylko rozbawić. Podchodzę do wasztisza^[50]. Zaciskam palce na krawędzi. Chcę mu powiedzieć, jak bardzo się myli. Jak może wierzyć, że udało nam się zamknąć w butelce nieszczęście, jeśli za kilka godzin będziemy siedzieć w zatęchłym baraku. Pozbawieni wszystkiego. Chcę mu powiedzieć, że jutro w sklepie będę musiała uważać, żeby się nie pomylić i nie poprosić o coś w języku, którym mówiłam od zawsze. Chcę mu powiedzieć, że się boję. Nadal. Chwytam zawieszony na haczyku ręcznik. Wracam, biorę butelkę i owijam ją starannie.

– W takim razie musimy uważać, aby jej nie potłuc – mówię twardo.

Kłękam i wsuwam „biedę” między ubrania spakowane już w walizkę. Tę samą, z którą przyszedłam tu trzynaście lat temu. Tę, z którą wyjeżdżałam do Pszczyny i z niej wracałam.

I właśnie w chwili, gdy zatapiam dłoń w szorstkich od ciągłego prania ubraniach, zza drzwi dobiega nas najpierw odgłos ciężkich butów, a potem głucho uderzenie zaciśniętej w pięść dłoni. Spływa na mnie

zupełnie irracjonalny spokój, ale nie ten, który przychodzi po przerażeniu i bólu, nie ten, który wyłącza przeciążone nerwy.

Wierzę. Naprawdę wierzę, że dziś jest początkiem nowego. Że od dziś wszystko już będzie dobrze.

Październik 2001

Ściskając w ręce teczkę, w której równo ułożone leżą podpisane dokumenty, wychodzę na ulicę. Dopiero teraz wyciągam z torebki telefon i naciskam klawisz łączący mnie z numerem córki. Odzywa się po pierwszym sygnale.

- Skończyło się, przyjeźdź – mówię szybko.
- Musisz chwilę poczekać. Myślałam, że to dłużej potrwa.
- Coś się stało? – pytam, bo w głosie Gośki słyszę rozdrażnienie.
- Nic. Mamo, dlaczego nie powiedziałaś, że wujek Antoś dziś przylatuje?
- Antek przylatuje? – Nie dowierzam temu, co usłyszałam.
- Nie wiedziałaś?

Milczę chwilę, próbując zebrać myśli.

- Mamo, jesteś tam?
- Skąd o tym wiesz?

– Od cioci Heli. Właśnie skończyłam z nią rozmawiać. Mam po nią podjechać, zgarnąć ciebie i o piątej jedziemy do Pyrzowic na lotnisko.

– Nic nie wiedziałam – tłumaczę się, jakbym była winna temu, że znów zabiorę córcę popołudnie. – Czekam – dodaję i się rozłączam.

Właściwie cieszę się, że dojazd zajmie Gosi kilka chwil.

Zdecydowanie zbyt dużo wrażeń jak na osiemdziesięciolatkę po zawale. Domy, a teraz to niespodziewane spotkanie rodzinne. Pierwszy raz od kilku lat zobaczę się z Antkiem przy innej okazji niż pogrzeb któregoś z nas. Smutne, z drugiej strony kilkadziesiąt lat temu nie byliśmy pewni, czy uda się przeżyć kolejny dzień. Jakkolwiek by na to patrzeć, przechytryliśmy los.

Mając nadzieję, że nie znajdzie się ktoś nadopiekuńczy, kto pomyśli, że babcia źle się poczuła, przywieram do chłodnych cegieł ściany. Czy znalazłabym na nich, wyryte, wspomnienia naszych dziecięcych zabaw? Dłoni zanurzonych w błocie i odbijanych jedna obok drugiej. Kwiatów koniczyny, które wtykaliśmy w szczeliny. Liter wyrytych kamieniem podczas zabaw w szkołę i sklep.

Będę miała czas, aby to sprawdzić. Cegła po cegle.

Odzyskałam nasz dom. Ostatni podpis złożyłam właśnie tutaj, w mieszkaniu, z którego nas wyrzucono. Pewnie prawnik nie był zadowolony z dziwactw staruszki, ale pokornie wyszedł z eleganckiego biura i pojawił się w dość obskurnym familoku. Dzieci z całą pewnością sporo mu zapłaciły za tę przysługę.

Nie wiem, co stanie się dalej. Co zrobię z dwoma domami i sześcioma rodzinami, które tu zamieszkują. Jednym podpisem stałam się również właścicielką dwóch lokali użytkowych, jak napisane jest w dokumentacji, wideoteki i sklepiku z używaną odzieżą. Na szczęście jeszcze mam czas. Postanowienia nabierają teraz mocy prawnej, ale potem?

Mąż Gosi wspominał, że najrozsądniej byłoby niewarte wiele domy wyburzyć, a potem sprzedać teren pod budowę kolejnego Lidla czy Biedronki. Och, już wiem, dlaczego nie do końca zaakceptowałam partnera mojej córki.

Gdybym teraz sprzedała domy, nie tylko Agnes przewróciłaby się w grobie. Zresztą na razie czuję

palące pragnienie spędzenia tu tych ostatnich lat, które jeszcze mi pozostały. Będą chcieli wybić mi to z głowy. Może nie ustąpię.

Chcę oparta o poduszkę wychylić się z okna i spojrzeć na świat oczami Zającowej. Chcę zobaczyć dzieci bawiące się tak jak my kiedyś. Bo choć minęło pół wieku, na podwórku nie zmieniło się wiele. Panuje tu taki sam rozgardiasz i gwar. Jedyne w chlewikach nikt nie trzyma kóz, służą raczej za składzik na niepotrzebne rzeczy. No i do ubikacji nie trzeba już biegać. Dobrze, na to nie miałabym zdrowia.

Przez tyle lat czułam się zbyt dumna, aby tu wrócić.

Kiedy nadeszło „ocieplenie”, Władek całe dni spędzał w urzędach. Załatwiał, prosił, groził. Nadaremno. Nie mieliśmy dostatecznych dowodów, że domy były nasze. Słowa nie wystarczyły. Uznano mnie za oszustkę, więc przestałam chcieć. Zbuntowałam się, obraziłam, wymazałam z pamięci miejsce, w którym dorastałam. Skojarzyłam je ze wszystkim, co złe. Z biedą, wojną, rozstaniem, choć być może w duchu cały czas czekałam.

Ja zawsze na coś czekałam. Na koniec wojny, powrót Władka, na lepsze czasy. Tu na Śląsku kobiety potrafią czekać.

Wojna odebrała nam wiele. Odebrała zakochanie. Pierwsze wspólne lata, które dla nas były zaledwie tygodniami. Potem już nigdy nie udało się do nich powrócić. Było za późno, ale przetrwaliśmy. Zbudowaliśmy nowy dom ze szczątków, które w nas pozostały. Okazał się bardzo mocny.

Wiem, że w tym miejscu obudzę stare wspomnienia. Poukładam je jak pasjans. Będę miała na to czas. Te domy stoją na rozdrożu, tutaj kończyła się jedna droga i zaczynała inna, tutaj należało dokonywać wyborów. Wiele razy udało nam się wybrać właściwie.

Przez pięćdziesiąt lat byliśmy dla siebie oparciem. Mieliśmy czas na śmiech i łzy, na kłótnie i chwile niczym niezmacone szczęścia. Urodziły się dzieci, potem wnuki. Nadeszły nowe czasy.

Odrywam plecy od czerwonych niegdyś cegieł. I z biedą zamkniętą w butelce leżącej na dnie torebki, z dłonią wciąż schowaną w dłoni Władka robię następny krok.

Wróciłam.

- [1] Ausztojer – wiano.
- [2] Wymarasić – wybrudzić.
- [3] Hejbama – akuszerka.
- [4] Hacka – chusta do noszenia niemowląt.
- [5] Zalyty – randka.
- [6] Gelynder – poręcz.
- [7] Gora – strych.
- [8] Bombony – cukierki.
- [9] Szałot – rodzaj sałatki z pokrojonego śledzia, ziemniaków, jaj, ogórka kwaszonego, cebuli, skwarek, przypraw, musztardy i majonezu.
- [10] Szkat – gra w karty bardzo popularna na Śląsku.
- [11] Wodzionka – zupa popularna na Śląsku. Kawałki suchego chleba i czosnek pocięty w plasterki zalewa się wrzącą wodą. Można dodać odrobinę masła lub smalcu, sól i inne przyprawy.
- [12] Kraiczki – kromki.
- [13] Byfyj – kredens, szafa.
- [14] Koło – rower.
- [15] Szterować – drażnić.
- [16] Modra – czerwona.
- [17] Kołocz – rodzaj ciasta, może być z posypką lub z nadzieniem serowym, makowym, jabłkowym.
- [18] Zista – babka piaskowa.
- [19] Kakauschal – napój z płatków kakaowych.
- [20] Ujek – wujek.
- [21] Ryczka – taboret.
- [22] Eintopf – potrawa jednogarnkowa.
- [23] Szolka – szklanka.
- [24] Klachy – pogaduszki, plotki.
- [25] Godula – dzielnica Rudy Śląskiej.
- [26] Taką godzinę podano w autentycznym komunikacie.
- [27] Ciaplyta – błoto.
- [28] Giwera – karabin.
- [29] Graczka – zabawa.
- [30] Haupttreuhandstelle Ost – Urząd do spraw Mieszkaniowych.
- [31] Ordnung muss sein – musi być porządek.
- [32] Meine Damen – drogie panie.
- [33] Stille Nacht! Heilige Nacht! – Cicha noc! Święta noc!
- [34] Arbeitsamt – Urząd Pracy.

- [35] Krisbaum – choinka.
- [36] Sztrykować – robić na drutach.
- [37] Einmal mit dem Führer... – jeden raz z wodzem.
- [38] Staatspolizei – gestapo.
- [39] Was machst du? – Co robisz?
- [40] Meluzyna – według legendy to pół kobieta, pół wąż. Gdy wieje silny wiatr, na Śląsku mówiło się, że to pewnie meluzyna po świecie lata i szuka swoich dzieci.
- [41] Wo ist Ihr Mann? – Gdzie jest Pani mąż?
- [42] Ich weiß nicht – nie wiem.
- [43] Dumme Schlampe – głupia dziwka.
- [44] Wieviel? – Ile?
- [45] Zecel – taboret.
- [46] Narucznyje – zegarek.
- [47] Felga – dziecięca zabawa popularna na Śląsku.
- [48] Winkiel – róg.
- [49] Büchse der Pandora – puszka Pandory.
- [50] Wasztisz – szafka do mycia.

